

M A G A Z Y N N I E T Y L K O D L A Ż O Ł N I E R Z Y

POLSKA ZBROJNA

nr 8 (880)
SIERPIEŃ 2019

ISSN 0867-4523

TEMAT NUMERU

F-35

Wielofunkcyjny
scyzoryk, czyli samolot
piątej generacji

WARSZAWA
WALCZY, WRACAMY

Rozmowa z Ewą Ponińską,
świadkiem Sierpnia '44

CENA 6,50 ZŁ (W TYM 8% VAT)



9 770867 452908

1.09-18.11.2019 r.

**II edycja kampanii honorowego krwiodawstwa organizowana przez
Stowarzyszenie Honorowych Dawców Krwi Legion i Wojskowy Instytut Wydawniczy**



PATRONAT HONOROWY
Mariusz Blaszczak
Minister Obrony Narodowej



Ministerstwo Zdrowia
Patronat Honorowy Ministra Zdrowia

NIEPODLEGŁA MAMY WĘ KRWI

Zaplanuj swoje donacje z nami – wygraj cenne nagrody!

Wydłużony czas kampanii

Krew będziemy zbierać przez 71 dni. Oznacza to, że swoje donacje możesz zaplanować w taki sposób, aby dwukrotnie oddać krew w ramach naszej kampanii.

Konkurs z nagrodami

Dwie donacje to podwójna pomoc tym, którzy potrzebują Twojej krwi. To także podwójna szansa na nagrody dla Ciebie. Każdego dnia wybierzemy kilku krwiodawców, którzy zostaną nagrodzeni. Z kolei na koniec kampanii wylosujemy szczęśliwców, którzy zdobędą atrakcyjne nagrody główne, m.in. sygnety i skoki w tandemie z komandosami JWK. Wystarczy zarejestrować swoje donacje na Portalu Legion: www.legionhdk.pl.

Akcje krwiodawstwa w całej Polsce

Planujemy 50 akcji krwiodawstwa, które zorganizują z nami jednostki Wojska Polskiego oraz kluby HDK. Do kampanii będziesz mógł dołączyć każdego dnia także w dowolnym centrum krwiodawstwa, niezależnie od akcji w terenie.

„Zbrojnie o Niepodległość”

Przybliżymy najważniejsze wydarzenia, które doprowadziły do odzyskania niepodległości przez Polskę. Codziennie na naszym Facebooku będziemy publikować kolejną grafikę cyklu. Cała wystawa zostanie zaprezentowana podczas poszczególnych akcji krwiodawstwa oraz na gali podsumowującej kampanię.

Prelekcje i e-learning

W trakcie kampanii będziesz mógł zdalnie odbyć szkolenie e-learningowe HDK, po ukończeniu którego zdobędziesz wyjątkowy certyfikat. Dodatkowo odwiedzimy szkoły średnie, w których przeprowadzimy prelekcje zachęcające do oddawania krwi i do służby w Wojsku Polskim. Wszystkie treści edukacyjne będą dostępne na Portalu Legion.

Gala finałowa

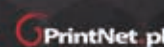
Uroczyste podsumowanie kampanii zorganizujemy 18 listopada na Zamku Królewskim w Warszawie. Spotkamy się tam z najbardziej aktywnymi krwiodawcami, organizatorami zbiórek krwi oraz partnerami wspierającymi kampanię, których wyróżnimy.



ORGANIZATORZY

INSTYTUCJE WSPIERAJĄCE

SPONSORZY





Z SZEREGU WYSTĄP

IZABELA
BORAŃSKA-
-CHMIELEWSKA

PROGRAM „HARPIA”, CZYLI POZYSKANIE I WDROŻENIE DO SIŁ POWIETRZNYCH SAMOLOTÓW PIĄTEJ GENERACJI, JEST JEDNYM Z NAJWAŻNIEJSZYCH PROGRAMÓW MODERNIZACYJNYCH SIŁ ZBROJNYCH RP.

Dwa miesiące temu zapytanie ofertowe w sprawie zakupu 32 samolotów F-35A zostało wysłane przez resort obrony narodowej do Stanów Zjednoczonych. Jak podkreślił w wywiadzie dla „Polski Zbrojnej” minister Mariusz Błaszczak, w planie modernizacji technicznej na lata 2017–2026 zostały zagwarantowane niezbędne środki finansowe. Celem podjętych działań jest zastąpienie leciwych Su-22 i MiG-29. W tym numerze szczegółowo prezentujemy maszynę piątej generacji.

Świadkowie i uczestnicy powstania warszawskiego w swoich wspomnieniach wielokrotnie mówią o tym, że kapitulacja nie wchodziła w grę. Nie chcieli się poddać, mimo że przebieg walk od początku był dramatyczny. Oni do końca jednak zachowali nadzieję. Dziś, po 75 latach ich relacje są bardzo szczegółowe, a bolesne doświadczenia, wryte na zawsze w ich sercach i pamięci, wciąż intensywnie przeżywane. Powstańcy pragną być wysłuchani. Rozmowy z nimi są długie, być może dla ludzi młodych emocjonalnie ciężkie do udźwignięcia. Nigdy nie zapomnę spotkania z uczestnikiem powstania na Powązkach 1 sierpnia przed wielu laty. Krótki wywiad w upalny dzień w jednej z alejek cmentarza przerodził się w dwugodzinną rozmowę. Były łzy, wzruszenie, uścisk dłoni i wyszeptane na pożegnanie słowa „Tylko nie zapomnijcie o nas...”.

Pamiętajmy o wszystkich żołnierzach Wojska Polskiego, którzy 15 sierpnia, w rocznicę zwycięskiej Bitwy Warszawskiej, obchodzą swoje święto. Defilada pod hasłem „Wierni Polsce”, odbywająca się w tym roku w Katowicach, jest również upamiętnieniem setnej rocznicy wybuchu pierwszego powstania śląskiego. Wojskowe święto to także dobra okazja do spotkania z żołnierzami na piknikach wojskowych, organizowanych tego dnia w wielu miastach.

Drodzy Żołnierze, dziękujemy za Waszą służbę, poświęcenie i odwagę. Życzymy Wam satysfakcji z pracy, która jest powołaniem. ■



**TEMAT
NUMERU**

KRZYSZTOF WILEWSKI

**14 Wielofunkcyjny
scyzoryk**

Wszystko o F-35

EWA KORSAK

**20
Latający
sensor**

TADEUSZ WRÓBEL

22 Kuzyni lightninga

EWA KORSAK

**26 Przelotem
w Polsce**

TADEUSZ WRÓBEL

**28 Ambicje
piątej generacji**



ARMIA

MAGDALENA

KOWALSKA-SENDEK

**30 Program naprawy
pilota**

Kondycja personelu lotniczego

MICHAŁ ZIELIŃSKI

36 Cienka niebieska linia

EWA KORSAK,

ŁUKASZ ZALESIŃSKI

40 Po kogo dziś lecimy?

EWA KORSAK,

MAGDALENA

KOWALSKA-SENDEK

**44 Podstawy
przekraczania granic**

ŁUKASZ ZALESIŃSKI

47 Załoga z pierwszej ligi

MAGDALENA MIERNICKA

**50 Jedna misja, jeden
zespół**

ANNA DĄBROWSKA

**54 Krajobraz
przed
startem**



MILITARIA

ROBERT SENDEK

**60 Genetyczne
pole bitwy**

Broń niedalekiej przyszłości

ROBERT SENDEK

**64
DNA
prawdę
ci powie**

KRZYSZTOF WILEWSKI

68 Pancerny desant

TOMASZ OTŁOWSKI

**70 Siła morskich
Sepahów**



STRATEGIE

TOMASZ OTŁOWSKI

**78 Jeden mecz,
wielu graczy**

Pełzająca wojna w Libii

MICHAŁ ZIELIŃSKI

84 Teoria chaosu

TADEUSZ WRÓBEL

**88 Irańskie
szachy**

Rozmowa z Marcinem
Piotrowskim

MAREK BUDZISZ

92 Kurs na flotę

ROBERT SENDEK

**94 Obława
na wilki**

MICHAŁ ZIELIŃSKI

**97 Sporne
wzgórza**

ROBERT CZULDA

**98 Wojsko na
narkofroncie**

MAŁGORZATA

SCHWARZGRUBER

101 Rysa na Sojuszu

Rozmowa z Karolem
Wasilewskim



DYREKTOR WOJSKOWEGO
INSTYTUTU WYDAWNICZEGO

Maciej Podczaski,
sekretariat@zbrojni.pl;
tel.: 261 845 365, 261 845 685, faks: 261 845 503;
Al. Jerozolimskie 97, 00-909 Warszawa

REDAKTOR NACZELNY POLSKI ZBROJNEJ
Izabela Borańska-Chmielewska,
tel.: 261 840 222; ibc@zbrojni.pl

SEKRETARZ REDAKCJI, Z-CIA REDAKTORA NACZELNEGO
Aneta Wiśniewska, tel.: 261 845 213
Zastępcy sekretarza redakcji
Katarzyna Pietraszek, tel.: 261 840 227;
Joanna Rochowicz, tel.: 261 845 230;
polska-zbrojna@zbrojni.pl

TEKSTY

Anna Dąbrowska, Paulina Glińska, Piotr Korczyński,
Ewa Korsak, Magdalena Kowalska-Sendeck,
Magdalena Miernicka, Bogusław Politowski, Małgorzata
Schwarzgruber, Robert Sendek, Jacek Szustakowski,
Krzysztof Wilewski, Tadeusz Wróbel

WSPÓŁPRACA: Marek Budzisz, Robert Czulda, Andrzej
Fafara, Krzysztof Kubiak, Maciej Nowak-Kreyer, Tomasz
Otlowski, Piotr Raszewski, Dominik Smyrgała,
Łukasz Zalesiński, Michał Zieliński

ZDJĘCIA

Michał Niwicz, Jarosław Wiśniewski

GRAFIKA

Marcin Dmowski (kierownik), Paweł Kępka,
Monika Siemaszko, tel.: 261 845 170;
Andrzej Witkowski (fotoedytor), tel.: 261 845 579

OPRACOWANIE STYLISTYCZNE

Marta Sachajko (kierownik), tel.: 261 845 244;
Renata Gromska

MARKETING I PROMOCJA

Piotr Zarzycki (kierownik), Patryk Czarnowski, Agnieszka
Karaczun, Anita Kwaterowska (tłumacz), Marta Szulc,
Małgorzata Szustkowska, tel.: 261 845 387, 261 845 180,
faks: 261 845 503; reklama@zbrojni.pl

Numer zamknięto: 29.07.2019 r.

DRUK

ARTDRUK, ul. Napoleona 2, 05-230 Kobyłka,
www.artdruk.com

PRENUMERATA

Zamówienia na prenumeratę wydań papierowych
„Polski Zbrojnej” można składać poprzez:

- www.polska-zbrojna.pl
- www.garmondpress.pl/prenumerata
- www.kolporter.com.pl/prenumerata

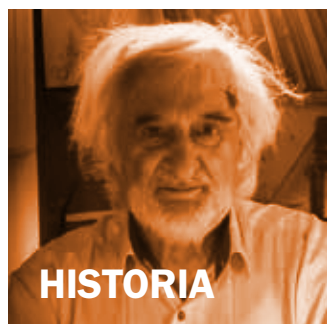
Sprzedaż bieżących wydań elektronicznych, w tym
prenumeraty wydań elektronicznych „Polski Zbrojnej”,
dostępna na: <http://e-kiosk.pl>, www.egazety.pl

PARTNER

 Narodowe Archiwum Cyfrowe.
220 tysięcy zdjęć online na www.nac.gov.pl



Treść zamieszczanych materiałów nie zawsze odzwierciedla
stanowisko redakcji. Tekstów niezamówionych redakcja
nie zwraca. Zastrzega sobie prawo do skrótów.
Egzemplarze miesięcznika w wojskowej dystrybucji
wewnętrznej są bezpłatne. Informacje: 261 840 400.
Zasady przekazywania redakcji miesięcznika „Polska
Zbrojna” materiałów tekstowych i graficznych opisuje
regulamin dostępny na stronie głównej portalu
polska-zbrojna.pl.



HISTORIA

PIOTR KORCZYŃSKI

104 Strzelać nauczyłem się sam

Rozmowa z Witoldem
Kruczkim-Abuładzem

MACIEJ NOWAK-KREYER

112 Kłopotliwe zwycięstwo

PIOTR KORCZYŃSKI

116 Marzenia o polskim chlebie

ANNA DĄBROWSKA

120 Latą pod wiatr

MAŁGORZATA

SCHWARZGRUBER

124 Warszawa walczy, wracamy

Rozmowa z Ewą Ponińską

KRZYSZTOF KUBIAK

129 Czerwony Gibraltaryk



PO SŁUŻBIE

ANNA DĄBROWSKA

130 Ta szkoła to moja historia

Spotkania powstańca
warszawskiego z młodzieżą

MAGDALENA

KOWALSKA-SENDEK

136 Jesteśmy im winni pamięć

PIOTR RASZEWSKI

139 Strażnicy partyzanckich szlaków

MAŁGORZATA

SCHWARZGRUBER

142 Kiedy coś robił, to na maksa

DOMINIK SMYRGAŁA

144 Tajemnica archiwum wywiadu

ANDRZEJ FAFAARA

146 Dwa powstania



Zdjęcie na okładce:
brettphoto/Shutterstock

Znajdziesz nas tutaj:





„Mieszko” na fali

Zwodowano **trzeci**
z sześciu holowników
dla marynarki wojennej.

Jednostka zbudowana w gdańskiej Stoczni Remontowa Shipbuilding otrzymała imię „Mieszko”. Pozostałe dwa zwodowane już holowniki to „Bolko” i „Gniewko”. „Mieszko” trafi do 3 Flotylli Okrętów, gdzie ma asystować okrętom podczas manewrowania. Posłuży też do transportu ludzi i towarów oraz holowania tarcz, które staną się celem podczas strzałów artyleryjskich. Okręt będzie także podejmował z wody ćwiczebne torpedy i wspierał akcje ratownicze, a dzięki specjalistycznemu sprzętowi – neutralizował unoszące się na morzu plamy ropy oraz oleju. Załogę holownika utworzy dziesięciu podoficerów i marynarzy. PZ, ŁZ

NA POLIGONIE W ORZYSZU

ODBYŁA SIĘ WALKA CZOŁGÓW 3, JEDEN Z NAJWIĘKSZYCH W POLSCE DYNAMICZNYCH POKAZÓW WSPÓŁCZESNEGO POŁA WALKI W WYKONANIU ŻOŁNIERZY 15 GIŻYCKIEJ BRYGADY ZMECHANIZOWANEJ I ŻOŁNIERZY BATALIONOWEJ GRUPY BOJOWEJ NATO.



WOJSKOWE WYZWANIE

Nauka posługiwania się bronią, walki wręcz w bliskim kontakcie, udzielania pierwszej pomocy, możliwość obejrzenia czołgów **Leopard 2A4 i 2A5**, pojazdów saperских i rozpoznawczych, szturm na budynek z karabinem na kulki – takie

atrakcje czekały na niemal 50 osób, które odwiedziły 1 Brygadę Pancerną. Jednostka w Wesołej brała udział w pierwszej edycji wydarzenia „Wojskowe wyzwanie”, którego celem jest zachęcenie cywilów do wstąpienia w szeregi armii. Podczas wizyty w bry-

gadzie każdy mógł dowiedzieć się, co trzeba zrobić, aby zostać żołnierzem. Koszary dla ochotników otwierają też kolejne jednostki, m.in. 7 Brygada Obrony Wybrzeża, Centrum Szkolenia Artylerii i Uzbrojenia oraz 2 i 18 Pułk Rozpoznawczy. PZ, MM



POCISKI DO JASTRZĘBI

Licząca 200 sztuk pierwsza partia nowoczesnych bomb **Mk-82** trafi do końca października do polskich sił powietrznych.

Zostaną w nie uzbrojone samoloty F-16 Jastrzęb. Pociski będą produkowane w Zakładach Chemicznych „Nitro-Chem”. Firma zakończyła właśnie wdrażanie technologii produkcji bomb Mk-82, którą kupiła w 2017 roku od należącej do grupy Rheinmetall Defence firmy RWM Italia. Bomba Mk-82 waży 227 kg, ma długość 2220 mm. PZ, KW

Powrót fregaty

ORP „Gen. K. Pułaski” wrócił do Gdyni.

Do Gdyni po pięciomiesięcznej misji w Stałym Zespole Okrętów NATO (Standing NATO Maritime Group One – SNMG1) wróciła fregata rakietowa „Gen. K. Pułaski”. Zespół stanowi część Sił Odpowiedzi NATO. Na co dzień kontroluje on szlaki żeglugowe w północnej Europie, a także ćwiczy. Podczas misji ORP „Pułaski” przebył ponad 23,5 tys. Mm, odwiedził dziewięć zagranicznych portów. Wziął też udział w manewrach „Dynamic Guard” u wybrzeży Norwegii, „Joint Warrior” na poligonach morskich w okolicach Wielkiej Brytanii oraz największych w historii ćwiczeniach na Bałtyku „Baltops”. Fregata kierowała w nich działaniami SNMG1, które polegały na poszukiwaniu i zwalczaniu okrętów podwodnych. ORP „Gen. K. Pułaski” do zespołu SNMG1 wrócił po dziesięcioletniej przerwie. PZ, ŁZ

Zmiana warty

Polak zastąpił niemieckiego oficera na stanowisku dowódcy JFTC.



Gen. dyw. Adam Joks
kierował m.in. sztabem Wielonarodowej Dywizji Północny Wschód w Elblągu.

Dowódcą natowskiego Centrum Szkolenia Sił Połączonych (Joint Force Training Centre – JFTC) w Bydgoszcy został gen. dyw. Adam Joks, dotychczasowy zastępca szefa Sztabu Generalnego WP. Zmienił na tym stanowisku niemieckiego oficera gen. dyw. Wilhelma Grüna. Gen. Joks wcześniej dowodził m.in. Centralną

Grupą Wsparcia Współpracy Cywilno-Wojskowej, 6 Brygadą Powietrznodesantową. Od stycznia 2018 roku był zastępcą szefa SGWP. JFTC jest jedną z trzech placówek szkoleniowych Sojuszu Północnoatlantyckiego, której zadaniem jest przygotowanie żołnierzy NATO do działania w ramach operacji połączonych. PZ, MKS

DLA DZIECI I WETERANÓW

**Żołnierze wygrali
ósmą mecz
koszykówki
Gortat Team vs
Wojsko Polskie.**

Na parkiecie łódzkiej Atlas Areny zmierzyły się reprezentacja Wojska Polskiego oraz gwiazdy sportu i show-biznesu, które do udziału w akcji wspierania weteranów misji zagranicznych zaprosił słynny koszykarz Marcin Gortat. W meczu wystąpili m.in. sportowcy Agnieszka Radwańska i Bartosz Kurek, dziennikarze Szymon Majewski i Maciej Dowbor, oraz aktorzy Joanna Koroniewska i Agnieszka Włodarczyk. Na parkiecie triumfowali żołnierze. Teraz obie drużyny na swoim koncie mają po cztery wygrane. Dochód ze sprzedaży biletów będzie przekazany na rzecz fundacji **Marcina Gortata MG13**, która zajmuje się wspieraniem młodych sportowców. PZ, MKS



Przez dziesięć lat z Gortatem na wakacyjnych campach trenowało około 10 tys. dzieci. Fundacja wspiera także rodziny poległych i rannych weteranów, organizując wakacyjne obozy dla najmłodszych.

NOWA JEDNOSTKA

**Powstanie
14 Pułk Artylerii
Przeciwpancernej.**

Stacjonujący w Suwałkach 14 Dywizjon Artylerii Przeciwpancernej zostanie przekształcony w pułk. Jednostka powstała w 2010 roku po rozformowaniu funkcjonującego tam wcześniej pułku artylerii. Po tych zmianach zwiększy się liczba żołnierzy, którzy będą stacjonować w Suwałkach. Obecnie służy tam 150 wojskowych, a w pułku ma ich być nawet sześć razy więcej. Minister Mariusz Błaszczak poinformował, że suwalska jednostka zostanie wyposażona w nowoczesny sprzęt. Teraz artylerzyści korzystają z samobieżnych wyrzutni przeciwpancernych pocisków kierowanych 9M14 Malutka, które wkrótce zamienią na wyrzutnie pocisków kierowanych Spike. PZ, MM

Z wielkim żalem przyjąłem wiadomość o śmierci Pana

**plk. prof. Jerzego Majkowskiego
ps. „Czarny”**

żołnierza Armii Krajowej,
bohatera Powstania Warszawskiego,
prezesa Środowiska Żołnierzy
Batalionów AK „Gustaw”
i „Harnaś”,
członka zarządu Światowego
Związku Żołnierzy Armii Krajowej,
Wielkiego Patrioty, przez całe życie
oddanego służbie Ojczyźnie.

Rodzinie

składam wyrazy głębokiego
współczucia.

Mariusz Błaszczak
minister obrony narodowej

„Sophia” do jesieni



Prezydent przedłużył
misję nad Morzem
Śródziemnym.

We włosko-amerykańskiej bazie Sigonella na Sycylii nad Morzem Śródziemnym służyć pełni III zmiana Polskiego Kontyngentu Wojskowego EU „Sophia”. Stacjonuje tam niemal stu żołnierzy, głównie z Brygady Lotnictwa Marynarki Wojennej w Gdyni. Mandat PKW miał trwać trzy miesiące, ale decyzją prezydenta Andrzeja Dudy przedłużono go do 30 września. Podczas

służby na misji polski samolot Bryza regularnie patroluje szlaki żeglugowe pomiędzy Sycylią a Libią. Załogi wypatrują łodzi z nielegalnymi imigrantami, a także jednostek, które mogłyby przemycać broń czy ropę naftową. Prezydent przedłużył także do końca roku mandat innych polskich kontyngentów: w Afganistanie, Iraku, Kosowie, na Łotwie oraz w Rumunii. PZ, ŁZ

LIFTING T-72

**Podpisano umowę
na remont wraz
z modyfikacją
318 czołgów.**

Kontrakt ma być realizowany w latach 2019–2025, a jego wartość to 1 mld 750 mln zł. Umowa zawarta między 1 Regionalną Bazą Logistyczną w Wałczu a konsorcjum tworzącym przez Polską Grupę Zbrojeniową, Zakłady Mechaniczne Bumar-Łabędy oraz Wojskowe Zakłady Motoryzacyjne przewiduje przywrócenie czołgom T-72 sprawności technicznej oraz wymianę wybranych podsystemów. „Czołgi zostaną wyposażone w nowoczesne przyrządy celownicze, nawigacyjne, obserwacyjne, a także w nowoczesną łączność cyfrową. Przeprowadzone zostaną gruntowne remonty”, mówił minister Mariusz Błaszczak. Jak podaje MON, modyfikacja to konieczne rozwiązanie postawione do czasu wprowadzenia czołgu nowej generacji Wilk. PZ, KW ■

SKOK Z GIGANTA

Instruktorzy i zwiadowcy 6 Brygady Powietrznodesantowej desantowali się z lecącego na wysokości 4 tys. m transportowego giganta – samolotu **C-17 Globemaster**. Były to pierwsze skoki z amerykańskiego

transportowca zorganizowane według polskich przepisów i z wykorzystaniem naszych spadochronów. Na Pustyni Błędowskiej wylądowało też sześć kontenerów z kilkunastoma tonami ładunku. PZ, MKS ■

DODATKOWE WSPARCIE

Sejm przyjął nowelizację ustawy o weteranach.

Zaproponowane przez resort obrony zmiany przewidują więcej ułatwień dla weteranów i weteranów poszkodowanych w misjach poza granicami Polski. Zgodnie z nowymi przepisami opieka medyczna nad tą grupą żołnierzy obejmie wszystkie schorzenia, a nie tylko te bezpośrednio związane z urazem lub chorobą nabytą podczas misji. Nowelizacja zapewnia dostęp do bezpłatnych leków i wyrobów medycznych.

W projekcie znalazła się też możliwość bezpłatnego udziału weteranów wraz z członkiem rodziny w turnusach readaptacyjno-kondycyj-

nych. Ustalono ponadto, że dodatek dla weterana poszkodowanego będzie przyznany

OPIEKA MEDYCZNA NAD WETERANAMI OBEJMUJE WSZYSTKIE SCHORZENIA

również osobom, które mają orzeczony uszczerbek na zdrowiu od 1 do 9%, oraz rozszerzono prawo do uzyskania pomocy na naukę dla weteranów poszkodowanych z co

najmniej trzydziestoprocentowym uszczerbkiem na zdrowiu. Teraz taka osoba może nie tylko dostać dofinansowanie na studia zaoczne pierwszego stopnia, ale też przy wsparciu państwa kontynuować naukę i uzyskać tytuł magistra. Nowe przepisy umożliwią także każdemu weteranowi poszkodowanemu prawo do ulgowych przejazdów środkami publicznego transportu zbiorowego i zwolnienia z opłat za abonament radiowo-telewizyjny, a wszystkim weteranom bezpłatny wstęp do muzeów państwowych i do samorządowych obiektów sportowych. AD ■

Zmiany u pancerniaków

Trwa formowanie 19 Brygady Zmechanizowanej. Jednostka ma wejść w skład 18 Dywizji Zmechanizowanej. Tworzenie 19 BZ rozpoczęło się w czerwcu, a jej dowództwo mieści się w Lublinie. Na jej czele stanął płk Michał Rohde, który służył wcześniej w 10 Brygadzie Kawalerii Pancernej, był też szefem Połączonego Centrum Operacyjnego Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych. Brygadę będzie tworzyć pięć pododdziałów: 19 Batalion Dowodzenia,



Płk Michał Rohde
będzie dowódcą
19 Brygady
Zmechanizowanej.

który podlegał 9 Brygadzie Wsparcia Dowodzenia, 1 Batalion Zmechanizowany z Chełma i 3 Batalion Zmechanizowany z Zamościa (obecnie w strukturach 1 Brygady Pancernej), a także Batalion Czołgów 21 Brygady Strzelców Podhalańskich. Na potrzeby 19 BZ w Lublinie zostanie sformowany jeszcze jeden batalion czołgów. Brygada rozpocznie działanie 1 października 2019 roku, a pełną gotowość bojową osiągnie w 2022 roku. PZ, MM ■

Życzenia z okazji



Andrzej Duda

PREZYDENT RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ
ZWIERZCHNIK SIŁ ZBROJNYCH

Żołnierze i Pracownicy Cywilni Sił Zbrojnych!
Szanowni Czytelnicy „Polski Zbrojnej”!

Jak co roku 15 sierpnia, w rocznicę wiktoria warszawskiej, obchodzimy Święto Wojska Polskiego. Z tej okazji proszę przyjąć gratulacje oraz życzenia satysfakcji i wielu sukcesów w pełnieniu zaszczytnej służby Żołnierza Rzeczypospolitej. Składam wyrazy uznania i wdzięczności wszystkim, którzy codzienną rzetelną pracą umacniają niepodległość naszej Ojczyzny. Serdeczne myśli kieruję także do rodzin wojskowych, które są dla swoich bliskich bezcennym oparciem, przyczyniając się w ten sposób do budowania siły i bezpieczeństwa Rzeczypospolitej.

Jubileusz 100-lecia odrodzenia, obrony i odbudowy suwerennego państwa polskiego często przypomina nam o bojowych zasługach przodków i poprzedników. Młoda armia, sformowana z ludzi o męźnych, śmiałych i patriotycznych sercach, należała do pierwszych instytucji i fundamentów wolnej Rzeczypospolitej. Wojsko już u zarania niepodległości stanęło na straży

granic państwowych i swobód odzyskanych przez nasz naród. Walcząc na wielu frontach, obroniło prawo przynależności rodaków z Wielkopolski, Śląska i Kresów do Macierzy. Wreszcie, odparło nawałę bolszewicką i w ciężkim, bohaterskim boju zapewniło odrodzonej Polsce trwałą wolny byt.

Dzisiaj to Państwo kontynuują te wspaniałe tradycje, strzegąc całości i nienaruszalności terytorium Rzeczypospolitej oraz spokoju i bezpieczeństwa współobywateli. Chcę podkreślić, że my, Polacy, bardzo wysoko cenimy honor munduru wojskowego, a noszących go godnie żołnierzy głęboko szanujemy. Armia jest gwarantem niepodległości i powodem narodowej dumy. Jako Zwierzchnik Sił Zbrojnych dziękuję dziś każdemu z Państwa zwłaszcza za wkład w modernizację Wojska Polskiego oraz rozwój współpracy z naszymi partnerami w NATO. Wierzę, że dzięki wzajemnemu wsparciu Polska będzie coraz mocniejszym punktem Sojuszu na jego wschodniej flance oraz elementem architektury pokoju i bezpieczeństwa w Europie i na świecie.



Mateusz Morawiecki

PREZES RADY MINISTRÓW

Drodzy Żołnierze i Pracownicy Wojska!

Święto Wojska Polskiego to czas radosny. Wyrażamy naszą dumę z dziedzictwa polskiego oręża i jego współczesnego oblicza. Dziękujemy Wam – na co dzień strzegącym naszych granic i naszego bezpieczeństwa – za całą niełatwą służbę. Jesteśmy wdzięczni za Wasz profesjonalizm, dążenie do doskonałości i gotowość do działania dla dobra wspólnego.

Jak przed niemal stu laty triumf polskiego żołnierza ocalił nasz kraj, tak i dzisiaj wojsko jest jednym z gwarantów naszej państwowości. Dzięki stabilności i bezpieczeństwu – zapewnianym przez Was i dzięki wsparciu sojuszników – możemy wspólnie

rozwijać Polskę. My, Polacy, potrzebujemy silnego Wojska Polskiego. Dlatego też zwiększamy jego liczebność, modernizujemy wyposażenie, wzmacniamy potencjał bojowy i aktywnie działamy w NATO. Wszystko po to, by polskie rodziny mogły spokojnie myśleć o przyszłości.

Z okazji Waszego święta, w imieniu swoim i całej Rady Ministrów pragnę życzyć Wam satysfakcji z odgrywania ważnej dla społeczeństwa roli, spełnienia ambicji i osiągania sukcesów. Pełniąc służbę – w Polsce i wszędzie tam, gdzie wymaga tego interes narodowy – bądźcie pewni, że rodacy Was doceniają i podziwiają.

Święta Wojska Polskiego



Mariusz Błaszczak

MINISTER OBRONY NARODOWEJ

Święto Wojska Polskiego to doskonała okazja, by nie tylko uczcić rocznicę Bitwy Warszawskiej – wielkiego zwycięstwa, które zatrzymało bolszewicką nawałę, lecz także podziękować i Waszym bohaterskim przodkom, i Wam – współczesnym żołnierzom. Podziękować i przekazać słowa uznania za patriotyzm, profesjonalizm, oddanie i służbę Ojczyźnie. Dziś to Wy – żołnierze Sił Zbrojnych RP, przez 24 godziny na dobę, 365 dni w roku stoicie na straży bezpieczeństwa Polski i obywateli naszego kraju.

Naszym wspólnym życzeniem i celem jest silne, dobrze wyposażone i sprawnie dowodzone Wojsko Polskie. Dążę do zapewnienia Wam godnych, coraz lepszych warunków służby i pracy. To przede wszystkim Wasza zasługa, że siły zbrojne cieszą się dziś zaufaniem Polaków i dają im powód do dumy.

Dziękuję za Waszą służbę, pracę, za zaangażowanie oraz wysiłek. Za to, że Wasza postawa i profesjonalizm są doceniane przez obywateli naszego kraju oraz sojuszników i wzmacniają pozycję międzynarodową Polski.



Gen. broni Rajmund T. Andrzejczak

SZEF SZTABU GENERALNEGO WOJSKA POLSKIEGO

Panie i Panowie Oficerowie, Podoficerowie, Szeregowi, Szanowni Państwo!

15 sierpnia to data o szczególnym znaczeniu dla Wojska Polskiego. Upamiętnia zwycięską Bitwę Warszawską z 1920 roku, jest wyrazem hołdu dla tradycji i dorobku narodowego oręża. W tym dniu oddajemy cześć bohaterstwu tych, którzy zginęli w walce o wolność naszej Ojczyzny. Ich chwalebny czyn zbrojny wskazał najlepsze i najważniejsze cechy polskiego żołnierza, które dziś muszą być dla nas drogowskazem w służbie.

Słowa te kieruję do wszystkich żołnierzy, zarówno tych, którzy pełnią obowiązki w kraju, na placach ćwiczeń, w jednostkach bojowych, dowództwach, sztabach, jak i tych, którzy służą poza granicami kraju w polskich kontyngentach wojskowych oraz przedstawicielstwach wojskowych NATO, ONZ i Unii Europejskiej.

Z okazji Święta Wojska Polskiego z satysfakcją dziękuję Wam za wysiłek, oddanie i poświęcenie

w imię najwyższych wartości. Żołnierze zawsze byli dumą swojego narodu, dlatego naszym solidarnym obowiązkiem jest służba dla przyszłości niepodległej Ojczyzny. Życzę Wam więc poczucia spełnienia w realizacji codziennych zadań.

Dziś wspólnie tworzymy nowoczesne siły zbrojne. Potrzebujemy nowych zdolności, aby sprostać współczesnym wyzwaniom i zagrożeniom. Środowisko bezpieczeństwa stale ulega modyfikacjom, a to wymaga wprowadzania wielokierunkowych zmian, nie tylko modernizacyjnych, ale także nowych strategii działania oraz nowoczesnych metod dowodzenia i szkolenia, które będą oparte na wiedzy. Wraz ze wzrostem dynamiki zmian wzrasta znaczenie innowacji, a ona jest podstawą rozwoju.

Życzę Wam niegasnącej siły i motywacji do działania oraz wszelkiej pomyślności. Niech służba Ojczyźnie przynosi Wam na co dzień zadowolenie, zasłużony szacunek i uznanie.



Życzenia z okazji



Gen. broni Jarosław Mika

DOWÓDCA GENERALNY RODZAJÓW SIŁ ZBROJNYCH

Obchodzone w rocznicę Bitwy Warszawskiej Święto Wojska Polskiego upamiętnia wydarzenie, które na zawsze odmieniło losy całej Europy, a także pokazało dowódczy kunszt i żołnierskie bohaterstwo polskiego oręża. W tym roku, w sposób szczególny, w związku z obchodami 100-lecia powstań śląskich, przywołujemy pamięć o ludziach, którzy oddali swoje życie za Ojczyznę, i ich heroicznej walce o wolność.

Z okazji Święta Wojska Polskiego składam serdeczne życzenia wszystkim żołnierzom, kombatanom, weteranom oraz pracownikom resortu obrony

narodowej, którzy codzienną służbą i pracą wnoszą szczególnie zasługi w umacnianie obronności kraju i funkcjonowanie Sił Zbrojnych RP. Wasze doświadczenie i wysokie umiejętności, a także zaangażowanie w wykonywaniu obowiązków służbowych sprawiają, że stale rozwijamy naszą armię, stojąc na straży pokoju i bezpieczeństwa kraju.

Dziękuję wszystkim za wytrwałość i żołnierski wkład w unowocześnianie sił zbrojnych. Jednocześnie życzę Państwu sukcesów w służbie i pracy, powodzenia w osiąganiu wyznaczonych celów oraz szczęścia i wszelkiej pomyślności w życiu osobistym.



Gen. dyw. Tomasz Piotrowski

DOWÓDCA OPERACYJNY RODZAJÓW SIŁ ZBROJNYCH

Święto Wojska Polskiego to dzień chwały narodu, swego ducha i oręża czasów minionych oraz współczesnych. To dzień, w którym oddajemy cześć naszym poprzednikom, wiernym Polsce od początku jej istnienia aż do dziś. Dzisiaj chlubną tradycję polskiego oręża kontynuują polscy żołnierze pełniący wymagającą i często niebezpieczną służbę w kraju i poza jego granicami.

Wszystkim zaangażowanym w służbę pragnę złożyć życzenia satysfakcji, a także wytrwałości w skutecznym działaniu.

Żołnierzom w służbie i poza nią, pracownikom resortu obrony narodowej, kombatanom, weteranom i rodzinom wojskowym życzę wszelkiej pomyślności oraz sukcesów zawodowych i osobistych.



Gen. dyw. Wiesław Kukuła

DOWÓDCA WOJSK OBRONY TERYTORIALNEJ

To już kolejne Święto Wojska Polskiego, w którym uczestniczymy jako rodzaj sił zbrojnych. Niemal od trzech lat niestrudzenie rozwijamy swój potencjał, włączając w szeregi sił zbrojnych unikatowe kompetencje tysięcy terytorialsów, żołnierzy – obywateli. W tym roku po raz pierwszy zostały sprawdzone nasze możliwości. Zaangażowanie w akcje kryzysowe dowiodło nie tylko naszego potencjału, lecz także świadomości żołnierzy, którzy – zgodnie z mottem formacji – stawili się do pomocy.

Z okazji nadchodzącego Święta Wojska Polskiego dziękuję moim żołnierzom i pracownikom. Jestem wdzięczny za Wasze codzienne zaangażowanie w wykonywaną pracę i służbę, determinację w dążeniu do celu i uczynienie dobra Ojczyzny osobistym priorytetem. Życzę Wam, by służba wojskowa rozwijała Wasze kompetencje i była źródłem Waszej satysfakcji.

Dowodzenie Wami jest wielkim przywilejem!

Święta Wojska Polskiego



Gen. bryg. Robert Głąb

DOWÓDCA GARNIZONU WARSZAWA

Panie i Panowie Oficerowie, Podoficerowie, Żołnierze, Pracownicy Dowództwa Garnizonu Warszawa i jednostek podległych!

Obchodzone w rocznicę jednej z najznamienitszych wiktorii oręża polskiego – Cudu nad Wisłą – Święto Wojska Polskiego to wyjątkowa okazja, by przekazać Wam wyrazy wdzięczności i uznania za prezentowany na co dzień profesjonalizm, a także pogratulować osiągnięć w służbie.

Dziękuję za zaangażowanie i determinację w dążeniu do celu. Dziękuję za poświęcenie. Zarówno Wasze, jak i Waszych bliskich, którzy cierpliwie wspierają nas wszystkich w codziennym wypełnianiu powinności.

Niech tegoroczne święto, obchodzone w 99. rocznicę Bitwy Warszawskiej oraz 100. rocznicę wybuchu I powstania śląskiego, będzie okazją do chwili wytchnienia oraz wspólnego radosnego świętowania.

Wszystkim żołnierzom i pracownikom resortu obrony narodowej składam najlepsze życzenia: wytrwałości i skuteczności w służbie, wielu powodów do satysfakcji oraz dobrego zdrowia i rodzinnej harmonii.

Wyrazy szczególnego szacunku kieruję do byłych żołnierzy stołecznego garnizonu – weteranów, kombatanów i żołnierzy rezerwy. Wasz trud włożony w tworzenie suwerennej Ojczyzny jest godny najwyższego uznania.



Gen. bryg. Tomasz Połuch

KOMENDANT GŁÓWNY ŻANDARMERII WOJSKOWEJ

Święto Wojska Polskiego jest dniem wyjątkowym. Nie tylko dla całych Sił Zbrojnych Rzeczypospolitej Polskiej, ale również dla wszystkich Polaków. Tego dnia cieszymy się z niepodległości, oddajemy hołd bohaterom, którzy przelewali krew za naszą Ojczyznę, i dajemy dowód, że współczesne wojsko nadal stoi na straży polskich granic i bezpieczeństwa polskich obywateli.

Z okazji tego wyjątkowego święta kieruję do wszystkich żołnierzy wyrazy uznania dla codziennego zaangażowania, determinacji, a nierzadko poświęcenia. Jako Komendant Główny Żandarmerii Wojskowej życzę przede wszystkim bezpiecznej, pełnionej z zachowaniem wysokich standardów moralnych i poszanowaniem prawa, służby oraz nieustającej satysfakcji z realizowanych zadań.

Życzę Wam, aby bohaterowie Bitwy Warszawskiej, którzy 99 lat temu udowodnili, że dla polskie-

go żołnierza nie ma rzeczy niemożliwych, jeśli walka toczy się o niepodległość Ojczyzny, byli dla Was inspiracją każdego dnia, a polskie społeczeństwo postrzegało Waszą służbę wyłącznie przez pryzmat takich wartości, jak patriotyzm, męstwo, uczciwość i odpowiedzialność. Niech Wasza służba będzie powodem do chwały również dla Waszych Najbliższych, a sukcesom zawodowym niech zawsze towarzyszą szczęście i pomyślność w życiu prywatnym.

Na zakończenie życzenia i podziękowania kieruję do żołnierzy Żandarmerii Wojskowej i Ich Rodzin. Wiem, jak trudna i odpowiedzialna jest Wasza służba, często pełniona kosztem życia rodzinnego. Żandarmi, podziwiam i szanuję pracę, którą wykonujecie na rzecz polskich sił zbrojnych i polskiego społeczeństwa. Życzę Wam, aby duma i satysfakcja ze służby w formacji były niewspółmierne większe od trudów żandarmskiej służby.



**TEMAT
NUMERU**

/ LOTNICTWO

WIELOFUNKCYJNY SCYZORYK

Po co kupować bombowce, myśliwce
i maszyny wsparcia dla poszczególnych
rodzajów wojsk, skoro można
je wyposażyć w jeden samolot – multizadaniowy.
Na tym polega program modernizacyjny
amerykańskiej armii, który doprowadził
do opracowania F-35 Lightning II.

• KRZYSZTOF WILEWSKI



CHRISTINE GROENING/USAF

K

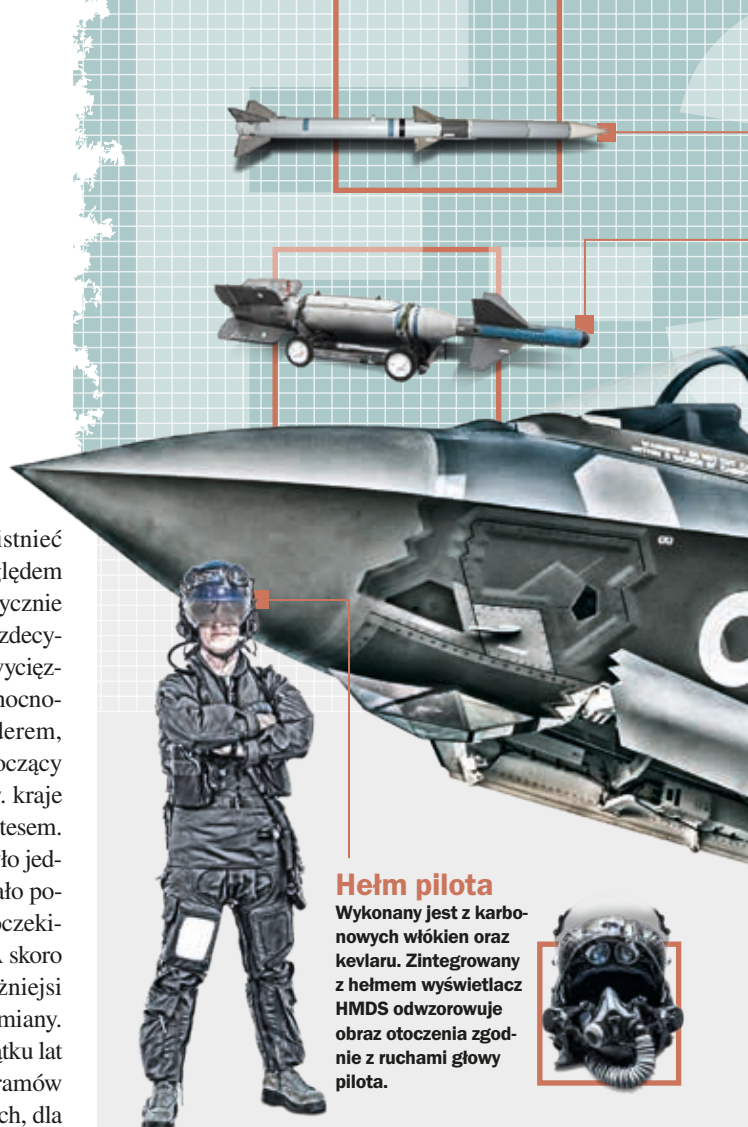
iedy w 1991 roku przestał istnieć Układ Warszawski (pod względem wojskowym w lutym, a politycznie w lipcu), Stany Zjednoczone zdecydowanie mogły poczuć się zwycięzcą zimnej wojny. Sojusz Północnoatlantycki, którego były liderem, przetrwał, a konkurent, jednoczący pod swoimi sztandarami tzw. kraje demoludów, rozpadł się z kretesem.

Jednym z efektów upadku żelaznej kurtyny było jednak to, że amerykańskie społeczeństwo chciało poczuć zwycięstwo we własnych portfelach i oczekiwało oszczędności w wydatkach na armię. A skoro naród chciał, zechcieli tego również najważniejsi w kraju politycy i zaordynowali stosowne zmiany. Ich konsekwencją był swoisty wysyp na początku lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku programów modernizacyjnych amerykańskich sił zbrojnych, dla których wspólny mianownik stanowiło oszczędzanie. Co bardzo charakterystyczne, szczególnie widoczne były one w lotnictwie.

Przyczyna wydaje się prozaiczna. Wszystkie rodzaje amerykańskich sił zbrojnych oprócz sił powietrznych – US Air Force (co oczywiste), czyli wojska lądowe – US Army, piechota morska – US Marine Corps, a także marynarka wojenna – US Navy, są na tyle autonomiczne pod względem operacyjnym, że nie tylko mają własną flotę statków powietrznych, lecz także, co istotne, to one na przestrzeni dekad decydowały o tym, jakiego typu maszyny, o jakich parametrach, z jakim uzbrojeniem były dla nich kupowane. Oczywiście miało to zalety – dowódcy i żołnierze dostawali dokładnie takie wojenne narzędzia, jakich oczekiwali, jednak powodowało również ogromne koszty. Różne typy samolotów to przecież różna logistyka, inne części, serwis. I o ile w czasach zimnej wojny niespecjalnie to społeczeństwu przeszkadzało, o tyle gdy komunizm upadł, a wojsko miało być tańsze, stało się to jednym z palących problemów do rozwiązania.

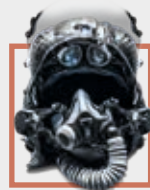
UNIFIKACJA

Panaceum na te bóle miała być unifikacja maszyn kolejnych generacji. Na przełomie 1991 i 1992 roku uruchomiono w tym kierunku dwa programy –



Hełm pilota

Wykonany jest z węglowych włókien oraz kevlaru. Zintegrowany z hełmem wyświetlacz HMDS odwzorowuje obraz otoczenia zgodnie z ruchami głowy pilota.



Typ samolotu	F-35A
długość	15,67 m
rozpiętość skrzydeł	10,67 m
powierzchnia skrzydeł	42,70 m ²
wysokość:	4,38 m
wysokość ze statecznikiem	6,86 m
masa własna	13 170 kg
masa uzbrojenia	8165 kg
uzbrojenie wewnętrzne	1 × działko GAU-22/A 25 mm, 2 × AIM-120 AMRAAM, 2 × GBU-31 JDAM
maksymalna masa startowa	31 751 kg
prędkość maksymalna (bez uzbrojenia zewnętrznego)	1,6 Ma
pułap	około 15 tys. m
zasięg (bez dodatkowych zbiorników)	około 2300 km
silnik	Pratt & Whitney F135-100 o ciągu – z dopalaczem 191,3 kN, bez dopalacza 128,1 kN
maksymalne przeciążenie	9 g

Wybrane uzbrojenie:

rakiety powietrze–powietrze AIM-9,

AIM-120 Meteor; pociski powietrze–ziemia AARGM, JASSM, Brimstone, JSM, LRASM,

bomby jądrowe B61

bomby kierowane Paveway JDAM, SDB, JSOW



F-35 WYLATANE GODZINY

205.001

Stan na 10 lipca 2019 roku

Jednomiejscowy samolot wielozadaniowy o obniżonej wykrywalności radarowej, zbudowany w ramach programu Joint Strike Fighter. Opracowano trzy wersje: A – samolot konwencjonalnego startu i lądowania, B – samolot krótkiego startu i pionowego lądowania, C – samolot pokładowy ze składanymi skrzydłami do bazowania na lotniskowcach.



F-35 został zakupiony m.in. przez: Wielką Brytanię, Izrael, Japonię, Włochy, Norwegię i Holandię.

Koła

Znajdują się na pojedynczych gołeniacach, koło przednie na półtelu.

Podwozie

W każdej wersji F-35 wykonane jest ze specjalnych stopów stali, tytanu i materiałów kompozytowych.

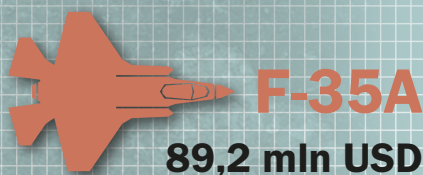
Kabina

Umieszczono tu dwa panoramiczne wyświetlacze wielofunkcyjne PCD (Panoramic Cockpit Display), na których pokazywane są informacje m.in. o pracy systemu uzbrojenia i nawigacji, układzie ostrzegania, a także dane taktyczne o sytuacji na ziemi i w powietrzu.

Typ samolotu	F-35B
długość	15,61 m
rozpiętość skrzydeł	10,67 m
powierzchnia skrzydeł	42,70 m ²
wysokość	4,36 m
wysokość ze statecznikiem	6,65 m
masa własna	14 588 kg
masa uzbrojenia	6804 kg
uzbrojenie wewnętrzne	2 × AIM-120 AMRAAM, 2 × GBU-32 JDAM
maksymalna masa startowa	27 216 kg
prędkość maksymalna (bez uzbrojenia zewnętrznego)	1,6 Ma
pułap	około 15 tys. m
zasięg (bez dodatkowych zbiorników)	około 1700 km
silnik	Pratt & Whitney F135-600 o ciągu – z dopalaczem: 191,3 kN, bez dopalacza – 128,1 kN, wentylator w zawisie – 80 kN
maksymalne przeciążenie	7 g

Typ samolotu	F-35C
długość	15,67 m
rozpiętość skrzydeł	13,11 m
powierzchnia skrzydeł	62,06 m ²
wysokość	4,48 m
wysokość ze statecznikiem	8,02 m
masa własna	14 547 kg
masa uzbrojenia	8959 kg
uzbrojenie wewnętrzne	2 × AIM-120 AMRAAM, 2 × GBU-31 JDAM
maksymalna masa startowa	31 751 kg
prędkość maksymalna (bez uzbrojenia zewnętrznego)	1,6 Ma
pułap	około 15 tys. m
zasięg (bez dodatkowych zbiorników)	około 2500 km
silnik	Pratt & Whitney F135-400 o ciągu – z dopalaczem: 191,3 kN, bez dopalacza – 128,1 kN
maksymalne przeciążenie	7,5 g

KOSZT PROGRAMU



KOMENTARZ

TONY „BRICK” WILSON

Tam gdzie myśliwce czwartej generacji są zmuszone przystosować się do coraz bardziej wymagającego pola bitwy, F-35 zmienia reguły i sam określa zasady walki, do których przeciwnik musi się dopasować. Samolot ma taką prędkość, zasięg i broń, że dorównuje lub przewyższa pod tym względem każdy myśliwiec starszej generacji. Charakteryzuje się

przy tym zdecydowaną przewagą pod względem bardzo niskiej wykrywalności, zaawansowanych zdolności radaru, świadomości sytuacyjnej oraz sieciocentrycznej łączności. Dzięki temu F-35 może działać w każdym środowisku i zwalczać dowolne zagrożenia, zapewniając w ten sposób ludziom w mundurach możliwość wykonywania zadań i bezpieczny powrót do domu. Mówiąc wprost, jest to najbardziej zaawansowany wielozadaniowy myśliwiec na świecie". ■

TONY „BRICK” WILSON jest pilotem testowym firmy Lockheed Martin.

strategiczne z punktu widzenia amerykańskiego lotnictwa. Pierwszy był projekt Multi Role Fighter (MRF). Jego najważniejszym celem było opracowanie następców wykorzystywanych przez US Air Force samolotów F-16 Fighting Falcon, a w dalszej kolejności także maszyn A-10S (USAF) oraz używanych przez marynarkę wojenną F/A-18C/D. Zgodnie z pierwotnymi planami MRF miał być jednosilnikową maszyną wielkością podobną do F-16, pilotowaną przez jedną osobę. Koszt samolotu miał się kształtować pomiędzy 35 a 50 mln dolarów. Nadzór nad programem powierzono Aeronautical Systems Center (ASC), mieszczącemu się w bazie sił powietrznych Wright-Patterson w Ohio.

Drugi był projekt A-X (Advanced-Attack), który pod koniec 1992 roku, po dodaniu nowych wymagań operacyjnych, zmienił nazwę na A/F-X (Advanced/Fighter-Attack). Początkowo celem A-X było opracowanie następcy używanych przez US Navy maszyn szturmowych A-6. Wstępne wymagania dla tego samolotu zakładały, że będzie to konstrukcja dwusilnikowa, pilotowana przez dwie osoby, z możliwym długim czasem lotu, obniżonym poziomem wykrywania przez radary oraz zaawansowaną awioniką. Wówczas do głosu doszły oszczędnościowe wytyczne amerykańskiego Kongresu i A-X miał się stać maszyną nie tylko dla marynarzy, lecz także Sił Powietrznych USA, zastępując w pierwszej kolejności F-111, a w długoterminowej perspektywie F-15E i F-117A. Dodano także wymóg wysokiej manewrowości oraz używania pełnej palety uzbrojenia (od pocisków powietrze–powietrze, przez rakiety do niszczenia radarów, aż po bomby). To wówczas zmieniono nazwę na A/F-X.

Projekt A/F-X, w przeciwieństwie do MRF, który nigdy nie wyszedł poza fazę koncepcyjną, doczekał się pierwszych decyzji przetargowych. Pod koniec 1991 roku Pentagon przyznał pięciu konsorcjom: Grumman–Lockheed–Boeing, Lockheed–Boeing–General Dynamics, McDonnell Douglas–Vought, Rockwell–Lockheed oraz General Dynamics–McDonnell

Douglas–Northrop, wartość po 20 mln dolarów kontrakty na opracowanie wstępnego projektu nowego samolotu. Niestety, zanim konsorcja uporały się z zadaniem (miały czas do końca 1992 roku), na szczytach amerykańskiej władzy zapadły decyzje o zamrożeniu wszystkich lotniczych projektów (w tym i MRF). W wyniku przeprowadzonej przez Departament Obrony analizy Bottom-Up Review (BUR), mającej dostosować armię do nowych wyzwań po upadku Związku Radzieckiego, w 1993 roku zdecydowano o ostatecznym zamknięciu projektów A/F-X oraz MRF. W ich miejsce w 1994 roku uruchomiony został program Joint Advanced Strike Technology (JAST).

POSZUKIWANIE ŚCIEŻKI

Należy wyraźnie podkreślić, że w przeciwieństwie do MRF i A-F/X, JAST nie był klasycznym programem badawczo-rozwojowym samolotu przyszłości, lecz raczej projektem wspierającym rozwój technologii i rozwiązań, dzięki którym za jakiś czas można by go stworzyć. Przewidywał, że w jego efekcie do końca lat dziewięćdziesiątych powstaną aż trzy wersje statków powietrznych. Pierwsza miała być klasycznym samolotem dla sił powietrznych. Druga, czyli pokładowa, była przeznaczona dla marynarki wojennej USA. Trzecia, pionowego startu i lądowania, miała trafić do marines i armii brytyjskiej. Co ciekawe, dokładnie takie samo było przeznaczenie (i właściwości) samolotu, nad którym dla Agencji Zaawansowanych Projektów Badawczych (dzisiejsza DARPA) od 1987 roku pracował koncern Lockheed. W 1993 roku program ten zmienił nazwę na Common Affordable Lightweight Fighter (CALF). Dwa lata później, w 1995 roku, Pentagon zdecydował o zamknięciu tego projektu i połączeniu go z JAST.

Podjęto wówczas również decyzję, że JAST zostanie przekształcony w klasyczny program opracowania nowego typu samolotu. Co bardzo ważne, miał to być projekt międzynarodowy. Jeszcze zanim w czerwcu 1996 roku zmieniono ofi-

cialnie jego nazwę na Joint Strike Fighter (JSF), jesienią 1995 roku Wielka Brytania podpisała z USA umowę, na mocy której za 200 mln dolarów (czyli 10% kosztów fazy koncepcyjno-demonstracyjnej) stała się udziałowcem całego projektu JSF. Dwa lata później, w 1997 roku, do programu JSF przystąpiła Kanada. Tyle tylko, że północny sąsiad Stanów Zjednoczonych zadeklarował wówczas wpłatę „jedynie” 10 mln dolarów.

Do walki o wielomiliardowe zlecenie – tylko armia USA chciała kupić ponad 3 tys. różnych wersji nowego samolotu, a liczono na spore zamówienia z zagranicy – stanęły cztery amerykańskie koncerny lotnicze: McDonnell Douglas, Northrop Grumman, Lockheed Martin i Boeing. W listopadzie 1996 roku Departament Obrony USA poinformował, że warte 750 mln dolarów (każdy) kontrakty na opracowanie latających demonstratorów technologii (dwóch sztuk) otrzymają firmy Lockheed Martin oraz Boeing. Pierwsza maszyna dostała oznaczenie X-35, a druga X-32. Wersje klasyczne samolotów miały być wyróżnione dodatkową literą A, czyli np. X-35A lub X-32A. Wersje pionowego startu i lądowania – literą B, czyli stosownie X-35B i X-32B, a wersje pokładowe – literą C, czyli X-35C i X-32C.

Wymagania, które wojskowi postawili przemysłowi w odniesieniu do nowej maszyny, były dość jasne. Oczekiwano, że będzie to samolot jednosilnikowy, pilotowany przez jedną osobę, dysponujący jak najszerszą paletą uzbrojenia przy jednoczesnych wysokich zdolnościach stealth, czyli obniżonej wykrywalności przez radary. Nie oczekiwano maszyny wybitnej i unikatowej w kontekście jej planowanych działań – walki powietrznej, bombardowania, a także wsparcia naziemnych oraz morskich operacji. Samolot przyszłości miał być przede wszystkim na tyle uniwersalny, żeby nadawał się dla wszystkich rodzajów sił zbrojnych.

ZWYCIĘSKI X-35

W październiku 2001 roku Pentagon ogłosił, że zwycięzcą przetargu została konstrukcja oferowana przez Lockheeda Martina, czyli samolot oznaczony jako X-35. Co o tym zdecydowało? Edward C. Aldridge Jr., amerykański wice-minister ds. zakupów, technologii i logistyki, który obwieścił światu wyniki przetargu, podkreślał, że obie maszyny spełniały podstawowe wymagania techniczne. A jednym z najważniejszych czynników decydujących o wygranej X-35 były kwestie finansowe – czyli m.in. gwarancje producenta co do ceny ostatecznych, seryjnych modeli poszczególnych wersji.

Eksperti branżowi wskazują jednak, że o zwycięstwie konstrukcji Lockheeda Martina przesądziły także aspekty techniczne, mające bezpośredni wpływ na użycie operacyjne samolotu. X-35 miał mieć lepsze od konkurenta m.in. parametry radarowej „niewidoczności”, czyli mniejszą powierzchnię odbicia. Dysponował większym zapasem masy użytecznej (mógł zabrać więcej uzbrojenia), a także został wyposażony w bardziej zaawansowane sieciocentryczne systemy wsparcia dowodzenia, które umożliwiały

m.in. wspomaganie sił walczących na morzu lub lądzie. A ten aspekt miał dla US Army i US Navy niebagatelne znaczenie.

UKŁAD PARTNERSKI

Po wskazaniu przez Pentagon zwycięzcy przetargu do Wielkiej Brytanii oraz Kanady, jako partnerów programu, dołączyły kolejne państwa – Dania, Norwegia, Włochy, Turcja, Australia i Holandia. Nie nabyły one jednak takich praw jak Zjednoczone Królestwo, które z wkładem wynoszącym 2 mld dolarów było (i jest do dziś) jedynym krajem tzw. pierwszego poziomu. Status „drugiego poziomu” uzyskały jedynie dwa państwa – Włochy (z wkładem w wysokości 1 mld dolarów) i Holandia (około 800 mln dolarów), „trzeci poziom” zaś tworzyły Turcja, Austria, Norwegia, Dania oraz Kanada. Podane kwoty to wielkości jedynie w przybliżeniu, gdyż oficjalnie wkład Turcji w JSF wyniósł 175 mln dolarów, a w niedawnych wypowiedziach prezydent tego kraju zagroził, że wycofa się z zakupu F-35 i będzie żądać zwrotu aż miliarda dolarów własnych nakładów.

Co zyskują kraje będące partnerami w programie JSF? W skrócie można powiedzieć, że wkład w jego produkcję. Im większy udział, tym jest ona większa. Jeśli chodzi o Wielką Brytanię, to firmy z tego kraju dostarczają około 15% podzespołów samolotu, w tym produkują m.in. tylną część kadłuba, układ paliwowy, napędy dla wersji F-35B, system ratunkowy oraz będą odpowiedzialne za integrację brytyjskiego uzbrojenia.

OD PLANÓW DO KONKRETÓW

Demonstracyjny egzemplarz F-35 w wersji A po raz pierwszy pokazano publicznie w lutym 2006 roku. Pół roku później samolot otrzymał nazwę wyróżniającą Lightning II. Maszyna o długości 15,67 m, rozpiętości skrzydeł 10,67 m (przy ich powierzchni 42,70 m²) i wysokości 4,38 m, została wyposażona w radar AESA AN/APG-81 i optoelektroniczny system samoobrony przed pociskami oraz obserwacji statków AN/AAQ-37 (wszystkie podzespoły produkowane przez koncern Northrop Grumman), awionikę i system celowniczy AN/AAQ-40 firmy Lockheed Martin, a także pakiet walki elektronicznej AN/ASQ-239 Barracuda od koncernu Bae System. Wersja F-35B, czyli pionowego startu i lądowania, została zaprezentowana dwa lata później, w 2008 roku, a model pokładowy F-35C – w 2010 roku. Moment przełomowy, czyli przyjęcie do służby w US Air Force pierwszego samolotu F-35, oczywiście w wersji A, nastąpił 14 lipca 2011 roku. Rok później wszedł do służby pierwszy seryjny egzemplarz F-35B, jednak nie w US Marine Corps, lecz w armii Wielkiej Brytanii. W 2013 roku nastąpił ostatni z przełomowych momentów programu F-35, czyli przekazano na potrzeby US Navy maszynę pokładową F-35C.

Obecnie wyprodukowano już 400 samolotów F-35 (w trzech wersjach), a maszyny znalazły się w wyposażeniu armii amerykańskiej, brytyjskiej, australijskiej, włoskiej, japońskiej, izraelskiej, holenderskiej oraz tureckiej, norweskiej i koreańskiej. ■



Latający sensor

**F-35 będą wyzwaniem dla całych sił zbrojnych.
Aby maksymalnie wykorzystać ten samolot,
trzeba zrozumieć, czym są maszyny piątej generacji.**

EWA KORSAK

Zakup F-35 będzie przełomem nie tylko dla polskiego lotnictwa, lecz także dla całych sił zbrojnych. Dlaczego? Na czym polega wyjątkowość tego samolotu? Piloci wspominają o ograniczonej widoczności F-35 dla radarów, ale przede wszystkim o olbrzymich możliwościach zbierania danych i przekazywania ich zarówno innym statkom powietrznym, jak i np. okrętom czy JTAC-om (Joint Terminal Attack Controller) – wszystkim, którzy są zaangażowani w walkę. Umożliwiają to urządzenia znajdujące się w maszynie. „F-35 można określić latającym sensorem”, mówi gen. bryg. Jacek Pszczoła, inspektor sił powietrznych oraz pełnomocnik ministra obrony narodowej ds. wdrożenia samolotów piątej generacji.

Jak przekłada się to na sytuację na polu walki? „Oznacza to, że pilot F-35 – gdy chce zidentyfikować cel – nie musi już np. cały czas manualnie kontrolować, jaki wycinek przestrzeni powietrznej widzi jego radar, i zestawiać tych informacji z otrzymanymi m.in. z systemu identyfikacji »swój-obcy«. Ma znacznie większą świadomość sytuacyjną w porównaniu do kolegi pilotującego myśliwiec czwartej generacji. Ponadto sensory dostarczają dane, które można przekazywać wszystkim graczom na polu walki”, wyjaśnia gen. bryg. Ireneusz Nowak, dowódca 2 Skrzydła Lotnictwa Taktycznego.

Piloci przyznają, że przeniesie ich to w nowy wymiar prowadzenia operacji. Nie będą to działania połączone, lecz „multi-domain”. Trudno dziś znaleźć w polskiej nomenklaturze odpowiednie słowa, które tłumaczyłyby charakter takich działań. „Nie łączymy komponentów [np. powietrznego, morskiego czy lądowego], dowodzenie jest dynamiczne i prowadzone w wielu domenach jednocześnie”, wyjaśnia Nowak. W „multi-domain” statki powietrzne, okręty oraz siły lądowe prowadzą walkę równolegle, ich działania nie następują – jak to jest w operacjach połączonych – jedno po drugim. Jaka rolę odgrywa w tym systemie F-35? „Informacje są przekazywane do różnych platform i od nich w czasie rzeczywistym. Wszystkie elementy współpracują ze sobą. F-35 ma służyć takiej właśnie jedności wykonywania operacji”, wyjaśnia dowódca 2 Skrzydła Taktycznego.

POTRZEBA OTWARTYCH GŁÓW

Zakup maszyny piątej generacji może się stać przełomem w polskiej armii, ale będzie też dla niej olbrzymim wyzwaniem. „Podpisaliśmy już umowę o ochronie informacji niejawnych związanych z samolotem F-35. Teraz czekamy na deklarację Kongresu Stanów Zjednoczonych i jego pozytywną opinię o możliwości zakupu przez Polskę tych myśliw-



„Lata między podpisaniem umowy a dostarczeniem pierwszych samolotów trzeba wykorzystać na zbudowanie infrastruktury oraz wyselekcjonowanie pierwszych pilotów i personelu technicznego, którzy wykształcą się na F-35”, mówi gen. bryg. Jacek Pszczoła.

DANE WIEDMANN/LOCKHEED MARTIN



ców”, mówi gen. bryg. Jacek Pszczoła. Czego dotyczy podpisana umowa? „Otrzymamy dostęp do informacji o F-35. Są to pilnie strzeżone dane, o których nie możemy mówić. Dotyczą możliwości taktycznych i operacyjnych samolotu. Dostęp do nich będą miały najważniejsze osoby w Ministerstwie Obrony Narodowej oraz zespół ds. wdrożenia samolotów piątej generacji”, mówi gen. Pszczoła. Z chwilą podpisania umowy na zakup samolotów zespół ten zostanie przekształcony w biuro F-35. „Znajdą się w nim piloci, ale też specjaliści z innych dziedzin”, wyjaśnia generał. Będą oni odpowiedzialni za właściwe wprowadzenie F-35 do polskiej armii. „Jestem za tym, by robić to etapami. Takie są doświadczenia Belgów i Izraelczyków. Czyli najpierw przygotowujemy siły powietrzne, następnie całą armię”, dodaje gen. Pszczoła.

Jak to zrobić skutecznie, tak by F-35 nie stał się drogą maszyną, której możliwości nie będziemy w stanie wykorzystać? Gen. Nowak twierdzi, że jest spokojny o przygotowanie technologiczne, ale zwraca uwagę na to mentalne. „Nie można dzisiaj być w armii specjalistą w swojej wąskiej dziedzinie, mieć kłapek na oczach i nie patrzeć dookoła. Trzeba rozumieć całość tego, co dzieje się na polu walki. Nasze siły zbrojne muszą być organizacją uczącą się, aspirującą do miana formacji na miarę XXI wieku. Jeśli nie pójdziemy w tym kierunku, nie osiągniemy sukcesu. Musimy mieć otwarte głowy. F-35 będzie tego dobrym probierzem”, mówi dowódca 2 Skrzydła. Obaj piloci F-16 – generałowie Pszczoła i Nowak – mają doświadczenie z wprowadzania samolotów F-16 w struktury polskiej armii. „Wiem, że kiedyś zostały popełnione błędy. Dziś ich nie powtórzymy”, zapewnia inspektor sił powietrznych. Receptą na ich uniknięcie ma być, według lotników, otwarcie się na wiedzę. „Trzeba otworzyć głowy, uczyć się, przejść przyspieszony kurs zdobywania wiedzy o tej platformie. Nie wolno nam tracić czasu”, twierdzi gen. Nowak. Ile mamy czasu? Plan zakłada, że kontrakt na zakup F-35 podpiszemy w tym roku.

Od tej chwili minie około czterech lat, zanim pierwszy F-35 dla Polski zejdzie z taśmy produkcyjnej. „Potem czekają nas jeszcze dwa lata poświęcone na szkolenie pierwszych polskich pilotów i personelu technicznego. Liczę więc na to, że pierwszy F-35 pojawi się w Polsce w... 2026 roku”, mówi gen. Pszczoła. Co do tego czasu? „Pracy jest bardzo dużo. Lata między podpisaniem umowy a dostarczeniem pierwszych samolotów trzeba wykorzystać na zbudowanie infrastruktury oraz wyselekcjonowanie pierwszych pilotów i personelu technicznego, którzy wykształcą się na F-35”, mówi gen. Pszczoła. Dziś prowadzone są analizy, gdzie będą stacjonować samoloty piątej generacji. „Sprawdzamy pod tym kątem istniejące już bazy”, mówi inspektor sił powietrznych. Która z nich ma szansę przyjąć F-35? „Żadna nie posiada infrastruktury, by przyjąć je już dziś. Bazy F-16, w szczególności ta w Łasku, są jednak najbliższe spełnienia wymogów”, przyznaje gen. Nowak.

PRZED NAMI WYZWANIE

Kolejna sprawa to lotnicy i personel techniczny, który miałby się zajmować F-35. „Pierwsza grupa na pewno zostanie wybrana spośród pilotów F-16. Ich szkolenie odbędzie się w USA i potrwa około dwóch lat”, wyjaśnia gen. Pszczoła. Gen. Nowak dodaje, że na ich barkach spoczywa wielka odpowiedzialność: „To oni od zera będą tworzyć polski zasób wiedzy o maszynach piątej generacji”. W przyszłości, jak zapewnia gen. Pszczoła, na szkolenie na F-35 będą kierowani piloci po przygotowaniu na samolotach Bielik. „M-346 są do tego stworzone”, mówi inspektor sił powietrznych.

Przyjęcie maszyn piątej generacji do służby będzie trudnym procesem, choć lotnicy widzą to nieco inaczej. „Dla mnie i moich kolegów to wyzwanie. A my lubimy wyzwania i robimy wszystko, by im sprostać. Nie mam wątpliwości, że czeka nas olbrzymia praca, ale też jestem pewny, że zakończy się ona sukcesem”, mówi gen. Pszczoła. ■



W LATACH
2019–2028
ZOSTANIE
WYPRODUKOWA-
NYCH **3401**
MYŚLIWCÓW,
O 499 WIĘCEJ NIŻ
W POPRZEDNIEJ
DZIESIĘCIOLATCE

KUZYNI LIGHTNINGA

Na świecie istnieje tylko kilka samolotów wielozadaniowych zaliczanych do maszyn piątej generacji.

T A D E U S Z W R Ó B E L

W ostatniej dekadzie zimnej wojny Amerykanie uruchomili program myśliwca przewagi powietrznej, który byłby w stanie przebić się przez rozbudowaną sowiecką obronę. W odpowiedzi na zapytanie Departamentu Obrony wstępne propozycje przedstawiło siedmiu oferentów. W październiku 1986 roku Pentagon wybrał dwóch z nich, którzy mieli zbudować zdolny do lotu demonstrator technologii. Zwycięzcami tej fazy programu byli: Lockheed, który nawiązał współpracę z General Dynamics, oraz Northrop, który stworzył zespół z McDonnell Douglas.

Rywal przygotowali do prób samoloty, które oblatano w 1990 roku. 23 kwietnia 1991 roku sekretarz obrony USA Donald Rice ogłosił, że program myśliwca nowej generacji będzie kontynuowany na bazie YF-22 Lockheeda. O zwycięstwie tej konstrukcji zdecydowały nowoczesne rozwiązanie napędu i wysoka manewrowość, a także niższa cena niż rywalizującego z nim YF-23. Zgodnie z oczekiwaniami US Air Force maszynę zbudowano z wykorzystaniem technologii stealth, mającej czynić ją trudno wykrywalną dla radarów przeciwnika.

Pentagon wybrał samolot wyposażony w dwuprzepływowe silniki turboodrzutowe, które cechuje niższe zużycie paliwa niż w silnikach turboodrzutowych. Kluczowym wymogiem postawionym nowej maszynie była trudna wykrywalność dla radarów. Uzyskano to poprzez kształt płatowca i użyte do jego budowy materiały. Z tego powodu uzbrojenie zostało ukryte wewnątrz kadłuba, w trzech komorach. Poza tym istnieje możliwość jego podwieszenia pod skrzydłami. Samolot otrzymał nowoczesne wyposażenie elektroniczne i awionikę, co pozwala

mu naprowadzać na cel maszyny starszej generacji.

W połowie lat dziewięćdziesiątych XX wieku F-22 otrzymał przydomek Raptor, a jego produkcja rozpoczęła się w 1996 roku. Według planów z 1985 roku miano zakupić aż 750 tych samolotów za ponad 26 mld dolarów (koszt całego programu szacowano na ponad 44 mld dolarów). Jednak nastąpił kres zimnej wojny i Amerykanie nie widzieli już potrzeby kontynuacji programów zbrojeniowych o wielkiej skali. Wśród powodów zakończenia produkcji można wskazać bardzo wysoką cenę tej maszyny, rezygnację z wersji morskiej oraz to, że wówczas już istniał program nowocześniejszej od niego konstrukcji – Joint Strike Fighter, czyli dzisiejszego F-35. Ważny był też brak zgody na eksport F-22A, którym były zainteresowane Australia, Izrael i Japonia. Ostatecznie w latach 1996–2011 powstało tylko 195 maszyn, w tym osiem prototypów. Po formalnym wejściu do służby w grudniu 2005 roku samolot otrzymał swe obecne oznaczenie – F-22A.

Aby można go było użyć w konfliktach asymetrycznych, Raptor musiał przejść modernizację. Ten podzielony na trzy etapy proces potrwa do 2023 roku i będzie kosztował 16 mld dolarów. Dzięki temu F-22A może już korzystać z szerszej gamy uzbrojenia, w tym do atakowania celów naziemnych. Amerykanie planują, że Raptor, który pierwszy raz był użyty bojowo dopiero we wrześniu 2014 roku w Syrii, zostanie zastąpiony w latach trzydziestych samolotem należącym już do szóstej generacji.

CHIŃSKI DUET

Choć obecnie samoloty piątej generacji porównuje się z F-35 Lightning, to tak naprawdę chińskie



Typ samolotu	J-31
Długość [m]	16,9–17,3
Rozpiętość skrzydeł [m]	11,5
Wysokość [m]	4,8
Powierzchnia nośna skrzydeł [m²]	40
Maksymalna masa startowa [kg]	28 000
Zapasy paliwa bez dodatkowych zbiorników [kg]	–
Prędkość maksymalna [Ma]	1,8
Pułap [m]	20 000

Typ samolotu	F-22
Długość [m]	18,92
Rozpiętość skrzydeł [m]	13,56
Wysokość [m]	5,09
Powierzchnia nośna skrzydeł [m²]	
Maksymalna masa startowa [kg]	37 875
Zapasy paliwa bez dodatkowych zbiorników [kg]	8200
Prędkość maksymalna [Ma]	2,25
Pułap [m]	20 000

i rosyjskie projekty stanowiły reakcję właśnie na Raptora. Pierwsze informacje o chińskim myśliwcu stealth pojawiły się w 2009 roku, ale wówczas prace nad nim trwały już od lat.

Obecnie w chińskim lotnictwie jest kilkadziesiąt maszyn J-20 Black Eagle. Samolot ten pierwszy raz wzbił się w powietrze w styczniu 2011 roku, a sześć lat później wszedł do służby. Pod względem rozmiarów jest on podobny do F-22A i tak jak konstrukcja amerykańska został wyposażony w dwa silniki. J-20 ma wewnątrz kadłuba trzy komory do przenoszenia uzbrojenia – dwie mniejsze na kierowane pociski rakietowe powietrze–powietrze i większą na bomby, pociski powietrze–ziemia lub przeciwookrętowe. Podobnie jak Raptor, J-20 ma też podskrzydłowe węzły uzbrojenia. Amerykanie sądzą, że Chińczycy poprawili konstrukcję swego samolotu dzięki wykradzionym informacjom o F-35.

Ekspert amerykański przyznają, że podwyższona niewidzialność i zwiększona manewrowość J-20 zapewniają Chińczykom niedostępne wcześniej sposoby prowadzenia walki powietrznej, jak również projekcji siły. Niemniej jednak nie jest to docelowa wersja maszyny. Możliwości części systemów pokładowych nie są satysfakcjonujące. Problemem jest podobno powłoka wchłaniająca fale radarowe, okazuje się zatem, że J-20 ma ograniczone zdolności stealth.

W 2012 roku wzbił się w powietrze drugi chiński myśliwiec zaliczany do piątej generacji, noszący oznaczenie J-31. Źródła chińskie utrzymywały wówczas, że powstaje on głównie z myślą o rynkach zagranicznych i stąd jego drugie oznaczenie – FC-31. Jednak w 2017 roku pojawiły się informacje, że J-31 może zostać maszyną operującą z chińskich lotniskowców, a zainteresowanie rodzimych sił zbrojnych potwierdza przyznanie programowi państwowego dofinansowania.

J-31 ma wejść do produkcji w przyszłym roku. Gdy po raz pierwszy pokazano jego zdjęcia, eksperci lotniczy dostrzegli podobieństwo do F-35. Niemniej pomiędzy obiema konstrukcjami jest

istotna różnica. F-35 jest samolotem jednosilnikowym, a J-31 dwusilnikowym. Prawdopodobnie to konsekwencja braku jednostki napędowej o odpowiednim ciągu. J-31 może przenosić uzbrojenie w dwóch komorach wewnętrznych i aż sześciu węzłach pod skrzydłami.

Chińskie konstrukcje samolotów bojowych zaliczanych do piątej generacji pozostają zagadkowe. Szczególnie ważna jest kwestia silników, bo one w dużej mierze mają wpływ na to, czy samolot można faktycznie zaliczyć do tej generacji. Przez dziesięciolecie napęd był piętą achillesową chińskich konstrukcji lotniczych. Dlatego w najnowszych odrzutowcach montowane są silniki sprowadzone z Rosji lub nieco poprawione starsze modele krajowe. Poza tym Chińska Republika Ludowa oficjalnie ujawnia tylko niektóre dane o J-20 i J-31.

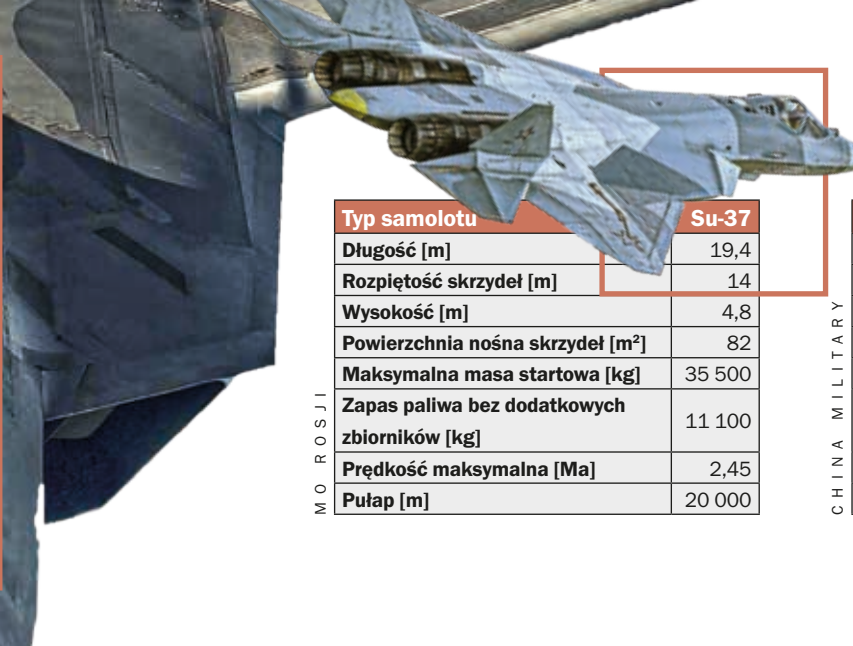
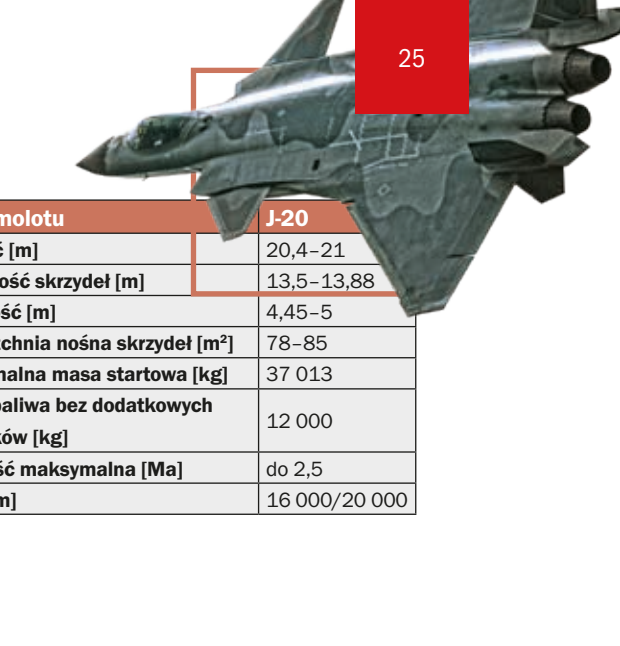
SPÓŹNIONY ROSJANIN

W maju 2019 roku, podczas z spotkania w ministerstwie obrony, prezydent Władimir Putin zażyczył sobie, aby do 2028 roku rosyjskie lotnictwo wojskowe dysponowało trzema pułkami Su-57. Oznacza to konieczność zwiększenia zamówienia na te samoloty z 16 do 76. Prawdopodobnie cztery będą przejętymi prototypami, wykorzystywanymi przez siły powietrzne do badań. Należy tu zauważyć, że produkcja seryjna pierwszego rosyjskiego myśliwca piątej generacji rozpocznie się ponad 15 lat po wejściu do służby Raptora.

Koncern Suchoj od kilkunastu lat pracuje nad samolotem bojowym piątej generacji, znanym początkowo jako T-50 PAK FA. Jego pierwszy lot odbył się w styczniu 2010 roku. Do tej pory zbudowano dziesięć latających prototypów maszyny, która nosi teraz oznaczenie Su-57. Podobnie jak w Chinach, trwają prace nad docelowym silnikiem, który ma być lżejszy i bardziej wydajny od tych już produkowanych. Bez nowego napędu Su-57 trudno uznać za samolot spełniający kryteria dla maszyn piątej generacji.

Jest to maszyna dwusilnikowa. Tak jak w innych samolotach nowej generacji, w kadłubie zna-

ROSJA I CHINOM nie sprzyja geopolityka – większość państw, które stać na samoloty najnowszej generacji, będzie wolała skorzystać z oferty producentów zachodnich.

Typ samolotu	Su-37
Długość [m]	19,4
Rozpiętość skrzydeł [m]	14
Wysokość [m]	4,8
Powierzchnia nośna skrzydeł [m ²]	82
Maksymalna masa startowa [kg]	35 500
Zapas paliwa bez dodatkowych zbiorników [kg]	11 100
Prędkość maksymalna [Ma]	2,45
Pułap [m]	20 000

Typ samolotu	J-20
Długość [m]	20,4–21
Rozpiętość skrzydeł [m]	13,5–13,88
Wysokość [m]	4,45–5
Powierzchnia nośna skrzydeł [m ²]	78–85
Maksymalna masa startowa [kg]	37 013
Zapas paliwa bez dodatkowych zbiorników [kg]	12 000
Prędkość maksymalna [Ma]	do 2,5
Pułap [m]	16 000/20 000

laży się komory na uzbrojenie – dwie duże i dwie mniejsze. W porównaniu z konkurencją rosyjska maszyna ma najbardziej aerodynamiczny kształt kadłuba, co zwiększa jej manewrowość. Rosjanie bowiem zakładają możliwość walki z samolotami wroga na bliższych dystansach, ale w arsenale Su-57 będą pociski powietrze–powietrze o zasięgu ponad 200 km. Rosja podkreśla walory nowego silnika i zintegrowanego wielofunkcyjnego systemu radarowego najnowszej konstrukcji Suchoja.

GRA O RYNKI

W przypadku chińskich samolotów uważanych za maszynę piątej generacji (według wewnętrznej chińskiej klasyfikacji zaliczane są do czwartej generacji) zastanawiająca jest informacja sprzed kilku miesięcy, że Rosja zaoferowała władzom w Pekinie współpracę przy programie Su-57. Serwis Jane's Defence Weekly przytoczył wypowiedź Wiktora Kładowa, dyrektora ds. współpracy międzynarodowej korporacji państwowej Rostec, który wskazał Chiny jako potencjalnego nabywcę rosyjskiej maszyny. W 2018 roku w chińskiej prasie pojawiły się artykuły chwalcące walory aerodynamiczne Su-57.

Nie byłoby to zaskakujące, biorąc pod uwagę bliskie stosunki łączące Moskwę z Pekinem oraz fakt, że Chińczycy od lat dziewięćdziesiątych XX wieku kupują od Rosjan ich najnowsze samoloty bojowe. Jednak wśród chińskich decydentów zdania co do zakupu Su-57 są podzielone. Część z nich uważa, że priorytetem powinny być rodzime konstrukcje, takie jak J-20. Niemniej dla Chińczyków nabycie pewnej liczby rosyjskich samolotów wielozadaniowych piątej generacji może być atrakcyjne, gdyż da im dostęp do technologii i rozwiązań konstrukcyjnych, które w nich wykorzystano.

Wiktor Kładow zapowiedział wiosną tego roku, że niebawem prezydent Putin zaakceptuje sprzedaż za granicę eksportowej wersji oznaczonej jako Su-57E. Poza Chinami jednym z potencjalnych jej nabywców jest wymieniana od kilku miesięcy Turcja. Spekulacjom sprzyjają pogarszające się stosunki pomiędzy Ankarą a Waszyngtonem spowodowane jej zbliżeniem z Moskwą i zakupem od Rosjan raketowego systemu obrony powietrznej S-400. Amerykańscy politycy ostrzegają, że jeśli Turcy będą nieugięci w tej kwestii, ich kraj zostanie wykluczony z programu F-35.

Rosjanie liczą, że na zakup Su-57 zdecydują się Indie, z którymi współpracę przy programie samolotu piątej generacji rozpoczęto oficjalnie w 2007 roku. Hindusi wyłożyli na ten cel kilkaset milionów dolarów, ale potem pojawiły się spory dotyczące dalszego finansowania prac badawczo-rozwojowych. Rosjanie nie byli też skłonni do pełnego transferu technologii do Indii oraz zgody na eksport przez nie przyszłego myśliwca. Co więcej, w dowództwie indyjskich sił powietrznych pojawiły się wątpliwości co do walorów Su-57 – sugerowano, że nie zapewni on tych samych zdolności co amerykański F-35. Wobec tego w ubiegłym roku Indie wycofały się z rosyjskiego projektu. Tamtejsi decydenci mogli sobie na to pozwolić, bo mają alternatywę dla Suchoja. Coraz bliższe relacje Indii z USA sprawiają, że Amerykanie nie będą robili problemów ze sprzedażą trzydziestki, jeśli tylko Hindusi zdecydują się na ten samolot.

Strona rosyjska widzi szansę dla Su-57 na takich rynkach, jak Wietnam, Korea Południowa, Brazylia i Peru. Według informacji pojawiających się w mediach od 2017 roku wietnamskie siły powietrzne są zainteresowane tym samolotem. Wietnamczycy mogą być pierwszym zagranicznym nabywcą Su-57, ale z powodów finansowych nie będą mogli sobie pozwolić na duże zamówienie. Prawdopodobnie na początek kontrakt obejmie najwyżej eskadrę 12 maszyn. Co do Korei Południowej, to kraj ten w przeszłości kupił niewielkie ilości uzbrojenia od Rosji. Dzięki temu Koreańczycy z południa poznali technologie militarne podobne do tych, które wykorzystuje ich potencjalny przeciwnik, czyli komunistyczna Koreańska Republika Ludowo-Demokratyczna. Jednak obecnie, kupując broń od Rosji, władze południowokoreańskie skłóciłyby się ze swoim głównym sojusznikiem – USA, co przy temperamencie prezydenta Donalda Trumpa mogłoby ich słono kosztować.

Czy realna jest sprzedaż Su-57 do Brazylii? Pojawia się też pytanie, czy Brazylijczykom jest w ogóle potrzebny supersoniczny myśliwiec. Bardziej prawdopodobne wydaje się zamówienie Su-57 przez Peru, które od dawna kupuje rosyjską broń. Wśród państw, które w przyszłości mogą być zainteresowane Su-57, można wskazać chociażby Algierię, Egipt, Syrię czy kraje znad Zatoki Perskiej, w tym Iran. Niemniej jednak Rosji i Chinom nie sprzyja geopolityka. Większość państw, które stać na samoloty najnowszej generacji, będzie wołała skorzystać z oferty producentów zachodnich. ■

A large F-35 fighter jet is shown from a front-three-quarter perspective on a runway. The aircraft is dark grey with a stealthy design. In the background, there are red smoke trails from other aircraft.

F-35 Z ŁATWOŚCIĄ DOSTOSOWUJĄ SIĘ DO RÓŻNYCH SCENARIUSZY DZIAŁAŃ BOJOWYCH

A smaller F-35 fighter jet is shown from a side profile on a runway. Two ground crew members in camouflage uniforms are standing near the aircraft.

OPERACJA „RAPID FORGE”

Odbывała się w Polsce, na Litwie i w Estonii. Do bazy w Szawłach na Litwie przyleciały z Niemiec samoloty F-15E i C-130J Super Hercules. Tam też tankowały i zostały uzbrojone w amunicję ćwiczebną. Do bazy Amari w Estonii przyleciały F-15E Strike Eagles oraz MC-130J Commando II. Trenowały wyłącznie tankowanie. ■



Przelotem w Polsce

Myśliwce F-35 pierwszy raz wylądowały w Powidzu.

EWA KORSĄK

To był jeden z epizodów operacji „Rapid Forge” przeprowadzonej przez siły powietrzne USA w Europie. Myśliwce F-35, F-15 oraz samoloty transportowe C-130 przebazowały się z Niemiec do Polski, na Litwę i do Estonii. Następnie myśliwce zostały zatankowane, a w Polsce i na Litwie również uzbrojone w ćwiczebną amunicję.

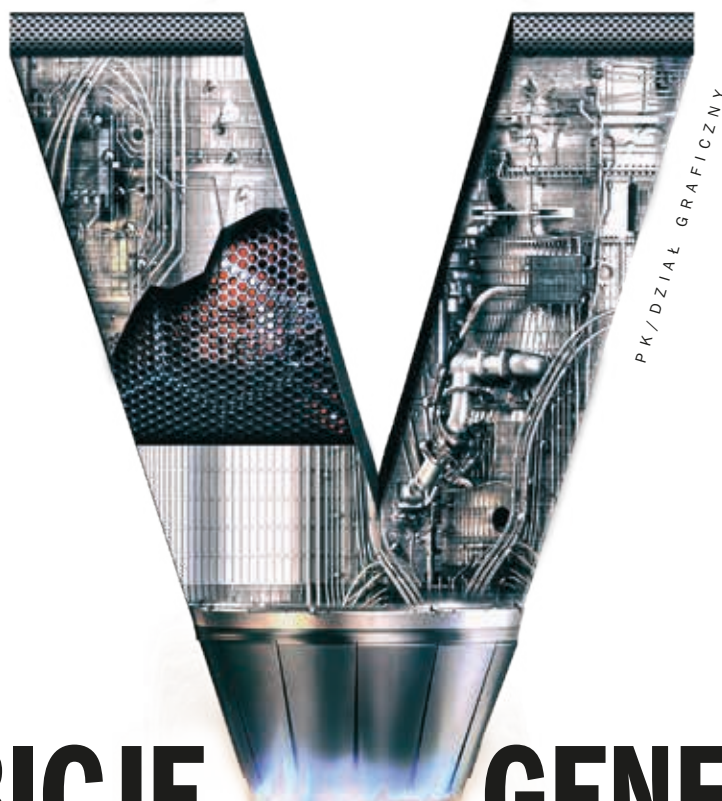
Przyjęła je 33 Baza Lotnictwa Transportowego w Powidzu. „Nasze lotnisko daje duże możliwości logistyczne. Dzięki naszemu zabezpieczeniu sojusznicy mogą spokojnie wykonywać swoje zadania”, zapewnia płk pil. Krzysztof Szymaniec, dowódca powidzkiej bazy. Przyznaje też, że wizyta myśliwców to dla nich pewnego rodzaju sprawdzian. „Ćwiczymy procedury, ale też pokazujemy naszym sojusznikom, jakie mamy możliwości”, wyjaśnia. Jeśli chodzi o polski udział w operacji „Rapid Forge”, to przede wszystkim włączyli się w nią kontrolerzy ruchu lotniczego oraz nawigatorzy.

Trwające zaledwie kilkadziesiąt minut tankowanie F-35 i uzbrajanie F-15 było jednak sprawdzianem głównie dla Amerykanów. „Nasze ćwiczenia polegały na tym, by jak najszybciej zmienić lokalizację samolotów oraz odnowić ich gotowość bojową”, mówi płk Kevin „Boone” Cruson z US Air Force, pilot F-22.

Chociaż operacja „Rapid Forge” była przeprowadzona w trzech bazach, F-35 lądowały wyłącznie w Polsce. „To samoloty przewagi powietrznej zaprojektowane do walki w warunkach wysokiego zagrożenia”, mówi płk Cruson. Dodał również, że maszyny z łatwością dostosowują się do różnych scenariuszy działań bojowych, dostarczają też pilotowi niezbędne do prowadzenia misji dane zebrane dzięki czujnikom umieszczonym na zewnątrz. Samoloty, które wylądowały w Polsce, na co dzień stacjonują w 388 i 419 Dywizjonie Myśliwskim.

PIOTR ŁYSAKOWSKI (3)





AMBICJE GENERACJI

Niewiele firm lotniczych ma w swej ofercie wielozadaniowe myśliwce.

T A D E U S Z W R Ó B E L

Wubiegłym stuleciu wiele firm na świecie zajmowało się produkcją samolotów myśliwskich, z czasem jednak ich liczba malała. Z rynku amerykańskiego zniknęli tacy producenci wojskowych odrzutowców, jak North American Aviation, Vought, Fairchild czy Grumman. Proces ten rozpoczął się za Atlantykiem już w latach sześćdziesiątych ubiegłego wieku, a apogeum osiągnął w ostatnim ćwierćwieczu. Podobne zmiany zachodziły w Europie. Działo się tak przede wszystkim ze względu na rosnące koszty prac badawczo-rozwojowych i opracowania nowych technologii, co przekładało się na jednostkową cenę maszyn bojowych. Wtedy okazało się, że nawet najbogatszych nie stać na wielkie zamówienia.

TENDENCJA SPADKOWA

Wysokie ceny zakupu i późniejsze koszty utrzymania myśliwców, ale jednocześnie większe możliwości bojowe kolejnych generacji odrzutowców sprawiły, że siły powietrzne poszczególnych państw coraz bardziej się kurczyły. Nie bez wpływu na taką sytuację był też koniec zimnej wojny, po której na jakiś czas zamarł wyścig zbrojeń, co pozwoliło na

rezygnację z dalszego użytkowania starszych typów samolotów. Najpotężniejsze na świecie US Air Force mają ich, wraz ze starymi szturmowymi A-10, około 2 tys., o ponad 250 mniej niż dziesięć lat temu. Przed dwoma laty w służbie było 55 czynnych i rezerwowych eskadr myśliwskich, podczas gdy w 1989 roku – 134.

Główni rywale USA – Rosja i Chiny, dysponują odpowiednio około 1,2 tys. i ponad 1,6 tys. bojowych odrzutowców. Dla porównania lotnictwo ZSRR w 1990 roku miało ponad 5,6 tys. myśliwców i szturmowców. Podobną liczbę maszyn mieli do dyspozycji Chińczycy, tyle że starszych typów niż sowieckie. W Europie zaś w brytyjskim RAF-ie przed 30 laty w służbie pozostawało blisko 800 maszyn Tornado, Harrier, F-4 i Jaguar, a teraz jest zaledwie 16 myśliwców.

Według ekspertów lotniczych ta tendencja się zmienia i w przyszłej dekadzie zwiększą się zakupy samolotów wielozadaniowych. Wynika to m.in. z faktu, że będzie rosła produkcja konstrukcji piątej generacji, zwłaszcza F-35 Lightning II. Tylko Stany Zjednoczone zamierzają kupić ponad 2,4 tys. egzemplarzy. Kolejne maszyny tego rodzaju, jak

CHOĆ DO SŁUŻBY DOPIERO WCHODZI PIERWSZY TYP MY- ŚLIWCÓW **PIĄTEJ** **GENERACJI**, POJA- WIŁY SIĘ ZAPOWIE- DZI PODJĘCIA PRAC NAD KOLEJNĄ GENERACJĄ

rosyjski Su-57 czy chiński J-31, są w fazie badawczo-rozwojowej. Japonia i Turcja również zamierzają opracować własne projekty piątej generacji. Jak widać, jest to grono państw mających globalne aspiracje, odpowiednie możliwości finansowe i rozwinięty, nowoczesny przemysł lotniczy. Braki nawet w jednym z tych obszarów powodują wydłużenie prac badawczo-rozwojowych i ograniczone zamówienia. Tak jest w wypadku Rosji, która zamierza do 2027 roku kupić zaledwie 78 egzemplarzy Su-57. Japonia może sobie pozwolić na 147 maszyn piątej generacji, a Australia – na 72.

Pojawiają się jednak nowe czynniki, które mają wpływ na redukcję zakupów samolotów bojowych. Rozwój technologii i dążenie do ograniczenia ryzyka utraty pilotów sprawiają, że w przyszłości samoloty piątej generacji będą ściśle współdziałały z bezzałogowcami, których zadaniem stanie się przedarcie przez systemy antydostępne wroga. Zapewnieniu bezpieczeństwa pilotów służy też precyzyjne uzbrojenie o coraz większym zasięgu. W przyszłości w arsenałach samolotów wielozadaniowych znajdzie się zapewne broń hipersoniczna. Samoloty piątej generacji, podobnie jak ich poprzednicy, będą służyć przez kilkadziesiąt lat. W tym czasie przejdą modernizację uwzględniającą ciągły postęp technologiczny.

NIE TYLKO F-35

Mimo że wiele państw chciałoby mieć takie samoloty, jak F-35, Su-57 czy też J-31, to nie wyprą one z rynku starszych typów. Wpływ na to będzie miało kilka czynników, a jednym z kluczowych są koszty zakupu i późniejszego utrzymania tych maszyn. Dlatego Hindusi, którym też marzy się samolot piątej generacji, zbudowali myśliwiec Tejas, mający zastąpić bardzo liczne w lotnictwie tego kraju konstrukcje z ro-

dziny MiG-21. Tejas jest uzupełnieniem dla bardziej zaawansowanych maszyn, takich jak Su-30 czy Rafale. Podobnie w Chinach, równolegle z zaliczanym do maszyn piątej generacji J-20 produkowane są myśliwce J-10, J-11 i FC-1, ponieważ tamtejsze lotnictwo potrzebuje setek nowych odrzutowców, żeby zastąpić przestarzałe J-7, będące lokalną odmianą MiG-21.

Innym czynnikiem rynkowym sprzyjającym myśliwcom starszych typów jest sytuacja geopolityczna w niektórych regionach świata, jak chociażby Ameryce Południowej czy Afryce. Jeśli do brazylijskich sił powietrznych trafi najnowsza wersja gripena, to tamtejsze lotnictwo będzie miało najbardziej nowoczesny samolot w porównaniu z innymi państwami regionu.

Kolejny przykład stanowi Republika Korei, która opracowuje maszynę mającą lepsze zdolności stealth niż zaawansowane konstrukcje czwartej generacji, ale gorsze niż Lightning II. Po upublicznieniu wizji graficznych KF-X pojawiły się opinie, że stanowi on hybrydę F-22A i F-35. Na rysunkach pokazano ten samolot z podwieszonym pod skrzydłami uzbrojeniem. Maszyna o takim poziomie technologicznym wystarczy, by skonfrontować się z przestarzałym lotnictwem Korei Północnej. Niemniej jednak ostateczny projekt będzie zależał od tego, skąd uda się Koreańczykom uzyskać technologie, których nie ma tamtejsza zbrojeniówka. Jak dotychczas, najbardziej zaawansowaną rodzimą konstrukcją jest lekki naddźwiękowy samolot bojowy FA-50, wywodzący się od szkolnej maszyny T-50. Odrzutowiec ten zastępuje w południowokoreańskim lotnictwie myśliwce F-5. Ze względu na cenę jest też atrakcyjną ofertą dla niektórych państw Azji, Afryki czy Ameryki Południowej.

Niedostępność najnowszej generacji samolotów na niektórych rynkach jest spowodowana obawami przed szpiegostwem, a to kolejny czynnik, który sprawia, że gripeny, F-16, eurofighterzy czy rafale nadal będą znajdowały klientów. Amerykanie np. dali do zrozumienia Tajwańczykom, że przez co najmniej dziesięć lat nie mają co marzyć o F-35 i na razie muszą się zadowolić F-16V. Wcześniej Waszyngton nie sprzedał nikomu pierwszej swej konstrukcji piątej generacji F-22A Raptor.

Oczywiście maszyny zaliczane do generacji niższych niż piąta, zarówno nowo produkowane, jak i już znajdujące się w służbie, będą unowocześniane, tak aby można było zamontować nowe systemy uzbrojenia, zwiększające ich zdolności bojowe.

Jednocześnie, choć do służby dopiero wchodzi pierwsze typy myśliwców piątej generacji, pojawiły się zapowiedzi podjęcia prac nad kolejną. W Rosji MiG-41 ma wzbić się w powietrze w 2025 roku. Także Amerykanie i Tajwańczycy czynią przymiarki do zbudowania takich maszyn. Jeśli zaś chodzi o Europę, to wszystko wskazuje na to, że przyszłość będzie należała do programów wielonarodowych. Samolot bojowy nowej generacji wspólnie zamierzają opracować Francja, Niemcy i Hiszpania. Szwedzi z kolei chcieliby dołączyć do projektu brytyjskiego. ■

ARMIA

/ KONDYCJA



PROGRAM NAPRAWY PILOTA

**Nawigatorzy, technicy pokładowi
i piloci** muszą raz w roku zameldować się w ośrodkach
w Zakopanem lub Mrągowie na trzytygodniowym
szkoleniu kondycyjnym. Czy to wystarczy?

MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK



P

olscy piloci od lat sześćdziesiątych ubiegłego stulecia korzystają z turnusów kondycyjnych. W wojskowych ośrodkach szkoleniowo-kondycyjnych (WOSzK) w Zakopanem i Mrągowie co roku melduje się kilkuset lotników. Jadą tam, by naładować baterie na kolejny rok pracy. „Pomagamy im odzyskać siły vitalne, a przez to przedłużyć ich aktywność zawodową. Te trzy tygodnie,

które u nas spędzają, powinni wykorzystać w 100%. Nie mają tu przecież obowiązków służbowych, nie stresują się i nie muszą spieszyć. Oferujemy im za to intensywny wysiłek sportowy, rekreację i odnowę biologiczną”, podkreśla ppłk Dariusz Jaraszek, komendant Wojskowego Ośrodka Szkoleniowo-Kondycyjnego „Gronik” w Zakopanem.

ZAWÓD WYSOKIEGO RYZYKA

Piloci, nawigatorzy i technicy pokładowi zgodnie z przepisami muszą raz w roku przejść w ośrodku w Zakopanem lub Mrągowie trzytygodniowe szkolenie kondycyjne. Pozostały personel latający kieruje się do wojskowego ośrodka szkoleniowo-kondycyjnego nie częściej niż raz na trzy lata. Program szkoleniowo-kondycyjnych turnusów w obu miejscach jest bardzo podobny – zasadniczą rolę odgrywają tu obowiązkowe zajęcia sportowe, np. turystyka piesza, żeglarsstwo, spływy pontonowe i kajakowe. Żołnierze ćwiczą na siłowniach, salach treningowych, ściankach wspinaczkowych i basenach. Zimą uprawiają narciarstwo biegowe, zjazdowe, szkolą się ze wspinaczki wysokogórskiej.

To jednak nie wszystko – mogą korzystać także z rehabilitacji. Po badaniu lekarskim dostają skierowania na różnego rodzaju zabiegi fizjoterapeutyczne. W Zakopanem żołnierze trafiają m.in. pod opiekę fizjoterapeutki Aleksandry Stanek, szefowej sekcji medycznej WOSzK.

„Piloci borykają się z różnymi problemami zdrowotnymi. Naszym zadaniem jest zniwelowanie tych dolegliwości”, mówi i dodaje: „Uskarżają się przede wszystkim na bóle kręgosłupa. Jest to związane z wymuszoną pozycją ciała w samolocie, dużymi obciążeniami, wibracjami i mikrowstrząsami, jakie działają na organizm”. Fizjoterapeutka wyjaśnia, że każdy rodzaj lotnictwa niesie nieco inne zagrożenia. I tak np. piloci transportowi, którzy w czasie wielogodzinnych lotów utrzymują jedną pozycję ciała, obciążają lędźwiowy odcinek kręgosłupa. Noszą w czasie wykonywania zadań kilkukilogramowy hełm z noktowizją, co dodatkowo naraża odcinek szyjny. „W śmigłowcach dużym problemem są wibracje. W samolotach wysokomanewrowych zaś kręgosłupy są niszczone w wyniku przeciążeń. Te dolegliwości zaburzają statykę, co może doprowadzić do różnych schorzeń”, przyznaje Stanek.

Nie da się określić, po jakim czasie lotnicy będą odczuwać bóle kręgosłupa, bo to sprawa indywidualna. Jedni po kilku, inni po kilkunastu latach służby. Nie bez znaczenia jest tu także styl życia, jaki prowadzą. Ci, którzy odpowiednio bilansują dietę, są aktywni, mają większe szanse, by w dobrej kondycji dosłużyć emerytury. „Nie ma się co oszukiwać, każdy organizm się zużywa”, mówi „Rattler”, pilot i instruktor F-16 z 31 Bazy Lotnictwa Taktycznego w Krzesinach.



Płk DARIUSZ JARASZEK, komendant Wojskowego Ośrodka Szkoleniowo-Kondycyjnego „Gronik” w Zakopanem: „Pomagamy lotnikom odzyskać siły vitalne, a przez to przedłużyć ich aktywność zawodową. Te trzy tygodnie, które u nas spędzają, powinni wykorzystać w 100%”.

FIZJOTERAPIA PRZYSPIESZA GOJENIE KONTUZJI I URAZÓW,

ALE PROFILAKTYKA JEST TAŃSZA NIŻ LECZENIE PILOTÓW LUB SZKOLENIE NOWYCH

Oficer przyznaje, że długotrwałe przeciążenia w locie samolotem wysokomanewrowym w pewnym stopniu niszczą kręgosłup, i przypomina, że chorobą zawodową lotników są takie schorzenia jak rwa kulszowa. „Kiedyś na Alasce spotkałem instruktora F-16, który na tym typie samolotu wylatał ponad 7 tys. godzin. Taki wynik odbił się na jego zdrowiu. Ten pilot przyznał, że nagle któregoś ranka w ogóle nie mógł się ruszyć. Miał tak zniszczony odcinek szyjny kręgosłupa, że wstawanie było dla niego cierpieniem. Wkładał podgrzewaną poduszkę pod kark i czekał, aż rozlewające się po szyi ciepło pozwoli mu lekko poruszyć głowę. Nie miał wyjścia: zrezygnował z latania i od tego zaczęła się jego przygoda z rehabilitacją. Do względnej sprawności doszedł po 1,5 roku”, opowiada oficer z 31 BLT.

„Rattler” z uśmiechem przyznaje, że receptą na zdrowy kręgosłup jest systematyczne dbanie o swoje ciało. „Nie można latać do pięćdziesiątki i nie robić nic, a potem 20 lat się rehabilitować. Trzeba dbać o siebie cały czas. Wzmacniać mięśnie głębokie, trzymać formę, nie dopuszczać do nadwagi. Ruszać się na co dzień, bo jadąc raz w roku do WOSzK-u, świata się nie zawojuje”, dodaje. Dlaczego efektywnie działają na kręgosłupy pilotów? „Skeet”, pilot F-16 z Krzesin, wyjaśnia, że w trakcie lotów dochodzi do przeciążeń sięgających 9G. Ciało pilota waży wtedy dziewięć razy więcej niż normalnie i znacznie trudniej wykonuje się podstawowe czynności. „Trzeba mieć dużo siły,

by przy takim obciążeniu unieść głowę i spojrzeć do tyłu. A w trakcie walki powietrznej w bliskiej odległości takie ruchy zdarzają się często”, mówi pilot. „Skeet” podaje też przykład zza oceanu: „Podczas jednego z lotów młodego pilota z instruktorem doszło do pewnego incydentu. Instruktor siedział w drugiej kabinie i notował coś na nakolanniku, a jego uczeń niespodziewanie wykonał skomplikowany manewr, przez co spowodował duże przeciążenie. Instruktor nie był na tę sytuację przygotowany, w wyniku czego poważnie uszkodził kręgosłup”.

Podobne dolegliwości zgłaszają piloci samolotów transportowych. Por. pil. Sebastian Klepuszewski, pilot C-295M z 8 Bazy Lotnictwa Transportowego w Balicach, przyznaje, że loty transportowe to przede wszystkim godziny siedzenia. „»Efiarze« mają przeciążenia, my bardzo długie loty w niewygodnej, przygarbionej pozycji. Męczące są także loty taktyczne, grupowe, w górach, manewry na małych wysokościach, zadania w noktowizji. To wszystko robimy »na rękach«, czyli nie wspomagamy się urządzeniami. Trzeba mieć siłę, żeby skierować samolot z lewej strony na prawą”, mówi. Por. pil. Paulina Szkudlarz, również pilot C-295M, zwraca uwagę także na to, że wielogodzinne loty pilotów z Balic zostały wskazane jako jeden z czynników szkodliwych: „Obciążamy nie tylko kręgosłup, lecz także układ krwionośny. Cały czas mamy przecież opuszczone nogi. Dostaliśmy nawet od lekarzy niepisane zalecenie, żeby raz na jakiś czas przejść się po pokładzie samolotu,



zrobić kilka przysiadów, by pobudzić krążenie i nie doprowadzić do choroby zakrzepowej”.

RATUNEK W GIMNASTYCE

I właśnie z powodu licznych dolegliwości odnowa biologiczna i fizjoterapia cieszą się w WOSzK-u ogromną popularnością. „Teoretycznie na turnusy przyjeżdżają ludzie zdrowi, ale w praktyce każdy z nich nie dość, że ma obciążenia wynikające z pracy, to jeszcze dodatkowe problemy: różne kontuzje i urazy. Fizjoterapia przyspiesza ich gojenie”, mówi Edmund Górniak, fizjoterapeuta z ponadczterdziestoletnim doświadczeniem.

Specjalista wyjaśnia jednak, że nie zawsze trzy tygodnie wystarczą, by zaradzić wszystkim problemom. „Dlatego koncentrujemy się tu nie tylko na rehabilitacji, ale też na profilaktyce. Uczymy pilotów, jak powinni o sobie dbać przez cały rok. Jak prawidłowo ćwiczyć, by utrzymywać wysoką sprawność ciała. Profilaktyka jest tańsza niż leczenie pilotów lub szkolenie nowych”, podkreśla.

To właśnie w placówce w Zakopanem od trzech lat działa innowacyjny program naprawczy dla lotników. „Zajęcia są dobrowolne i trwają tylko 45 minut dziennie. Początkowo lotnicy byli sceptyczni, ale teraz zgłasza się do mnie coraz więcej osób. Ostatnio połowa turnusu”, mówi Aleksandra Stanek, autorka koncepcji. Na czym ona polega?

Program powstał na bazie FMS (Functional Movement System), opracowanego przez amerykańskiego fizjoterapeutę Graya Cooka. W ramach FMS wykonuje się proste badanie funkcjonalności pacjenta. To siedem ćwiczeń, na których podstawie fizjoterapeuta może określić kondycję ćwiczącego i ryzyko wystąpienia kontuzji. „To wyjątkowo proste ćwiczenia, które odzwierciedlają naszą motorykę. Trzeba wykonać m.in. głęboki przysiad, przenieść nogę nad przeszkodą czy zrobić przysiad w wyroku. Zajmuje to kilkanaście minut. Każde ćwiczenie jest oceniane w skali od 0 do 3 i na tej podstawie instruktorzy definiują problem i mogą zaproponować konkretne rozwiązania”, tłumaczy fizjoterapeutka.

Aleksandra Stanek, bazując na FMS, opracowała autorski program korekcyjny dla pilotów. Od trzech lat ocenia postępy swoich pacjentów, którzy w czasie turnusów w wojskowym ośrodku szkoleniowo-kondycyjnym wykonują zalecone ćwiczenia. „Program działa. Pokazują mi to nie tylko testy wydolnościowe czy urządzenia mierzące stabilność ciała i zakres ruchu. Najważniejsze, że potwierdzają to piloci, którzy co roku wracają na moje zajęcia”, podkreśla Stanek.

NIE DA SIĘ OKREŚLIĆ, PO JAKIM CZASIE LOTNICY BĘDĄ ODCZUWAĆ BÓLE KRĘGOSŁUPA, BO TO SPRAWA INDY- WIDUALNA. JEDNI PO KILKU, INNI PO KILKU- NASTU LATACH SŁUŻBY

ki tryb życia zostały zapomniane”, przyznaje pilot. „Ola zaproponowała nam bardzo proste ćwiczenia, a mimo to ludzie wychodzą z sali mokrzy od potu. To trochę taki powrót do podstaw, tu nie ma mowy o żadnych skomplikowanych dyscyplinach sportu czy sztukach walki”, tłumaczy por. Sebastian Klepuszewski. „Chodzi o prostą gimnastykę. Ola nauczyła nas, jak wykonywać te ćwiczenia poprawnie i według mnie jej system działa. Z powodzeniem można je włączyć do swoich stałych treningów”.

Płk Marek Przybyłowicz, pilot śmigłowców SW-4 i Mi-2 z 4 Skrzydła Lotnictwa Szkolnego w Dęblinie, pod kierunkiem Aleksandry Stanek zaczął ćwiczyć trzy lata temu. „Wydawało mi się wtedy, że jestem wysportowanym facetem. Startowałem w biegach długodystansowych, uprawiałem crossfit, ale po serii ćwiczeń wzmacniających głębokie mięśnie, okazało się, że nie jest ze mną tak dobrze, jak myślałem”, wspomina płk Przybyłowicz. Oficer korzysta z zaleceń i ćwiczy w domu. „Czuję się zdecydowanie lepiej, mam większą swobodę ruchu”, dodaje.

Rehabilitanci przyznają, że jeden turnus kondycyjny w roku to dla pilota zdecydowanie za mało, bo powinien on mieć ciągły dostęp do profesjonalnej pomocy i terapii. Zresztą tak właśnie jest w polskiej bazie taktycznej wyposażonej w F-16. Piloci z Krzesin mają u siebie w jednostkach etatowego fizjoterapeutę i masażystę. Bardzo chętnie korzystają z pomocy tych specjalistów i na bieżąco niwelują problemy z kręgosłupem. Dlaczego takie rozwiązania nie są dostępne dla wszystkich lotników, niezależnie od typu statku powietrznego, którym latają? ■

Głównym celem programu jest poprawa wydolności krążeniowo-oddechowej i stabilności ciała, wzmocnienie mięśni tułowia. Proponowane ćwiczenia są bardzo proste i nie wymagają użycia skomplikowanych akcesoriów. „Ćwiczymy głównie ze swoją masą ciała, pracujemy nad równowagą, wykorzystujemy m.in. taśmy elastyczne czy TRX”, wyjaśnia Aleksandra Stanek. Po zakończonym turnusie każdy z pacjentów dostaje pracę domową, czyli listę ćwiczeń, które powinien wykonywać systematycznie przez kolejne miesiące.

POWRÓT DO PODSTAW

Bartosz, pilot samolotu transportowego M-28, do programu proponowanego przez fizjoterapeutkę dołączył dwa lata temu. „Zdecydowałem się na to ze względu na obciążenia zawodowe. W pracy dużo siedzimy, podobnie w domu, np. przed komputerem, w samochodzie. Trzeba pracować nad wzmocnieniem mięśni, które przez taki

MICHAŁ ZIELIŃSKI



SZER. JOANNA MAJ



Data i miejsce urodzenia:

15 sierpnia 1990 roku, Kraków.

W wojsku służy od:

służba przygotowawcza w 2015 roku,
służba zawodowa od 2016 roku.

Zajmowane stanowisko:

mechanik-układacz spadochronów w 6 Batalionie Logistycznym 6 Brygady Powietrznodesantowej.

ZOSTAŁAM ŻOŁNIERZEM, BO:

było to moje marzenie z dzieciństwa.

MOJE NAJWIĘKSZE OSIĄGNIĘCIE:

uzyskanie stopnia mistrzowskiego w dżiu-dżitsu w 2016 roku.

PRZEŁOMOWE WYDARZENIE W ŻYCIU:

pierwszy start w zawodach sportowych.

GDYBYM NIE ZOSTAŁA ŻOŁNIERZEM, BYŁABYM DZIŚ:

z wykształcenia jestem fizjoterapeutką, dlatego kiedyś myślałam o pracy z niepełnosprawnymi sportowcami. Chciałam pomagać ludziom przełamywać swoje bariery. Ale zawsze fascynował mnie też zawód patologa sądowego.

GDYBYM MOGŁA ZMIEŃCIĆ COŚ W WOJSKU:

chciałabym, żeby wojsko było bardziej otwarte na kobiety. Mimo że w naszej armii służy ich coraz więcej, to jeszcze dosyć często można spotkać się z bardzo stereotypowym myśleniem na nasz temat. Uważam, że kobieta może być równie dobrym żołnierzem jak mężczyzna, a na niektórych stanowiskach sprawdzi się nawet lepiej.

W UMUNDUROWANIU POLSKIEGO ŻOŁNIERZA PODOBAJĄ MI SIĘ:

nasze symbole narodowe.



NAJLEPSZA BROŃ TO TA, KTÓRĄ POTRAFIMY SIĘ SPRAWNIE POSŁUŻYĆ W KAŻDEJ SYTUACJI, JAK DLA MNIE: SPRAWNE RĘCE I TRZEŻWY UMYŚŁ.

HOBBY:



sztuki walki



podróże



literatura



OPRAC. MAGDALENA KOWALSKA - SENDEK
FOT. MARIUSZ BIENIEK/6 BPD

Cienka niebieska linia

Polscy żołnierze wracają do Libanu. Jednak ta operacja znacząco różni się od misji sprzed dziesięciu lat.

MICHAŁ ZIELIŃSKI

Bliski Wschód, jeśli chodzi o lokalizację kontyngentów wojskowych, jest dla polskich sił zbrojnych najbardziej naturalnym kierunkiem. Pierwsze polskie placówki w rejonie MENA (Middle East and North Africa) powstały już w połowie lat siedemdziesiątych ubiegłego stulecia, co przekłada się na wieloletnie doświadczenie w takich operacjach. Dodatkowym plusem jest stosunkowo niewielka odległość, co ułatwia pracę logistykom. A sam Liban, mimo licznych problemów wewnętrznych, jest krajem zdecydowanie bardziej przyjaznym niż Afganistan czy Irak.

Misji tej nie należy jednak lekceważyć. Bojówki Hezbollahu od kilku dekad prowadzą z Izraelem wojnę, która już wielokrotnie przybierała otwartą formę (ostatnio w lipcu w 2006 roku). Na sytuację regionalną istotnie wpływa także geopolityka. Ze względu na ścisłą więź z Iranem każdy konflikt, który dotknie Persów, będzie bezpośrednio oddziaływał na sytuację w Libanie.

Szczególną wrażliwość nowego kontyngentu mają na uwadze zarówno wojskowi, jak i politycy. W ciągu ostatniej dekady misje Organizacji Narodów Zjednoczonych, pod której auspicjami będzie działał polski kontyngent, znacząco zmieniły charakter, należy więc podejść do nich jak do zupełnie nowego wyzwania. Dlatego przygotowania skupiają się przede wszystkim na poznaniu obowiązujących procedur, które są dogłębnie analizowane i przyswajane przez wszystkie osoby zaangażowane w tworzenie nowego PKW. Kluczowe znaczenie ma także sposób działania jadących do Libanu żołnierzy.

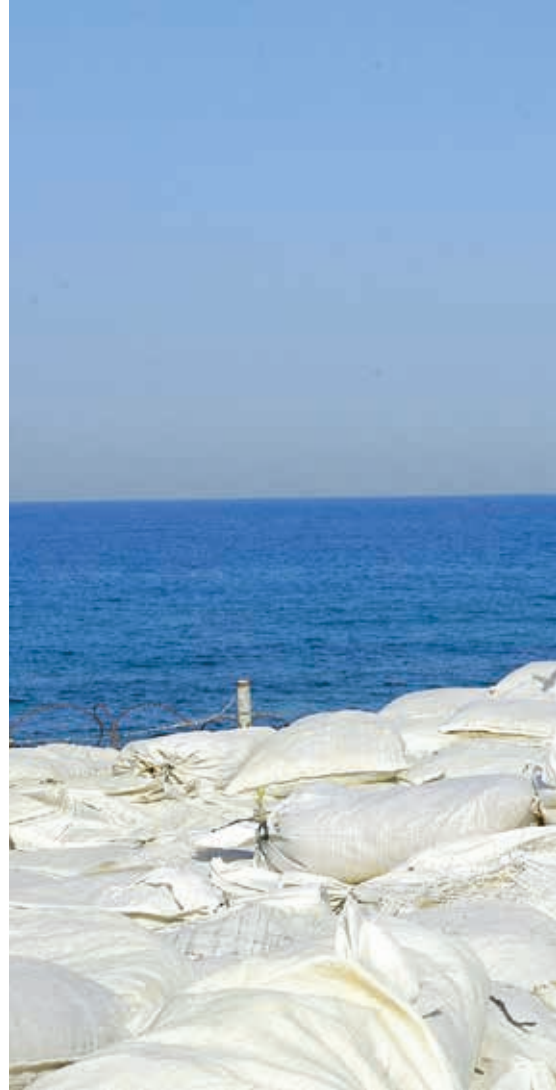
POWSTRZYMAĆ KONFLIKT

Nasz kontyngent trafi do leżącego na południu Libanu Dżabal Amelu. Rejon ten jest zdominowany przez szyitów, ale lokalne wsie i miasteczka zamieszkują także sunnici, żydzi, druzowie, alawici oraz chrześcijanie różnych odłamów. Miejsce to wyróżnia się nie tylko skomplikowaną demografią. Leżący w bezpośrednim sąsiedztwie Izrael jest oddzielony od Libanu niebieską linią – zdemilitaryzowaną strefą utworzoną przez

ONZ po wojnie w 1978 roku. To właśnie jeden ze znajdujących się tam posterunków będzie obsadzać polska załoga. Kilkanaście kilometrów na wschód rozciąga się kolejne sporne terytorium – Wzgórze Golan.

Ppłk Paweł Bednarz, dowódca 3 Batalionu 12 Brygady Zmechanizowanej i zarazem dowódca I zmiany PKW w Libanie, podkreśla, że żołnierze są w pełni świadomi specyfiki tego regionu. „Niektórzy mówią, że jest to beczka prochu. Jeżeli będziemy obchodzić się z nią właściwie, nie wydarzy się nic złego, ale jeden, z pozoru bardzo niewinny incydent może zaważyć na losach całej misji. Dlatego chcemy dobrze poznać tamtejszą kulturę. Zależy nam na tym, żeby nawiązać jak najlepszy kontakt z lokalną ludnością”, mówi oficer.

Z perspektywy misji to jednak nie spory pomiędzy lokalnymi grupami stanowią największe zagrożenie. Siły UNIFIL (United Nations Interim Force in Lebanon) zostały powołane, aby powstrzymać konflikt między Izraelem a Libanem i to właśnie monitorowanie działań obu zwalniających stron do dzisiaj pozostaje ich priorytetem. „Izraelczykom zależy, żeby pododdziały UNIFIL zabezpieczały ich przed ostrzałami raketowymi oraz próbami podkopywania się pod niebieską linią. Tymczasem Libańczycy chcą zachować suwerenność i odzyskać kontrolę nad granicą. Dwie strony, a między nimi żołnierze w niebieskich hełmach, którzy mają zapewnić bezpieczeństwo. Zgodnie z sentencją drugiego sekretarza





Polskie wojsko po raz pierwszy zaangażowało się w misję UNIFIL w 1992 roku.

ONZ Daga Hammarskjölda, misje pokojowe to nie jest zadanie dla żołnierzy, ale tylko oni mogą je realizować. Będziemy nosić kamizelki i broń, ale zrobimy wszystko, żeby nie były nam one potrzebne”, tłumaczy ppłk Bednarz.

Jednym z zadań mandatowych naszych żołnierzy będzie także ochrona ludności cywilnej. W rejonie prowadzonej operacji mają stać na straży prawa humanitarnego konfliktów zbrojnych. Wymaga ono reakcji m.in. w wypadku łamania praw kobiet, napaści seksualnych czy prześladowania na tle etnicznym lub religijnym. Polacy mają również interweniować w każdej sytuacji, w której zostanie stwierdzona obecność walczących dzieci.

EWOLUCJA MISJI ONZ

Polskie wojsko po raz pierwszy zaangażowało się w misję UNIFIL w 1992 roku. To właśnie wtedy kompania medyczna została wysłana do An-Nakury, gdzie zastąpiła lekarzy ze Szwecji i Norwegii. Dwa lata później kontyngent został wzmocniony przez komponent logistyczny, który wykonywał swoje zadania do końca 2009 roku. Po dekadzie przerwy Polacy wracają do Libanu jako siły patrolowe. Przyznany mandat będą realizować w ramach batalionu

irlandzko-polskiego składającego się z dwóch kompanii manewrowych pod wspólnym dowództwem. Z polskiej perspektywy to bardzo pożądane rozwiązanie. Irlandia, jako państwo ramowe, uczestniczy w misji UNIFIL nieprzerwanie od 40 lat.

Według Tomasza Ekierta, głównego specjalisty z Wydziału Środowiska Bezpieczeństwa Międzynarodowego Departamentu Polityki Bezpieczeństwa Międzynarodowego MON, współpraca z państwem ramowym batalionu od samego początku układa się bardzo dobrze. „Irlandczycy chętnie dzielą się swoim doświadczeniem oraz udzielają nam informacji dotyczących sytuacji w rejonie misji. Koordynacja działań między Warszawą i Dublinem jest niezbędna także w odniesieniu do personelu oraz wyposażenia. Musimy ustalić relacje w batalionie oraz podział obowiązków w bazie, tak żeby uzupełniać swoje wysiłki, zamiast je dublować. W takiej sytuacji solidnego partnera trudno przecenić”, chwali Irlandczyków Tomasz Ekiert. Jednocześnie dodaje, że irlandzko-polski batalion zostanie także wzmocniony przez wojskowych z Węgier. Początkowo będą to wyłącznie oficerowie sztabowi, ale już w 2020 roku komponent ten ma liczyć kilkudziesięciu żołnierzy.

Rozmowy dotyczące przygotowania do misji UNIFIL przebiegają dwutorowo. Te najważniejsze toczą się między rządem a ONZ z udziałem Stałego Przedstawicielstwa RP w Nowym Jorku. „Pełnimy funkcję ambasady przy ONZ, dlatego cała komunikacja odbywa się za naszym pośrednictwem. Negocjacje prowadzone są już od października 2018 roku. Jako kraj od wielu lat biorący udział w operacjach wojskowych, mamy bogate doświadczenia, także w dziedzinie formowania kontyngentu, jego przetrzymywania oraz zabezpieczenia logistycznego na miejscu. Znacznie więcej wysiłku kosztuje nas odnalezienie się na nowo w systemie organizacji kontyngentów ONZ”, podkreśla płk Dariusz Kacperczyk, starszy doradca wojskowy przedstawicielstwa RP przy ONZ, i wskazuje, że ostatnie lata przyniosły olbrzymie zmiany w kwestii prowadzenia operacji pokojowych. Przemodelowane zostało ich planowanie oraz nadzorowanie. Nawet jeżeli w polskich siłach zbrojnych wciąż służą żołnierze, którzy zdobyli doświadczenie na misjach UNIFIL czy UNDOF (United Nations Disengagement Observer Force), to pod wieloma względami jest ono nieaktualne.

ONZ ściśle reguluje nie tylko zadania mandatowe misji, lecz także liczebność batalionu oraz jego wyposażenie. Są one określone w kilkunastu oddzielnych kategoriach, które pozostawiają niewiele miejsca na interpretację. Jednocześnie każdy kraj może doposażyć swój kontyngent w dodatkowe elementy.



Płk DARIUSZ KACPERCZYK, starszy doradca wojskowy przedstawicielstwa RP przy ONZ, wskazuje, że ostatnie lata przyniosły olbrzymie zmiany w kwestii prowadzenia operacji pokojowych.



ARTUR WALETO / 12 SDZ (3)

Musi to być jednak uzgodnione z ONZ w ramach umowy (Memorandum of Understanding – MoU) i może być nierefundowane. Polacy będą dysponować wyposażeniem wykraczającym poza minimalne standardy ONZ. Dzięki temu żołnierze z 12 Brygady Zmechanizowanej mają być przygotowani na wszystkie możliwe scenariusze.

OCHRONA LUDNOŚCI I DÓBR KULTURY

Przygotowania do I zmiany PKW Liban trwają także w Polsce. Żołnierze uczestniczą w obowiązkowych kursach prowadzonych przez kieleckie Centrum Przygotowań do Misji Zagranicznych. Zostały one opracowane na bazie wymagań sformułowanych w Core Pre-deployment Training Materials, czyli liczącym blisko 2000 stron oficjalnym dokumencie ONZ. Zawiera on charakterystykę misji pokojowych oraz zasady ich funkcjonowania. W szczególności określa także sposób realizacji zadań. „Po wycofaniu się Polski z misji UNDOF i UNIFIL nasze centrum wciąż prowadziło kursy dla obserwatorów wojskowych, którzy są kierowani w rejon misji pokojowych ONZ. Szkolenia te w dużej mierze bazują na podobnych wytycznych, więc przez cały czas dysponujemy aktualnymi informacjami. Zarazem, przygotowując się do pierwszego szkolenia do misji UNIFIL, byliśmy w stałym kontakcie z dowódcą kontyngentu, z którym rozwijaliśmy formułę tego kursu”, wyjaśnia ppłk Marcin Matczak, szef wydziału szkolenia w CPdMZ. Podkreśla, że w ten sposób wytyczne zawarte w materiałach dostarczonych przez ONZ zostały wzbogacone o nowe zagadnienia. Obejmowały one m.in. współpracę cywilno-woj-

POLSCY ŻOŁNIERZE BĘDĄ NOSIĆ NA MISJI W LIBANIE KAMIZELKI I BROŃ, ALE ZROBIĄ WSZYSTKO, ŻEBY NIE BYŁY IM POTRZEBNE

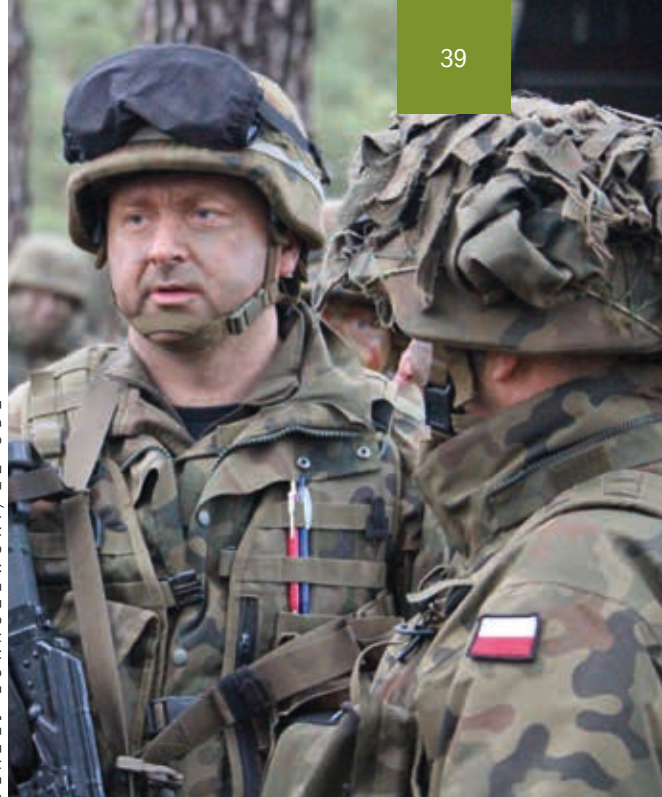
skową, czynniki społeczno-kulturowe w operacjach militarnych oraz działania informacyjne.

Uzupełnieniem dwutygodniowego kursu podstawowego było pięciodniowe szkolenie specjalistyczne przeznaczone dla kadry dowódczej kontyngentu, dotyczące prawa misji pokojowych, ochrony ludności oraz dóbr kultury. „Zorganizowaliśmy także lekcje języka arabskiego, które prowadziła nauczycielka z Libanu. W rejonie operacji żołnierze będą pracować z tłumaczami, ale w każdej kulturze mile widziana jest chociaż podstawowa znajomość miejscowego języka. Pozwala to nawiązać pierwsze kontakty międzykulturowe i wprowadza nas na ścieżkę pozytywnych relacji z drugą osobą”, mówi ppłk Marcin Matczak. W czasie ćwiczeń odbywających się na poligonach żołnierze doskonalą także umiejętności wynikające z procedur operacyjnych obowiązujących w czasie prowadzenia patrolu,



Ppłk Paweł Bednarz,
dowódca 3 Batalionu
12 Brygady Zmechanizowanej i zarazem
dowódca I zmiany
PKW w Libanie:
„Chcemy dobrze po-
znać tamtejszą kultu-
rę. Zależy nam na
tym, żeby nawiązać
jak najlepszy kontakt
z lokalną ludnością”.

BLĄŻEJ ŁUKASZEWSKI / 12 SDZ



Lipcowe szkolenie żołnierzy 12 Brygady Zmechanizowanej, przygotowujących się do wyjazdu na I zmianę PKW UNIFIL w Libanie

przeszukiwania osób i sprzętu oraz wykrywania zagrożeń, jakie niosą ze sobą improwizowane urządzenia wybuchowe.

Na terenie Libanu przeprowadzono też rekonesans, którego celem było określenie warunków bytowych kontyngentu. Baza Shamrock, do której trafią polscy żołnierze, została wybudowana przez Francuzów w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia. „Na miejscu sprawdzaliśmy warunki zakwaterowania, wyżywienia, stan sanitarny oraz zaplecze obsługi technicznej pojazdów. Polacy będą mieszkać w zadaszonych kontenerach. To baza dwunarodowa, ale ma obszary wspólne, na przykład stołówkę i obiekty sanitarne”, wylicza ppłk Andrzej Łydka, szef Wydziału Kontraktowania i Rozliczeń w Oddziale Zabezpieczenia Kontyngentów Wojskowych w Zarządzie Logistyki Dowództwa Operacyjnego Rodzajów Sił Zbrojnych. Podkreśla też, że całe niezbędne zaplecze logistyczne zostanie przygotowane, zanim żołnierze z Błękitnej Brygady trafią do Libanu. Zespoły inżynierskie UNIFIL pracują teraz nad przygotowaniem terenu pod rozbudowę bazy mieszkalnej, a pomagają im w tym batalion irlandzki. „Ze względu na duże obciążenie planujemy także budowę drugiej siłowni. Codzienne życie w bazie skupia się na działaniach patrolowych, ale żołnierz musi mieć także miejsce, gdzie może się zrelaksować”, dodaje ppłk Łydka. Pomimo panującego przez większą część roku ciepłego i suchego klimatu, żołnierze będą musieli się także przygotować na chłodne, deszczowe zimy. W rejonie górskim możliwe są również opady śniegu. Podobnie jak w Afganistanie, taka aura wymaga chociażby specjalistycznego przygotowania kierowców.

PAMIĘĆ O POLAKACH

Na przełomie sierpnia i września żołnierze z Błękitnej Brygady przystąpią do certyfikacji, podczas której będą musieli wykazać się umiejętnościami niezbędnymi na misji UNIFIL. Ich przygotowanie zostanie ocenione przez zespół walidacyjny

złożony ze specjalistów DORSZ oraz ONZ. W czasie do ośmiu tygodni przed wyjazdem delegacja ONZ oceni także przygotowanie sprzętu wojskowego. Inspekcji zostanie poddane całe wyposażenie, które ma trafić w rejon misji. Jest to o tyle istotne, że misje prowadzone z ramienia ONZ są finansowane ze składek państw członkowskich. Oznacza to, że część kosztów eksploatacyjnych sprzętu, łącznie z jego amortyzacją, zostanie zwrócona. Pod żadnym względem nie może on jednak odbiegać od wytycznych oraz wykazu uwzględnionego w umowie zawartej między organizacją a polskim rządem.

Po pomyślnym przejściu obu certyfikacji rozpocznie się transport wyposażenia, co potrwa do kilku tygodni. „Ta misja kompletnie różni się od tego, czego nasi żołnierze nauczyli się w Afganistanie. Obrazowo mówiąc, jadąc do Libanu, muszą zapamiętać o dotychczasowych reakcjach na sytuacje kryzysowe. To nie jest misja ofensywna i tego typu zachowania mogą przynieść więcej szkody niż pożytku”, podkreśla płk Kacperczyk, zaznaczając zarazem, że UNIFIL daje także możliwość zdobywania nowych doświadczeń na różnych polach. W Dżabal Amel polscy żołnierze będą wykonywać zadania z dziedziny współpracy cywilno-wojskowej, a także prowadzić szkolenia dla libańskiej armii. Powodzenie misji będzie zależało od dobrych kontaktów z lokalną ludnością.

„Żeby zmniejszyć napięcie w regionie, nie wystarczy po prostu tam być. Niezbędne są długotrwałe relacje z miejscowymi społecznościami, które muszą nam zaufać. Warto zaznaczyć, że w Libanie przetrwała pamięć o polskich żołnierzach. Na rekonesansie lokalni sprzedawcy witali nas po polsku, a jeden z nich poprawną polszczyzną opowiadał o ojcu, który przez wiele lat handlował z Polakami. To właśnie te wspomnienia chcemy odświeżyć i odbudować relacje”, podsumowuje płk Dariusz Kacperczyk.

Polacy pojadą do Libanu już w listopadzie 2019 roku. ■

Więcej na temat sytuacji w Libanie na str. 84–87

Kpt. mar. pil. MAREK WAWRZYNIAK – pierwszy pilot i dowódca załogi; swój pierwszy dyżur pełnił w 2001 roku.

Kpt. mar. pil. JUSTYNA CZERWONKO – drugi pilot; w składzie załóg ratowniczych od 2018 roku.

St. chor. sztab. mar. DARIUSZ DUDULSKI – technik pokładowy; dyżury pełni od 2006 roku.

Chor. mar. KRZYSZTOF WASYLCHUK – ratownik pokładowy; dyżury pełni od 2005 roku.

Kpt. WAWRZYNIAK: „Czekamy na ewentualny alarm w kabinie, gotowi do startu natychmiast po sygnale”.

PO KOGO DZIŚ LECIMY?

Od rozkazu do startu nie może upłynąć więcej niż dziesięć minut. Wtedy do akcji ratunkowej ruszają załogi śmigłowców Brygady Lotnictwa Marynarki Wojennej.

EWA KORSAK, ŁUKASZ ZALESIŃSKI



LICZBA AKCJI POSZUKIWAWCZO- -RATOWNICZYCH PRZEPROWADZONYCH PRZEZ BLMW POWOLI ZBLIŻA SIĘ DO 700

ŁUKASZ ZALESIŃSKI (4)

Na obiad będą placki ziemniaczane. Dla całej załogi usmaży je technik pokładowy, st. chor. sztab. Dariusz Dudulski. Załoga chwali, że lubi i umie to robić, poza tym chyba wypadła jego kolej. Kiedy pojawia się w budynku, gdzie dyżurują lotnicy SAR (Search and Rescue), odkłada robotę i przysiadła się, żeby porozmawiać. Z obiadem jeszcze zdąży. Czasu jest tutaj mnóstwo. Dyżur SAR to przede wszystkim czekanie. Odliczanie leniwie płynących minut i godzin. Do chwili, kiedy usłyszą TEN telefon. Wówczas czas zaczyna nieznośnie przyspieszać.

GOTOWI DO AKCJI

Załoga dowodzona przez kpt. mar. pil. Marka Wawrzyniaka w gdyńskiej bazie Brygady Lotnictwa Marynarki Wojennej (BLMW) pojawia się kilka minut przed 7.00. Najpierw lotnicy muszą sprawdzić śmigłowiec. „Kontrolujemy wszystkie urządzenia na pokładzie, łączność z wieżą na naszym lotnisku oraz z Centrum Operacji Morskich. Podrywamy śmigłowiec do zawisu, a potem ratownik zjeżdża na linie na ziemię, tak jakby robił to w czasie akcji”, wyjaśnia kpt. mar. pil. Justyna

Czerwonko, drugi pilot. W maszynie zostaje plecak ze sprzętem niezbędnym do niesienia pierwszej pomocy. „To nie jest obowiązkowe. Plecak mógłbym przynieść ze sobą dopiero w chwili wyruszenia na akcję, ale ja lubię mieć wszystko na pokładzie, żeby potem nie zastanawiać się, czy przez pośpiech aby czegoś nie zostawiłem”, tłumaczy chor. mar. Krzysztof Wasyleczuk, ratownik pokładowy.

Tymczasem dochodzi 8.00. Można rozpocząć dyżur. Dowódca załogi zasiada przed komputerem, by przyjrzeć się sytuacji w regionie, za który będzie odpowiadał przez najbliższe 24 godziny. Lotnicy morscy jako jedyni w kraju są przygotowani do prowadzenia akcji poszukiwawczych i ratowniczych nad przypisanymi Polsce obszarami Bałtyku. Wykonują też zadania do 100 km w głąb lądu. Załogi z Gdyni pod swoje skrzydła biorą wschodnią część tej strefy, nad zachodnią zaś czuwają koledzy z Darłowa. Jeśli zajdzie taka potrzeba, śmigłowcowi może pomóc bryza z bazy w Siemierowicach. Lotnicy marynarki wojennej na co dzień współpracują też ze statkami cywilnej służby SAR. Wrócimy jednak do Babich Dołów.



Do dyżurnej załogi spływają pierwsze komunikaty od służb meteo. „Pogodę kontrolujemy na bieżąco, ale już teraz otrzymaliśmy informację o silnym wietrze”, wyjaśnia kpt. Wawrzyniak. Wieje z prędkością sięgającą 15 m/s. Kolejne podmuchy z impetem uderzają w szyby pokoju, gdzie rozmawiamy. „Dla śmigłowców ratowniczych nie jest to żadna przeszkoda, ale już szkolenie młodszych pilotów trzeba było odwołać”, przyznaje pilot. Lotnicy dostają również informacje o ćwiczeniach, które są planowane na okolicznych poligonach. „Generalnie to strefy zamknięte, choć nas takie obostrzenia nie obowiązują. Jeste-

wi, by w ciągu dziesięciu minut od otrzymania w formie pisemnej rozkazu ruszyć na akcję. I wreszcie poziom pierwszy, który oznacza dyżurowanie w śmigłowcu. „Taki stan jest wprowadzany, jeśli w przestrzeń powietrzną, za którą odpowiadamy, wlatuje samolot z VIP-em na pokładzie”, podkreśla kpt. Wawrzyniak. „Czekamy wówczas na ewentualny alarm w kabinie, gotowi do startu natychmiast po sygnale”.

W budynku, gdzie dyżuruje załoga, trudno jednak wyczuć atmosferę napięcia. „To byłoby chyba niezbyt zdrowe”, śmieje się dowódca załogi. I dodaje: „Tak zwykle zachowują się początkujący na



BRYGADA LOTNICTWA MARYNARKI WOJENNEJ

Jest jedyną w Polsce formacją lotniczą, która jest gotowa do natychmiastowych działań ratowniczych nad obszarami morskimi. Całodobowe dyżury pełnią dwa

zespoły: załoga śmigłowca W-3WARM Anakonda w 43 Bazie Lotnictwa Morskiego w Gdyni-Babich Dołach oraz śmigłowców MI-14PL/R lub W-3WARM Ana-

konda w 44 Bazie Lotnictwa Morskiego w Darłowie. W razie potrzeby załogi te są wspomagane przez samolot Bryza z lotniska w Siemierowicach. ■

śmy uprzywilejowanym statkiem powietrznym, trochę jak karetka pogotowia na lądzie”, tłumaczy kpt. Wawrzyniak.

Sprawdzenie kluczowych danych trwa kilka minut. Potem członkowie załogi przygotowują swoje kombinezony – piloci MUP-y (morski ubiór pilota), technik oraz ratownik specjalne nieprzemakalne skafandry. Gdyby doszło do wypadku, pomogą one przetrwać w zimnych wodach Bałtyku. Za sprawą pomarańczowego koloru będą łatwe do namierzenia przez ekipy ratownicze. „Wszystkie ubrania i niezbędne rzeczy, jak hełmy czy kamizelki ratunkowe, rozwieszamy w szatni, tak by w razie alarmu jak najszybciej je włożyć”, mówi kpt. Czerwonko.

SEN O DYŻURZE

Ratownicy czekają na alarm w trzech stanach gotowości. Poziom trzeci jest ogłaszany, gdy warunki są tak złe, że śmigłowiec trzeba wstawić do hangaru. „W takiej sytuacji start jest odłożony do momentu, kiedy pogoda pozwoli nam na lot”, zaznacza kpt. Czerwonko. Dwójka – piloci są gotowi,

pierwszym, drugim, może trzecim dyżurze. Wówczas faktycznie, trudno skupić myśli na czymś innym niż telefon, bieg do śmigłowca czy lot na akcję”. Podczas dyżuru lotnicy spędzają czas na różne sposoby. Każdy z nich ma swój pokój, w którym może odpocząć, są też mała siłownia, pokój z telewizorem czy piłkarzyki. „Staramy się jakoś sensownie zagospodarować tę dobę”, mówi st. chor. sztab. mar. Dariusz Dudulski, który właśnie zaczytuje się w powieści kryminalnej. Niektórzy oglądają telewizję, inni ćwiczą, jeszcze inni ucinają sobie drzemkę. „A ja na przykład na dyżurze nie mogę spokojnie spać. Nie ma opcji, żebym głęboko zasnęła, tak normalnie jak w domu”, przyznaje w pewnej chwili kpt. Czerwonko. „Masz na to czas”, komentują koledzy. „Dyżurujesz dopiero rok, jeszcze nie przywykłaś...”. „Ale to, że ma się dyżur, jednak z głowy nie wychodzi. Nawet, jeśli ma się trochę więcej doświadczenia”, wtrąca dowódca załogi. „Ostatnio położyłem się spać i przyśniło mi się, że mamy alarm. Wszystko było tak realistyczne – i dzwonek telefonu, i rozmowa o tym, co się wydarzyło, i gdzie mamy lecieć – że obudziłem się i w pierwszej chwili

pomyślałem: alarm jest! Co ja robię w łóżku?!”, opowiada kpt. Wawrzyniak.

BIEG DO ŚMIGŁOWCA

W budynku, gdzie dyżurują piloci, są dwa telefony. Na pierwszy może zadzwonić każdy, kto tylko zna numer. Na drugi – wyłącznie dyżurny Centrum Operacji Morskich. Kiedy się rozlegnie jego dźwięk, wiadomo, że trzeba się zbierać. Załodze szybko są przekazywane podstawowe informacje: co się stało, w jaki rejon należy lecieć, czy rozbitka trzeba podjąć z okrętu, promu czy z wody. „Natychmiast wkładamy swoje kombinezony i kamizelki ratunkowe. W tym czasie przychodzi faksem rozkaz, który zawiera dokładniejsze informacje o zdarzeniu”, wyjaśnia kpt. Wawrzyniak. Drugi pilot wszystkie dane nanosi na mapy, wprowadza współrzędne do nawigacji. W tym czasie do śmigłowca biegną już ratownicy i technik. Zdejmą zabezpieczające maszynę pokrowce, zanim pojawią się tam piloci. „Mimo że śmigłowiec już wcześniej został skontrolowany, tuż przed lotem obchodzę go dookoła, raz jeszcze sprawdzam, czy wszystko jest w porządku”, tłumaczy st. chor. sztab. Dudulski. „Wchodzimy do kabiny, zgłaszamy wieży, że jesteśmy gotowi i startujemy”, dodaje.

Kpt. Czerwonko: „Może się wydawać, że dziesięć minut, które mamy, to dużo czasu. Ale tak nie jest. Po pierwsze, ubranie się w MUP trochę trwa, po drugie, trzeba dotrzeć do śmigłowca, a on nie stoi przecież za progiem budynku...”. Zdarzają się jednak sytuacje, kiedy trzeba działać jeszcze szybciej. Tak było chociażby przed rokiem, kiedy w okolicach Pasłęka rozbił się odrzutowiec.

SURFER Z FLARĄ CZY RYBAK W SWETRZE

Był 6 lipca 2018 roku. W środku nocy dyżurną załogę zebrał ze snu telefon: z radarów zniknął MiG-29. „Wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy, co tak naprawdę się stało, czy pilot zdołał się katapultować, czy został w kabinie”, wspomina kpt. Czerwonko. „W anakondzie byliśmy niemal natychmiast. Nie czekaliśmy na żadne faksy. Wystartowaliśmy, a w głowie miałam jedną myśl: po kogo lecimy? Świat lotniczy jest mały. Wszyscy znamy się z poligonów, pikników lotniczych, ze szkoły. Byłam pewna, że za sterami MiG-a siedział ktoś, kogo znam”, przyznaje. Kiedy śmigłowiec dotarł na miejsce, piloci zobaczyli z góry strażackie wozy. Wkrótce załoga została odwołana do bazy. Niebawem już wiedzieli: tamtej nocy pod Pasłękiem zginął kpt. Krzysztof Sobański.

Tamten lot odbywał się nad stałym lądem, ale najczęściej śmigłowce ratownicze operują nad powierzchnią morza. Poszukują rozbitków, podejmują osoby potrzebujące pomocy medycznej z okrętów, promów czy kutrów. Maszyna staje wówczas w zawisie, a na pokład w specjalnej uprząży zjeżdża ratownik. „Wymaga to dużej precyzji, bo miejsca zwykle jest mało, zwłaszcza na żaglówkach”, opowiada chor. Wasylczuk. „Najważniejszą sprawą jest złapanie kontaktu z załogą na dole. Rzucamy linę. Jeśli oni ją złapią, jest okej. Ściągają mnie w dół i dalej akcja z reguły idzie już sprawnie”, dodaje ratownik.

Zdarza się, że pierwszej pomocy udziela on już na pokładzie statku. Wówczas śmigłowiec lata wokół i czeka, aż będzie możliwe podjęcie poszkodowanego. Często jednak nie ma gdzie zrobić resuscytacji i trzeba taką osobę jak najszybciej wciągnąć na pokład maszyny. Gorzej, gdy śmigłowiec leci do rozbitka znajdującego się w wodzie. Jeśli taki człowiek nie ma na sobie choćby pomarańczowej kamizelki, szanse wypatrzenia go na sięgającej po horyzont szarozielonej przestrzeni są bliskie zeru. „Na szczęście świadomość ludzi się zmienia”, przyznaje kpt. Wawrzyniak. „Windsurferzy, żeglarze są coraz lepiej wyposażeni. Mają komórki, odpowiednie stroje, flary, dzięki którym w razie potrzeby mogą zasygnalizować swoją pozycję. Tymczasem jeszcze kilka lat temu lataliśmy do rybaków, którzy wychodzili w morze ubrani jedynie w szare wełniane swetry. Jeśli taki człowiek wypadł za burtę, stawał się niewidoczny”, dodaje pilot.

„Bardzo trudne są sytuacje, kiedy giną dzieci”, przyznaje st. chor. sztab. Dudulski. „Kilka lat temu dostaliśmy zgłoszenie, że w okolicach Darłowa fala porwała dwie dziewczynki. Przeszukaliśmy niemal całą linię brzegową. Potem dostaliśmy wykres tego, jak lataliśmy. Linie układały się w gęste sito... Nadzieja gasła, bo fale były bardzo wysokie, ale nie chcieliśmy opuścić. Ostatecznie jednak wróciliśmy do bazy z niczym. Takie historie zostają w pamięci na całe życie...”, wspomina kpt. Wawrzyniak.

Frustracja rodzi się z jeszcze innego powodu. „Czasem ludzie traktują śmigłowce ratownicze jak taksówkę”, twierdzi chor. Wasylczuk. „Kiedyś dostaliśmy wezwanie na prom. Informacja była taka, że pasażer złamał nogę. Kiedy zszedłem na pokład, okazało się, że pan ma jedynie stłuczone kolano. Mało tego, zapytał, czy razem z nim nie zabralibyśmy na ląd jego żony”, opowiada ratownik i dodaje: „Jesteśmy gotowi nieść pomoc każdemu, kto jej potrzebuje. Ale jeśli polecimy do człowieka, który skaleczył się w palec, być może nie będziemy już w stanie ruszyć na ratunek innemu, który wypadł za burtę...”.

NOCNY LOT

Liczba akcji poszukiwawczo-ratowniczych przeprowadzonych przez BLMW powoli zbliża się do 700. W tym czasie lotnicy pomogli setkom poszkodowanych. Tak było również 2 lipca, kiedy z dyżurującą załogą spędziliśmy kilka godzin. Gdynię opuściliśmy późnym popołudniem, a w nocy otrzymaliśmy informację o kolejnej akcji. Około godziny 23.00 na stanowisku dyżurnym zadzwonił telefon. Pomocy potrzebowała pasażerka promu „Stena Spirit”, który znajdował się 18 Mm na północny wschód od Gdyni. Niecałe dziesięć minut później śmigłowiec był już w powietrzu. Kiedy dotarł na miejsce, chor. Wasylczuk zszedł po linie na pokład. Okazało się, że kobieta ma problemy z oddychaniem. Natychmiast została wciągnięta na pokład anakondy. Wkrótce samolot wylądował na lotnisku w Babich Dołach, gdzie czekała karetka. Poszkodowana znalazła się pod opieką lekarza w ciągu niespełna godziny. Tyle właśnie czasu minęło od alarmowego telefonu. Była to dwudziesta w tym roku akcja ratunkowa załogi SAR. ■

A close-up photograph of a soldier in full combat gear, including a helmet and camouflage uniform. The soldier is holding an assault rifle and aiming it upwards. The background is blurred, showing another soldier in the distance.

PODSTAWY PRZEKRACZANIA GRANIC

Zaliczenie kilkumiesięcznego kursu
bazowego to bilet wstępu do
zespołów szturmowych jednostki
specjalnej.

EWA KORSAK
MAGDALENA KOWALSKA-SENDEK

Każdy, kto marzy o służbie w bojówce Jednostki Wojskowej Agat, najpierw musi skończyć kurs bazowy. „Mamy kilka miesięcy na to, by nauczyć młodego żołnierza naszej jednostki podstawowych umiejętności szturmowania”, mówi „Nowy”, kierownik kursu. Niektórzy twierdzą, że to przedłużenie kilkudniowej selekcji, ale instruktorzy stanowczo zaprzeczają. „Na selekcji sprawdzamy fizyczne i psychiczne przygotowanie kandydatów do jednostki Agat, oceniamy ich motywację. Sprawdzamy, jak radzą sobie z nawigacją w trudnych warunkach terenowych. W górach przeważnie działają w pojedynkę. A bazówka to już praca w grupie, typowo wojskowe szkolenie, sprawdziany ze strzelania na różnych dystansach i z różnego rodzaju broni”, mówi „Dziki”, jeden z instruktorów. „Przez kilka miesięcy kursu żołnierze właściwie nie bywają w domach. Jest im ciężko i fizycznie, i psychicznie. Sprawdzamy, jak sobie z tym radzą”, dodaje. Ale wielu żołnierzy wpada w pułapkę, myśląc „przeszedłem selekcję, jestem świetnym komandosem”, i rzeczywiście podchodzi do kursu bazowego jak do jej ciągu dalszego. „Tacy dość szybko dostają lekcję pokory”, zapewniają instruktorzy. Tak było w przypadku Pawła, którego zderzenie z kursem bazowym okazało się bolesne. „Tak zupełnie szczerze: nie miałem pojęcia, co naprawdę kryje się za słowem »bazówka«. Przystępowałem do szkolenia przekonany, że przez kilka miesięcy trochę wcześniej będę zaczynał pracę i trochę później będę ją kończył. Tymczasem w czasie kursu wychodziłem z domu rano, żegnając żonę słowami: »wychodzę i nie mam pojęcia, kiedy wrócę«”, przyznaje żołnierz, który kilka lat temu porzucił wojska lądowe i wstąpił w szeregi wojsk specjalnych.

Sprawdzian przyszłych operatorów był podzielony na kilka części i trwał tydzień. Na początku żołnierze zdawali egzamin z WF-u, ale najważniejszym elementem testu było zaplanowanie i samodzielne przygotowanie akcji bezpośredniej.

TRUDNY POCZĄTEK

Zaczyna się od zajęć z WF-u. Brzmi niewinnie, ale kandydaci do zespołów szturmowych już wtedy mocno dostają w kość. Zajęć jest bardzo dużo, a w międzyczasie obowiązkowe wykłady, na których żołnierze poznają teoretyczne zagadnienia dotyczące strzelania. „Pamiętam, że największą sztuką i umiejętnością było wówczas niezaśnięcie ze zmęczenia na wykładach”, wspomina Paweł. „Już

wówczas zacząłem odpokutowywać za brak przygotowania. Tak, nie byłem gotowy ani fizycznie, ani psychicznie. Męczyłem się bardziej niż inni, myślałem, że nie dam rady”, opowiada. Znalazł się na końcu stawki. Kiedy zaczął się kolejny etap kursu – szkolenie ogniowe, było jeszcze gorzej. Paweł osiągał najgorsze wyniki w strzelaniu. A nie jest fajnie zamykać stawkę. „Nie wiem ani dlaczego, ani jak, ale mimo że byłem najłabszy, szedłem do przodu. Poprawiałem swoje wyniki, aż w końcu tydzień przed egzaminem udało mi się wykonać minimum tego, co trzeba, by go zaliczyć. Robiłem krok do przodu. Dla mnie to właściwie nie krok, a lata świetlne, które dzieliły mnie od tego, co potrafiłem na początku i na końcu fazy strzeleckiej”, wspomina Paweł. Dostrzegli to instruktorzy. „Odpadają ci, którzy nie robią postępów”, komentuje krótko „Oceć”, jeden z instruktorów. A także ci, którzy nie przestrzegają zasad bezpieczeństwa lub nie zdają egzaminów kończących poszczególne etapy kursu. W tej edycji kursu bazowego z 35 kandydatów odpadło aż 14.

Większość żołnierzy zespołów bojowych najgorzej wspomina etap zielonej taktyki. Spędza się wówczas kilka tygodni niemal bez przerwy w otwartym terenie, gdzie odbywa się szkolenie z patrolowania, obserwacji, budowania zasadzek. „Mieliśmy zegarki mierzące czas aktywności, które każdy bez ruchu traktują jak sen. Kiedy jeden z kolegów zgrał dane z zegarka już po zakończeniu fazy zielonej, okazało się, że średnio spaliśmy – albo trwaliśmy w bezruchu – trzy godziny na dobę. Ten etap był naprawdę wyczerpujący”, wspomina Paweł.

Dla przyszłych szturmaków to był również sprawdzian z działania w grupie. W czasie szkolenia ogniowego mocno skupiali się na sobie, dbając o poprawianie własnych wyników. W etapie taktyki zielonej byli już grupą. Czy każdy z nich potrafił się w niej odnaleźć? Nie do końca. „Pojawiły się wtedy myśli, z kim chciałbym »iść na robotę«, bardzo dużo można się było o sobie dowiedzieć. Kto odda łyk swojej wody, kto zmieni na warcie, a kto oleje, gdy będziesz potrzebował pomocy”, wspomina Paweł.

GOTOWI NA SZTURM

To, czego dowiedzieli się wówczas o sobie, weryfikowali w kolejnym etapie, czyli taktyce czarnej. Szkolenie z działania w terenie zurbanizowanym





odbywało się na poligonie w Wędrzynie. „Taktyki nauczyliśmy ich krok po kroku. Najpierw do budynków wchodzili w parach, następnie czwórkami, potem coraz większą grupą”, mówi „Lesiu”, instruktor, który przez kilka lat służył w zespole bojowym jednostki. Zadaniem chłopaków było zajęcie budynku. Zaczynali od zdobycia parteru, potem dochodziły piętra, schody, korytarze i pomieszczenia, gdzie czekali przeciwnicy, których musieli pokonać. Na koniec opanowywali budynek. Podczas tej fazy przyszli operatorzy uczyli się innej trudnej sztuki. „Szturm trzeba dokładnie zaplanować. Wiedzieć, jak wygląda rozkład pomieszczeń, gdzie są schody, która droga prowadzi do piwnicy i tak dalej. Żołnierze muszą wiedzieć wszystko o zajmowanym budynku i dokładnie zaplanować jego zdobycie”, wyjaśnia „Lesiu”. Każde kolejne zadanie było trudniejsze nie tylko ze względu na skomplikowany rozkład pomieszczeń, ale również na porę dnia (a właściwie ze względu na noc) oraz zmęczenie żołnierzy. „Zależy nam na sprawdzeniu ich w każdej sytuacji, także wtedy, gdy są granicznie zmęczeni i niewyspani. Wtedy obserwujemy, czy potrafią podjąć dobrą decyzję”, wyjaśnia „Dziku”. Były takie chwile, że na „czarnej” żołnierze tęsknili za zajęciami z WF-u, które mieli na początku kursu. Kiedyś wydawały się czymś nie do przeskoczenia, a na tamtym etapie – bułką z masłem. „Wtedy trzeba było tylko biegać, pływać i starać się, żeby po kilku godzinach nie zasnąć ze zmęczenia na wykładach. Czym innym jest ogromny wysiłek i fizyczny, i umysłowy. Dotarło do mnie, że sprawność fizyczna to za mało, jeśli chodzi o operatora. Gdyby to wystarczyło, Agat mógłby prowadzić nabór do jednostki na siłowni i byłoby po sprawie. Mimo ogromnego wysiłku operator musi jeszcze umieć się koncentrować i myśleć. Nie tylko o sobie, ale i o kolegach”, mówi Paweł.

NOCNA AKCJA

Sprawdzian przyszłych operatorów był podzielony na kilka części i trwał tydzień. Na początku żołnierze zdawali egzamin z WF-u, ale najważniejszym elementem testu było zaplanowanie i samodzielne przygotowanie akcji bezpośredniej. „Zadanie oparliśmy na hipotetycznym scenariuszu,

KAŻDY PO SWOJEMU

Choć szkolenia bazowe w jednostkach wojsk specjalnych w ogólnych założeniach są do siebie zbliżone, różnią się zakresem programu i długością. Niezmiennie jest to, że na bazówkę trafiają żołnierze po selekcji. Szturmani z Gliwic bazówkę prowadzą przez siedem miesięcy, a np. szkolenie podstawowe w GROM-ie czy Jednostce Wojskowej Komandosów trwa rok. Dowództwo Komponentu Wojsk Specjalnych pracuje nad stworzeniem jednolitego programu kursu bazowego dla wszystkich podległych jednostek. ■

MICHAŁ NIEWIČZ

który zakładał, że na terenie Polski działa grupa osób zagrażająca bezpieczeństwu państwa”, opowiada „Nowy”. Żołnierze mieli obserwować, a następnie zatrzymać mężczyznę podejrzanego o działalność na rzecz obcego wywiadu. Szpieg ukrywał się w budynku, na który trzeba było przeprowadzić szturm. Żołnierze przygotowywali akcję przez kilka dni. Punktem wyjściowym do działania były informacje. Na początku mieli ich niewiele, ale dzięki właściwemu rozpoznaniu gromadzili coraz więcej danych. Po kilkudniowym planowaniu ruszyli do szturm. Jeszcze przed wschodem słońca niepostrzeżenie podeszli do budynku, w którym znajdował się poszukiwany mężczyzna. By pojmać cel, musieli stoczyć walkę z przeciwnikiem i zneutralizować ładunki wybuchowe, które zostały rozlokowane wewnątrz budynku. Dlaczego działali nocą? To wynika ze specyfiki pracy wojsk specjalnych. Żołnierze tych formacji, kryjąc się w mroku, niezauważenie podchodzą do budynków i dzięki zaskoczeniu zyskują przewagę. „Podczas misji w Afganistanie specjaliści bardzo często prowadzili operacje w nocy i to się sprawdzało. Łatwiej zaskoczyć przeciwnika nad ranem. Wtedy ludzie są najbardziej zmęczeni, sen jest głęboki, a ci, którzy nie śpią, mają słabszą koncentrację”, wyjaśnia jeden z oficerów dowództwa JW Agat.

Egzamin zdało 21 żołnierzy. „Nie wszystko poszło świetnie, tak jakbyśmy sobie tego życzyli. Na pewno mocną stroną grupy było planowanie, stawianie rozkazu bojowego. Dobrze wyszło im rozpoznanie specjalne. Ale elementy działania bezpośredniego wymagają doskonalenia”, przyznaje kierownik kursu bazowego.

Teraz żołnierze przechodzą kursy specjalistyczne, we wrześniu otrzymają naszywki grup szturmowych Agatu oraz przybiją piątki z instruktorami. „Czekam na to, bo mam wrażenie, że bez tego gestu kurs nie jest zakończony”, przyznaje Paweł. Choć zdaniem instruktorów kursanci dostali od nich niezłą lekcję pokory, to zyskali również świadomość, że mogą przekraczać swoje granice – zarówno psychiczne, jak i fizyczne. „Gdy zmęczenie było naprawdę duże, okazywało się, że potrafimy więcej, mimo że jeszcze kilka tygodni temu sami siebie o to nie podejrzewaliśmy”, przyznaje jeden z kursantów. ■

Najpierw nad portem wojennym w Gdyni pojawił się śmigłowiec SH-2G. Ten sam, który przez pięć miesięcy towarzyszył fregacie „Gen. K. Pułaski” podczas misji Stałego Zespołu Sił Morskich NATO (SNMG1). Przez kilkanaście minut krążył nad głowami zebranych na nabrzeżu osób, po czym skierował się do swojej bazy w Babich Dołach. W tym czasie okręt przy dźwiękach wojskowej orkiestry powoli dobijał do brzegu. Na ten widok bliscy marynarzy chwycili za komórki i aparaty. W górę powędrowały bukietki kwiatów. Oliwia przyznaje: „Nareszcie, bo stęskniliśmy się już bardzo. Szczególnie synek. Miał tylko pół roku, kiedy tata wyjeżdżał... Ja odwiedzałam Marcina, kiedy stali w Sztokholmie i Rostocku, ale to przecież nie to samo. Teraz będziemy go mieli dla siebie”.

„Kiedy 29 stycznia żegnaliśmy w tym miejscu „Pułaskiego”, termin jego powrotu wydawał się bardzo odległy. Dziś z nieukrywana satysfakcją i dumą mam przyjemność okręt powitać. Podczas misji udowodnił on swoją bojową wartość”, podkreśla wiceadm. Jarosław Ziemiański, inspektor marynarki wojennej w Dowództwie Generalnym Rodzajów Sił Zbrojnych, a zwracając się do marynarzy dodał: „Serdecznie dziękuję wam za służbę w trudnych warunkach. Po raz kolejny zdaliście egzamin z samodzielności”.

POWRÓT PO LATACH

SNMG1 to stały zespół okrętów – jeden z czterech, które wystawia NATO. Operuje w północnej części Europy. Demonstruje obecność Sojuszu Północnoatlantyckiego na strategicznych akwenach, strzeże bezpieczeństwa żeglugi, przede wszystkim zaś ćwiczy, ćwiczy i jeszcze raz ćwiczy. Tak, aby w razie potrzeby można go było błyskawicznie skierować w rejon konfliktu albo kryzysu humanitarnego. Nie bez przyczyny SNMG1 stanowi część Sił Odpowiedzi NATO. Dołączyć do tego zespołu to jak trafić do morskiej elity. Tym bardziej że po rosyjskiej aneksji Krymu

oraz wybuchu wojny na wschodzie Ukrainy jego rola wzrosła, a siła została wzmocniona. Wspólnie z „Pułaskim” pod natowską banderą służyły fregaty z Hiszpanii (ESPS „Almirante Juan de Borbon”), Turcji (TCG „Gökova”) i Wielkiej Brytanii (HMS „Westminster”). Okręty bojowe były wspierane przez kilka śmigłowców morskich oraz niemieckie tankowce – kolejno FGS „Spessart” i FGS „Rhoen” – zaś funkcję jednostki flagowej pełnił amerykański niszczyciel USS „Gravelly”, wyposażony m.in. w pociski manewrujące Tomahawk.

ORP „Pułaski” do SNMG1 powrócił po dziesięciu latach przerwy. Udział w misji poprzedziły roczne przygotowania, podczas których załoga zaliczyła niezwykle trudne szkolenie w należącym do Royal Navy ośrodku FOST (Flag Officer Sea Training). Wieńczący je egzamin był zarazem testem certyfikującym do działań w natowskim zespole. Dał próbkę tego, z czym załoga będzie się zmagać przez kolejne miesiące – już jako Polski Kontyngent Wojskowy „Pułaski”.

DŹWIEKI SPOD WODY

Alarm na pokładzie! W rejonie, gdzie operuje zespół, pojawił się okręt podwodny. Załogi fregat dostają swoje akweny do przeczesania. Pełne ręce roboty mają przede wszystkim marynarze obsługujący sonary. Łowią rozchodzące się w morskiej toni dźwięki, analizują je, określają odległości. W powietrze wzbijają się śmigłowce, w tym polski SH-2G. Może on włączyć się w poszukiwania dzięki wyrzucanym do morza pławom radiohydroakustycznym oraz detektorowi anomalii magnetycznych. Kiedy marynarze czy lotnicy namierzą okręt, ruszają przygotowania do ataku torpedowego. I tak w kółko. Podobne działania prowadzone były praktycznie od pierwszego dnia pobytu „Pułaskiego” w SNMG1. Do tego doszły strzelania do celów nawodnych i powietrznych, manewrowanie w szykach, walka z symulowanymi przebieciami kadłuba i pożarami. Słowem: całe spektrum działań, do których okręt został stworzony, a załoga przeszkolona.

Na dzień dobry SNMG1 wziął udział w ćwiczeniach „Dynamic Guard”

Załoga z pierwszej ligi

Fregata raketowa „Gen. K. Pułaski” zakończyła pięciomiesięczną misję w elitarnym natowskim zespole.

ŁUKASZ
ZALESIŃSKI





SEBASTIAN BABEL (2)

MISJA to nie tylko wyzwanie bojowe, lecz także ważny sprawdzian dla marynarzy odpowiadających za sprawność okrętowych mechanizmów.

u wybrzeży Norwegii. Okręty działały tam zarówno na otwartym morzu, jak i we fiordach. Wśród zadań znalazła się choćby osłona tak zwanej jednostki dużej wartości. Kmdr por. Paweł Werner, dowódca polskiej fregaty, przyznaje, że blisko dwutygodniowe ćwiczenia prowadzone były w trudnych warunkach. „Wpływ na to miała specyfika samych akwenów. Panował na nich spory ruch, w rejonie pojawiały się jednostki cywilne. W dodatku po dnie poprowadzono tam stosunkowo dużą liczbę różnego rodzaju przewodów, zdarzają się też wraki. Wszystko to zakłóca rozchodzenie się pod wodą dźwięku, a co za tym idzie – komplikuje namierzenie okrętu podwodnego. Warunki często mieliśmy na granicy dopuszczalności, na szczęście ani razu nie trzeba było przerywać ćwiczeń”, wspomina.

Potem były jeszcze manewry „Joint Warrior” na styku Morza Północnego oraz Atlantyku, mniejsze ćwiczenia z jednostkami poszczególnych państw, wewnętrzne treningi zgrywające zespół, wreszcie finał: największe w historii ćwiczenia „Baltops”.

ROSYJSKI CIEŃ

W początkach czerwca na Bałtyku pojawiło się blisko 50 okrętów z kilkunastu państw. Wśród uczestników po raz pierwszy znalazły się działające pod egidą Brytyjczyków połączone siły ekspedycyjne (Joint Expeditionary Force – JEF) czy flagowy okręt hiszpańskiej marynarki – lotniskowiec ESPS „Juan Carlos I”. „Pułaskiemu” podczas „Baltopsa” przypadła rola wyjątkowa. „Kierowaliśmy wszystkimi działaniami zespołu, które wiąza-



PODCZAS PIĘCIOMIESIĘCZNEJ MISJI

„PUŁASKI” PRZE- PŁYNAŁ ŁĄCZNIE 23 650 MIL MOR- SKICH, ODWIE- DZAJĄC DZIEWIĘĆ ZAGRANICZNYCH PORTÓW

ły się z poszukiwaniem i zwalczaniem okrętów podwodnych”, tłumaczy kmdr ppor. Kamil Sadowski, dowódca pionu uzbrojenia, który przez ostatnie dwa miesiące na pokładzie „Pułaskiego” pełnił też funkcję oficera operacyjnego. Kiedy pojawiało się zagrożenie tego typu atakiem i dowodzący SNMG1 amerykański kadm. Edward Cashman decydował, że załogi wszystkich okrętów powinny się skoncentrować na jego odparciu, do akcji wkroczyła polska fregata. Polacy rozdzielali role, wskazywali obszary do przeszukania, zawiadywali poczynaniami innych jednostek, słowem: odpowiadała za powodzenie całej operacji. „Podczas niektórych tego typu przedsięwzięć do SNMG1 dodatkowo dołączały okręty spoza zespołu. I one również trafiały pod naszą komendę”, wspomina kmdr ppor. Sadowski. „Przydzielenie nam tak odpowiedzialnej funkcji było sporą nobilitacją”, dodaje. Podczas „Baltopsa” zespół SNMG1 działał



Wspólnie z „Pułaskim” pod natowską banderą służyły fregaty z Hiszpanii, Turcji i Wielkiej Brytanii.

m.in. w okolicach Bornholmu. „Nasze główne zadanie polegało tam na osłanianiu sił desantowych, które lądowały na wybrzeżu Szwecji”, tłumaczy kmr ppor. Sadowski. W sumie tego typu operacje podczas manewrów zostały przeprowadzone jeszcze w kilku miejscach, m.in. na Litwie, w Estonii oraz Niemczech. A wszystko pod czujnym okiem Rosjan. „Pojawiali się w różnych momentach naszej misji. Podążali za nami jak cień. Czasem w kabinach przelatujących nieopodal rosyjskich śmigłowców mogliśmy wręcz rozpoznać twarze pilotów. Trzeba jednak przyznać, że Rosjanie zachowywali się profesjonalnie. Nie przekraczali granic nakazanych przez prawo i obyczaj”, zaznacza kmr ppor. Sebastian Bąbel, pilot śmigłowca SH-2G i dowódca komponentu lotniczego w PKW „Pułaski”.

KRETY CZUWAJA

Tymczasem pięciomiesięczna misja to nie tylko wyzwanie bojowe, lecz także poważny sprawdzian dla marynarzy odpowiadających za sprawność okrętowych mechanizmów. „Czasem nazywają nas kretami, ponieważ większość czasu spędzamy głęboko pod pokładem, tam gdzie nie dociera światło dzienne, za to jest ciepło”, uśmiecha się kmr ppor. Arkadiusz Frącz, w załodze „Pułaskiego” dowódca pionu eksploatacji. W sumie służy w nim około 40 osób, które dbają, by na okręcie nie zabrakło prądu i sprężonego powietrza, a także aby silniki czy przekładnie pracowały tak, jak należy. Podczas służby w SNMG1 pracy mieli sporo. „Misję zaczynaliśmy zimą, kiedy temperatury były niskie. W dodatku wykonywaliśmy wówczas zadania na północy Europy. Kończymy latem, przy niespotykanych w tej części świata upałach. Takie różnice pogody mają wpływ nie tylko na ludzi, ale także na sprzęt”, podkreśla kmr ppor. Frącz. „Trafiły się nam gorące chwile, jak choćby wówczas, gdy podczas jednej nocy musieliśmy usunąć może niezbyt po-

ważną, ale na pewno uciążliwą usterkę napędu”, wspomina. Zaraz jednak dodaje, że dobiegający czterdziestki „Pułaski” nie jest wcale dużo bardziej podatny na awarie niż młodsze jednostki. „W zespole poznałem mechaników z Wielkiej Brytanii, USA czy Turcji. Wszyscy zmagamy się z podobnymi problemami. A nasz okręt, mimo że jest niemal moim równolatkiem, w sumie »czuje się« tak jak ja, czyli na ogół dobrze”, żartuje.

Podczas pięciomiesięcznej misji „Pułaski” przepłynął łącznie 23 650 Mm, odwiedzając przy tym dziewięć zagranicznych portów. „Dla nas możliwość współpracy z okrętami tak różnych klas i z tak wielu krajów była bezcennym doświadczeniem”, zapewnia kmr ppor. Sadowski. Bazujący na pokładzie fregaty śmigłowiec spędził w powietrzu 150 godzin. „Lataliśmy zarówno w dzień, jak i w nocy. Braлиśmy udział nie tylko w poszukiwaniu okrętów podwodnych, ale też we wskazywaniu celów na morzu. Prowadziliśmy rozpoznanie, realizowaliśmy zadania łącznikowe i transportowe”, wylicza kmr ppor. Bąbel. Choć śmigłowiec stacjonował na pokładzie polskiej fregaty, wykonywał zadania na rzecz całego zespołu. „Mielismy na przykład okazję lądować na USS »Gravely«”, informuje pilot. Wniośki? „Dla nas była to bardzo dobra misja, podczas której raz jeszcze mogliśmy się przekonać, że pod względem umiejętności i poziomu wyszkolenia nie odstawiamy od naszych kolegów z innych krajów”, zapewnia kmr ppor. Bąbel. „Jedynie, co nas hamuje, to sprzęt. Mamy bardzo dobry lekki śmigłowiec, który jednak wymaga modernizacji. Warto go doposażyć w nowoczesną głowicę optoelektroniczną czy system łączności Link. Dzięki temu zwiększą się jego możliwości. A naprawdę warto to zrobić, bo już samo posiadanie lotnictwa pokładowego sytuuje nas w pierwszej lidze państw, które mają dostęp do morza i swoją marynarkę wojenną”, podsumowuje pilot. ■



Jedna misja, jeden zespół

*Swoją misję zakończyło 230 żołnierzy IV zmiany
Polskiego Kontyngentu Wojskowego w Rumunii.
O tym, jak wspominają pobyt poza granicami kraju,
a także o współpracy z sojusznikami, z ich przedstawicielami
rozmawia Magdalena Miernicka.*

DAWID BUTLAK

Czy dowodzenie żołnierzami na misji różni się od tego rodzaju działań w kraju?

Różni się przede wszystkim natężeniem pracy. Musimy sprostać wielu zadaniom, ale warunki do działania mamy bardzo sprzyjające – wszyscy żołnierze są na miejscu, nie ma zwolnień lekarskich, wakatów na poszczególnych stanowiskach, a do dyspozycji mamy w zasadzie nieograniczone środki. Chodzi mi tu o dostęp do obiektów szkoleniowych czy amunicji. Możemy w stu procentach skoncentrować się na szkoleniu. Dowodzenie w takich warunkach to przyjemność.

A co pobyt poza granicami kraju daje samym żołnierzom?

Doświadczenie, doświadczenie i jeszcze raz doświadczenie. Żołnierze mają możliwość oderwania się od środowiska,

w którym działają na co dzień, wyjechania z poligonów, które znają jak własną kieszeń. Celem misji w Rumunii jest przede wszystkim zaznaczenie naszej obecności w tym regionie i współpraca z sojusznikami. Nie musimy tam, tak jak np. w Afganistanie, koncentrować się na działaniach typowo bojowych. Dzięki temu możemy skupić się na szkoleniu. Spędziliśmy wiele godzin na różnych poligonach, zorganizowaliśmy także szkolenie górskie i przerzut wojsk na drugi koniec kraju. No i braliśmy udział w ćwiczeniach „Saber Guardian ’19”, największych, jakie w tym roku odbywały się w tej części Europy.

Jakim zadaniom musieliście wówczas sprostać?

Rozkaz brzmiał: przeprowadzić rosomaki przez Dunaj. Wymagało to od nas długich przygotowań. Żołnierze



PATRYK CIELIŃSKI / COMBAT
CAMERA DORSZ (2)



POLACY W RUMUNII

Trzon IV zmiany Polskiego Kontyngentu Wojskowego w Rumunii stanowili żołnierze z 17 Brygady Zmechanizowanej. Ich działania wspierali m.in. wojskowi z 10 Brygady Logistycznej, Żandarmerii Wojskowej i 11 Batalionu Dowodzenia. Wszyscy przez pół roku współpracowali z 26 Batalionem Piechoty Rumuńskich Sił Zbrojnych.



Mjr DAWID BUTLAK
był dowódcą
IV zmiany
PKW Rumunia.

musieli m.in. sprawdzić wyporność i szczelność wszystkich pojazdów, wyposażać je w boiki, które utrzymałyby rosomaka, gdyby stanął np. na środku rzeki. Dodatkowo wszyscy żołnierze, na wszelki wypadek, przeszli zaawansowany kurs pływacki. Kiedy jednak przyszło do wykonywania zadania i tak musieliśmy zmienić plany. Poziom rzeki okazał się za wysoki, a nurt zbyt rwący, aby bezpiecznie ją pokonać. Nie poddaliśmy się dzięki współpracy z sojusznikami i tak dostaliśmy się na drugi brzeg. Rumuni przetransportowali nas na swoich łodziach. Razem z nami przeprawiali się także żołnierze US Army, a z powietrza osłaniały nas włoskie myśliwce F-16.

Czyli test sojuszniczej współpracy został zaliczony?

Jeśli chodzi o typową współpracę wojskową, to nie było żadnych niespodzianek. Zarówno my, jak i nasi koledzy z armii rumuńskiej działaliśmy na podstawie natowskich procedur. Poza tym stacjonowaliśmy już jako IV zmiana PKW, zatem mogliśmy korzystać z wcześniejszych doświadczeń. Jedyną różnicą może być podejście do załatwiania niektórych spraw. My, Polacy, chcielibyśmy wszystko załatwić na już albo najlepiej na wczoraj, a Rumunii mają typowo południowe podejście – działają bardzo spokojnie.



Ta misja to jednak nie tylko działania na poligonie. Czy mieliście czas, aby poznać kulturę tego kraju?

Oczywiście, to nieodłączny element misji. Zarówno społeczność, jak i władze Rumunii przyjęli nas bardzo życzliwie. Wspólnie uczestniczyliśmy m.in. w obchodach uroczystości państwowych, nie tylko naszych polskich, lecz także rumuńskich. Pamiętam, jak się zdziwiłem, gdy pierwszy raz brałem udział w tego typu ceremonii, bo po jej zakończeniu ludzie wyszli na ulicę i zaczęli tań-

czyć. Nigdy wcześniej się z tym nie spotkałem. Bardzo miłe wspominałem też wizytę w Bukowinie. To kraina historyczna, zamieszкана m.in. przez Rumunów polskiego pochodzenia. Ludzie mówią tam po polsku, dzieci uczą się w polskich szkołach, organizowane są obchody polskich świąt. Czuliśmy się tam jak w domu.

Gdyby pojawiła się taka możliwość, wróciłby pan na misję?

Oczywiście.

ŁUKASZ KASPRZYK

Na waszych, czyli Narodowego Elementu Wsparcia [National Support Element – NSE], barkach spoczywało zabezpieczenie funkcjonowania całego kontyngentu. Jak sobie poradziście z tym zadaniem?

Nasza misja zaczęła się bardzo intensywnie, bo na przejęcie obowiązków od poprzedników mieliśmy tylko dwa tygodnie. I w zasadzie... tak już było do samego końca. Bo to my, logistycy, musieliśmy zadbać o to, aby każdy z 230 żołnierzy miał gdzie spać, co zjeść, a także, żeby miał warunki do wykonywania swoich obowiązków. Zatem robiliśmy wszystko, żeby nie zabrakło paliwa, amunicji czy części zamiennych do naszych pojazdów. Oczywiście dbaliśmy też o sprzęt. Rosomaki niemal nie zjeżdżały z poligonu, a zgodnie z procedurami zarówno przed każdym działaniem, jak i po nim musieliśmy sprawdzić ich stan techniczny, uzbrojenie, systemy łączności, akumulatory. Lista zadań była długa.

Kolejny raz sprawdziło się powiedzenie, że logistyka nie jest wszystkim, ale bez logistyki wszystko jest niczym?

Wiadomo, że na misji najważniejsze zadania spoczywały na barkach kompanii zmechanizowanej, ale to my odpowiadaliśmy za to, aby mogła ona działać. A to, ile wysiłku nas to kosztowało... wiemy tylko my. Ale nie narzekam, po prostu nasze obowiązki były zupełnie inne. Ja nie musiałem na co dzień biegać po poligonie, ale dbałem o formalności, czyli zajmowałem się tzw. białą taktyką. Niektórzy traktują ją lekceważąco, ale dla nas była ona kluczowa, bo dzięki temu wojsko miało niezbędne do działania środki. Ci, którzy nie mają z nią na co dzień

styczności, nie zdają sobie nawet sprawy, że odpowiedzialność spoczywa na dowódcy NSE.

A najtrudniejsze zadanie z pana perspektywy?

Chyba zabezpieczenie przemarszu wojsk na poligon w Cincu. Nasze rosomaki musiały pokonać ponad 500 km po drogach publicznych, w nie najłatwiejszym, górzystym terenie. Przez cały czas trzeba było czuwać nad tym, aby wszystko odbyło się sprawnie, bo każda, nawet najmniejsza usterka mogła spowodować zatrzymanie konwoju. Żołnierze cały czas byli w gotowości, mając do dyspozycji pojazdy niskopodwoziowe czy części zamienne. Dodatkowo nie sprzyjała nam pogoda, było bardzo gorąco. W takich warunkach każda interwencja staje się skomplikowana.

Czuliście wsparcie rumuńskich logistyków?

Trwa teraz modernizacja armii rumuńskiej, tak więc wszystko się zmienia. W jednostce, z którą współpracowaliśmy, nie było nowoczesnego sprzętu logistycznego, dlatego czasami to my wspieraliśmy sojuszników, używając im np. wózków widłowych czy hiabów. Ale to nie problem, w końcu kooperacja to jeden z powodów, dla których w ogóle stacjonowaliśmy w Krajowej.

Największy sukces misji, według pana?

To, że zbudowaliśmy bardzo zgrany zespół. Zazwyczaj wszyscy narzekają na logistykę, bo na to najłatwiej rzucić winę za wszelkie niedogodności. W Rumunii w ogóle nie miało to miejsca. Myślę, że żołnierze wiedzieli, że robimy, co możemy, aby umożliwić im wykonywanie zadań. Wiedzieli, że mają w nas wsparcie. Po prostu uodwodniliśmy, że hasło „one mission, one team” to nie tylko slogan.



Kpt. ŁUKASZ KASPRZYK był dowódcą Narodowego Elementu Wsparcia w PKW Rumunia.

BARTŁOMIEJ MISZON

Ta misja była dla pana cennym doświadczeniem?

Na pewno. Dla mnie szczególnie, bo po raz pierwszy stacjonuję poza granicami kraju. Wszystko jest dla mnie nowe, ale nie narzekam, bardzo dużo się tu nauczyłem.

W jakich ćwiczeniach braliście udział?

Największe wrażenie zrobił na mnie „Saber Guardian '19”, bo zaangażowano wówczas ogromne siły. Równocześnie współdziałały wojska lądowe, marynarka wojenna i lotnictwo różnych armii. Nigdy nie brałem udziału w tak dużych manewrach. Dobrze wspominam też nasze szkolenie górskie. Całym plutonem wspinaliśmy się na szczyt, a po drodze ćwiczyliśmy budowę stanowisk ogniowych, pułapek na zwierzynę, maskowanie i musieliśmy przygotować sobie schronienie.

Co dla pana okazało się w Rumunii największym zaskoczeniem?

Pogoda. To oczywiste, że zimą jest zimno, a latem gorąco, jednak tam temperatury są naprawdę ekstremalnie niskie lub wysokie.

Mieliście czas na integrację z sojusznikami?

Naszym głównym zadaniem była współpraca z wojskiem rumuńskim i na tym się koncentrowaliśmy – razem chodziliśmy na strzelnicę, razem ćwiczyliśmy na poligonie, razem jedliśmy posiłki. Braliśmy też udział w różnych zawodach sportowych. Graliśmy w piłkę nożną, badmintona, szachy. No i biegaliśmy. Ja wziąłem m.in. udział w półmaratonie, który odbył się w Bukareszcie.



Sierż. BARTŁOMIEJ MISZON jest zastępcą dowódcy plutonu.

PODCZAS PÓŁROCZNEJ MISJI W RUMUNII POLSKIE ROSOMAKI PRZEJECHAŁY W SUMIE PONAD 45 TYS. KILOMETRÓW

BARTOSZ MONKIEWICZ

W Rumunii polskie rosomaki przejechały dziesiątki tysięcy kilometrów. Dla kierowców to chyba spore wyzwanie?

Najdłuższy odcinek, jaki pokonaliśmy, to 400 km z naszej bazy w Krajowej na poligon w Bordușani. Sama odległość to jednak nie problem. Dużo trudniejsze okazało się przemieszczenie do Cincu, bo trasa wiodła przez góry. Co prawda jeszcze w Polsce przygotowaliśmy się do tego, ale nikt z nas nie spodziewał się, że będziemy jeździć na takich wysokościach. Wymagało to od nas pełnego skupienia.

Czyli przy okazji mieliście szansę zobaczyć trochę kraju?

Nawet nie przy okazji. W czasie wolnym zwiedziliśmy m.in. Bukareszt, byliśmy też w zamku Drakuli. Zaskoczyły mnie również cygańskie dzielnice. Tamtejsze domy nie dość, że są bardzo bogato zdobione, to jeszcze imponują swoim rozmiarem – widać, że mieszka w nich kilka pokoleń.

Jak polskich żołnierzy odbierali mieszkańcy Rumunii?

Bardzo przyjaźnie. Rumunii są bardzo gościnni, niektórzy z nas tak się z nimi zżyli, że byli zapraszani do ich domów. Można powiedzieć, że traktowali nas jak członków swoich rodzin. Kiedy służyłem tu w 2017 roku, podczas I zmiany PKW, braliśmy udział w defiladzie, która odbyła się z okazji zjednoczenia Rumunii. Wówczas ludzie uśmiechali się do nas, machali nam – widać było, że cieszą się z naszej obecności.

Zauważy pan jakieś różnice między tymi dwoma misjami?

Przede wszystkim zmieniła się sama baza, w której stacjonujemy. Kiedy przyjechaliśmy tu po raz pierwszy, zostaliśmy ulokowani w szkole. Teraz mieszkamy w specjalnie dla nas przygotowanych budynkach. Pojawiły się też asfaltowe drogi. Z każdym dniem ta jednostka staje się coraz nowocześniejsza. ■



St. szer. BARTOSZ MONKIEWICZ jest kierowcą rosomaka.



KRAJOBRAZ PRZED STARTEM

Żołnierze z Jarocina zdają sobie sprawę z tego, ile może kosztować ich błąd. Od ich dokładności zależy bowiem bezpieczeństwo pilotów.

ANNA DĄBROWSKA

Jesteśmy jedyną tego typu jednostką w Polsce, to m.in. od naszych żołnierzy i ich pracy zależy to, czy wojskowe statki powietrzne będą mogły bezpiecznie startować i lądować”, mówi ppłk Jarosław Grzesznik, dowódca 16 Jarocińskiego Batalionu Remontu Lotnisk im. gen. bryg. Stanisława Taczaka. To specjalistyczny pododdział inżynieryjny sił powietrznych, którego podstawowym zadaniem jest utrzymanie nawierzchni lotnisk wojskowych w dobrym stanie.

BEZPIECZEŃSTWO LOTÓW

„Naprawiamy uszkodzenia nawierzchni lotniskowych, prowadzimy prace remontowe i konserwacyjne pasów startowych, dróg kołowania, a także płaszczyzn postoju statków powietrznych, tak aby były zawsze gotowe do użytku”, wylicza st. szer. Grzegorz Zdobyłak z 1 kompanii remontu lotnisk 16 Batalionu.

Podczas zadaniowych zgrupowań poligonowych przez sześć, siedem miesięcy w roku żołnierze z Jarocina prowadzą prace remontowe na lotniskach i w jednostkach w całym kraju. „Takie wyjazdy to dla nas nic innego jak regularne, praktyczne szkolenie, które ma jeden cel – przygotować nas na wypadek katastrof, konfliktu lub klęski żywiołowej do szybkiego odtworzenia lotniska i umożliwienia

startu oraz lądowania samolotów”, wyjaśnia dowódca. Jak dodaje, jego podkomendni w takich wypadkach wyremontują także zniszczenia na lądowiskach dla śmigłowców czy drogowych odcinkach lotniskowych.

„Nasza praca rozpoczyna się od zgłoszenia przez inne jednostki wojskowe potrzeb remontowych na najbliższe dwa lata. Podczas rekonesansu na miejscu sprawdzam, jakie dokładnie prace trzeba przeprowadzić”, tłumaczy por. Olga Bieniek, szef Zespołu Nadzoru Technicznego batalionu. Jak przyznaje, zwykle zapotrzebowania armii są dużo większe niż możliwości jednostki. „Nie jesteśmy w stanie wykonać wszystkich prac, dlatego wybieramy najważniejsze obiekty i skupiamy się przede wszystkim na tych związanych z bezpieczeństwem lotów, np. wycince drzew stanowiących przeszkody lotnicze”. Pojawienie się żołnierzy z Jarocina oznacza zwykle dla pilotów przerwę w lotach albo co najmniej utrudnienia. „Jeśli pracujemy na pasie startowym, zamykane jest całe lotnisko, natomiast kiedy remontujemy drogi kołowania, wyłączamy z użytkowania jego część”, podaje por. Bieniek.

WALKA ZE SZCZELINAMI

W Polsce nawierzchnie lotnisk wojskowych są wykonane głównie z płyt betonowych. Beton idealnie się do tego nadaje, bo jest twardy, ale cały czas ulega degradacji m.in. przez użytkowanie, warunki

POZNAJCIE
Z NAMI SPECYFIKE
SŁUŻBY ŻOŁNIERZY W RÓŻ-
NYCH JEDNOSTKACH POLSKIE-
GO WOJSKA. W CYKLU **WOJSKO
OD KULIS** PRZECZYTAJCIE O MA-
RYNARZACH, PILOTACH, LOGI-
STYKACH, ARTYLERZYSTACH,
PRZECIWOLOTNIKACH CZY
CHEMIKACH.

MICHAŁ NIWICZ





Specjaliści z Jarocina remontują uszkodzenia nawierzchni, niwelują koleiny, naprawiają ubytki infrastruktury lotniskowej.

atmosferyczne czy środki służące zimą do odladzania. „Trzeba o niego dbać i prowadzić konserwację na bieżąco, bo inaczej zniszczenia postępują”, tłumaczy pani oficer. Specjaliści z Jarocina naprawiają pęknięcia, odłamania narożników płyt, szlifują złuszczenia na ich powierzchniach, frezują nierówności. Najczęstszym zniszczeniem są jednak tzw. odpryski pomarglowe. Powoduje je obecność w betonie skały osadowej zwanej marglem. Jesienią i zimą nabiera ona wody, zamarza, a wtedy powierzchnia wokół niej pęka i powstaje dziura.

Pierwszym krokiem jest oczyszczenie zniszczonego miejsca, wycięcie luźnych lub zniszczonych fragmentów betonu. Potem następuje szlifowanie brzegów ubytku, gruntowanie go specjalnym preparatem, który powoduje, że masa naprawcza, którą zostanie wypełniony, dobrze się zwiąże z betonem. „Przypomina to pracę dentysty: trzeba znaleźć ubytek, oczyścić go i wypełnić masą”, śmieje się por. Bieniek.

Inną częstą pracą na lotniskach jest wymiana szwów dylatacyjnych, czyli zrobienie wypełnień w szczelinach łączących betonowe płyty nawierzchni. Z powodu zmiennych warunków atmosferycz-

nych i użytkowania płyty zaczynają się ruszać i zużywa się masa znajdująca się w szczelinach. Grozi to dostaniem się wody pod płyty i zniszczeniem betonu. „Najpierw usuwamy starą masę, czyścimy szczeliny i wypełniamy je nową”, wyliczają w Jarocinie. Jeśli zniszczenia są poważniejsze, remontowcy wymieniają całą płytę. Takie prace prowadzili np. w tym roku na lotnisku w 23 Bazie Lotnictwa Taktycznego w Mińsku Mazowieckim.

Specjaliści z Jarocina remontują też lotniskowe nawierzchnie asfaltowe, czyli odświeżają np. lotniskowe pasy, a także odnawiają i budują z płyt prefabrykowanych tymczasowe lądowiska dla śmigłowców. Remontują uszkodzenia nawierzchni, niwelują koleiny, naprawiają spękania i ubytki. Wycinają też i karczują drzewa w pobliżu lotnisk oraz wyrównują teren na podejściu do lądowania statków powietrznych. „Na tym nasze zadania się nie kończą. Remontujemy drogi wewnętrzne na terenie kompleksów wojskowych, wyrównujemy drogi na poligonach, układamy nawierzchnie z betonowych materiałów prefabrykowanych, m.in. parkingi, place manewrowe, prowadzimy prace rozbiórkowe”, wylicza por. Bieniek.



Por. OLGA BIENIEK: „Nie jesteśmy w stanie wykonać wszystkich prac, dlatego wybieramy najważniejsze obiekty i skupiamy się przede wszystkim na tych związanych z bezpieczeństwem lotów, np. wycince drzew stanowiących przeszkodę lotniczą”.



TRZY PYTANIA DO

Jarosław Grzesznik

Co wyróżnia batalion, którym pan dowodzi, spośród innych jednostek polskiej armii?

Jest jedyną tego typu jednostką w Wojsku Polskim. Jesteśmy nowoczesnym, wysoko wyspecjalizowanym pododdziałem inżynieryjnym sił powietrznych, podlegającym dowódcy 2 Skrzydła Taktycznego w Poznaniu. Podczas wojny lub innego konfliktu jesteśmy przygotowani do szybkiego przywracania zdolności bojowej zniszczonych w toku działań lotnisk oraz przystosowywania do potrzeb lotnictwa wojskowego odcinków dróg i autostrad. Na co dzień w ramach szkolenia remontujemy na lotniskach

pasy startowe, drogi kołowania i place manewrowe.

Kto służy w batalionie?

Żołnierze zawodowi o różnych specjalnościach, m.in. operatorzy ciężkiego sprzętu inżynieryjnego, kierowcy, inżynierowie budownictwa, logistycy i szeregowi przeszkoleni w obsłudze naszego sprzętu inżynieryjnego, lotniskowego i drogowego. To dzięki świetnemu wyszkoleniu i odpowiedniemu wyposażeniu moi żołnierze są w stanie w krótkim czasie odtworzyć uszkodzone nawierzchnie wojskowych lotnisk.

Jakich specjalistów jednostka poszukuje?

Batalion potrzebuje osób z wykształceniem i doświadczeniem w branży budowlanej oraz szeroko rozumianej inżynierii lądowej. Poszukujemy oficerów po wojskowych szkołach, np. Wydziale Inżynierii Lądowej i Geodezji Wojskowej Akademii Technicznej, podoficerów i szeregowych przeszkolonych w Centrum Szkolenia Wojsk Inżynieryjnych i Chemicznych we Wrocławiu. Zachęcamy też do wstępowania w nasze szeregi specjalistów z rynku cywilnego, m.in. operatorów koparek, spycharko-ladowarek, równiarek, walców drogowych, przecinarek do betonu i innego sprzętu inżynieryjnego. Od kandydatów oczekujemy dyspozycyjności, ponieważ nasz batalion większość swojego szkolenia prowadzi w różnych miejscach w Polsce i żołnierze dużą część roku przebywają poza domem. ■

Płk mgr inż. JAROSŁAW GRZESZNIK jest dowódcą 16 Jarocińskiego Batalionu Remontu Lotnisk im. gen. bryg. Stanisława Taczaka.

W strukturach batalionu od 2012 roku działa też Mobilny Zespół Rozminowania (MZR EOD). „Szkolimy się i przygotowujemy do rozpoznania, wykrywania i neutralizacji improvisednych urządzeń wybuchowych, czyli IED”, mówi st. kpr. Dawid Drygas. Żołnierze z tego zespołu głównie szkolą się w specjalistycznych ośrodkach, m.in. w Centrum Szkolenia Wojsk Inżynieryjnych i Chemicznych we Wrocławiu, biorąc udział w zgrupowaniach minersko-pirotechnicznych organizowanych przez Dowództwo Generalne Rodzajów Sił Zbrojnych. „W tym roku uczestniczyliśmy w szkoleniach prowadzonych przez 12 Dywizjon Trałowców ze Świnoujścia wraz z Grupą Nurków Minerów oraz Państwowy Instytut Mechaniki Precyzyjnej, ale też w międzynarodowych ćwiczeniach »Eiffel Krabben« w Niemczech, gdzie doskonaliliśmy procedury neutralizacji IED”, podaje kpr. Drygas.

PUNKTY ŚWIETLNE

„Służba w 16 Batalionie oznacza wiele czasu poza domem. Zdarzało się, że nie było mnie w sumie przez siedem miesięcy”, mówi st. szer. Zdobyłak. Żołnierze pracują na lotniskach w całej Polsce i w czasie sezonu remontowego z ponad 300 osób w terenie jest 220. „Pozostałą część roku przeznaczamy na szkolenia ogólnowojskowe, obsługę i remonty sprzętu oraz przygotowania do pracy na kolejny rok”, mówi płk Grzesznik.

Na brak pracy w Jarocinie nie narzekają. W zeszłym roku żołnierze batalionu wykonywali zadania w 14 miejscach w Polsce, m.in. w Poznaniu, Mińsku Mazowieckim, Powidzu, Warszawie, Łasku, Biedrusku, Nowym Mieście nad Pilicą, Pruszcze Gdańskim i Chojnicach. W sumie uzupełnili ponad 19 tys. m szczelin dylatacyjnych, naprawili ponad 10 tys. m pęknięć płyt betonowych i asfaltobetonowych, ułożyli 6521 m² nawierzchni betonowej, z kostki oraz płyt, oczyścili 9 ha nawierzchni lotniskowych, wycięli drzewa, krzewy i usunęli karpiny z 18,5 ha terenu. Odnowili także nieużywany pas i przygotowali infrastrukturę lotniskową na potrzeby 31 Bazy Lotnictwa Taktycznego w Krzesinach do ćwiczeń „NATO Tiger Meet”. W tym celu naprawiono m.in. ponad 16 tys. m pęknięć szczelinowych oraz szwów dylatacyjnych.

Podczas prawie 75-letniej historii batalionu jego żołnierze pracowali na wszystkich wojskowych lotniskach w Polsce, także tych już nieistniejących. „Nasza jednostka wybudowała lub odbudowała z całkowitego zniszczenia 14 lotnisk różnych klas wraz z infrastrukturą, a zmodernizowała i wyremontowała ponad 50”, wyliczają w Jarocinie. W ostatnich latach największym wyzwaniem było przywrócenie do życia lotniska w Nowym Mieście nad Pilicą. „Nie było używane przez ponad 15 lat”, informuje por. Bieniek. Trzeba było wyremontować liczącą około 5,4 ha nawierzchnię lotniska,





Patronem 16 brl jest gen. Stanisław Taczak, pierwszy dowódca powstania wielkopolskiego.



O DOKONANIACH ŻOŁNIERZY PRZYPOMINA MAPA Z PODŚWIE TLONYMI PUNKTAMI OZNACZAJĄCYMI BLISKO STO MIEJSC, W KTÓRYCH PRACOWALI SPECJALIŚCI Z JAROCINA

16 JAROCIŃSKI BATALION REMONTU LOTNISK



Pod koniec II wojny światowej podjęto decyzję o utworzeniu specjalnej jednostki inżynieryjnej, której zadaniem była odbudowa lotnisk zniszczonych podczas działań wojennych.

1 Samodzielny Inżynieryjno-Lotniskowy Batalion został formowany w Dęblinie 29 kwietnia 1945 roku. W maju 1947 roku w ramach demobilizacji sił zbrojnych etat batalionu zredukowano do kompanii. Status samodzielnego batalionu przywrócono jednostce ponownie w 1951 roku i nadano jej nazwę 16 Batalion Budowy Lotnisk. Potem jeszcze dwukrotnie zmieniał on nazwę: w 2004 roku na 16 Batalion Usuwania Zniszczeń Lotniskowych, a w 2009 roku na 16 Batalion Remontu Lotnisk. Jednostka wielokrotnie była przenoszona do różnych garnizonów. Od roku 1957 stacjonuje w Jarocinie. W 2010 roku 16 Batalion Remontu Lotnisk otrzymał imię gen. bryg. Stanisława Taczaka, pierwszego dowódcy powstania wielkopolskiego.



w tym półtorakilometrowy odcinek drogi startowej oraz drogi kołowania, wyciąć drzewa i wykarczować karpiny na obszarze około 6 tys. m². W te prace rotacyjnie było zaangażowanych 130 żołnierzy oraz 125 sztuk sprzętu z Jarocina.

Jednym z trudniejszych zadań dla 16 Batalionu była też budowa w 2016 roku na potrzeby Światowych Dni Młodzieży parkingu dla samochodów osobowych i niwelacja terenu pod budowę dwóch lądowisk dla śmigłowców Mi-17. „Sama budowa nie była trudna, ale na jej przygotowanie mieliśmy tylko cztery dni, a na prace – sześć, co wymagało szczególnej dobrej organizacji”, wyjaśnia pani porucznik. Także oni karczowali, niwelowali i wyrównywali teren oraz kładli nawierzchnię pod powstające w 2011 roku w Dęblinie Muzeum Sił Powietrznych. „Pomagamy też podczas kataklizmów i klęsk żywiołowych. W 2017 roku usuwaliśmy w parku w miejscowości Jara-

czewo zwalone drzewa i sprzątaliśmy zniszczenia spowodowane przez nawałnicę, podczas powodzi w 2010 roku umacnialiśmy wały przeciwpowodziowe m.in. w Komorze, Żernikach i Lisewie, a także delegowaliśmy ponad 50 żołnierzy do działań w Kozienicach”, informuje st. szer. Mateusz Hunold, kustosz sali tradycji w jednostce. O dokonaniach żołnierzy przypomina wisząca w tym miejscu mapa z podświetlonymi punktami, oznaczającymi blisko sto miejsc, w których pracowali specjaliści z Jarocina. Nazwy tych miejsc wypalono także na wmurowanych przed budynkiem dowództwa ceglach, po jednej na każdy rok istnienia batalionu.

MYŚLIWCE JAK ODKURZACZE

„Śmieję się z nas czasem w innych jednostkach, że w kombinezonach roboczych wyglądamy jak budowlańcy,

WYPOSAŻENIE

BATALION Z JAROCINA UŻYWA GŁÓWNIIE SPRZĘTU PRZEZNACZONEGO DO PROWADZENIA PRAC INŻYNIERYJNO-DROGOWYCH I LOTNISKOWYCH.

Niewiele różni się on od maszyn drogowych i inżynierskich wykorzystywanych na rynku cywilnym. W wyposażeniu jednostki znajdują się równiarki DZ-122A przeznaczone do prac ziemnych przy budo-

wie dróg gruntowych, równania terenu, wykonywania nasypów, rowów, remontu i utrzymania dróg oraz poboczy, a także odśnieżania. Używane są też spycharko-ladowarki SŁ-34B do skrawania i przemieszczania gruntu oraz wykonywania wykopów, spycharki wolnobieżne DZ-27S, a także miniladowarki Multione

GT-950 DT. Batalion dysponuje również nowoczesnym sprzętem transportowym, a do prac lotniskowych korzysta z takich narzędzi, jak frezarki do betonu, rys i złuszczeni powierzchniowych, z urządzeń do poszerzania szczelin oraz groszkownic pneumatycznych. Ma też maszyny do czyszczenia nawierzchni lotniskowych oraz usuwania oznaczeń malowanych na pasach startowych – hydromonitor EcoTherm 800, do mycia i oczyszczania nawierzchni betonowych – polewarko-zmywarkę MPZ-8000, do przygotowania i dozowania specjalistycznych mas uszczelniających, którymi są wypełnianie pęknięcia, fugi i szczeliny dylatacyjne – zalewarkę RWK 600/500. ■



a nie żołnierze, i po części faktycznie nimi jesteśmy”, mówi szer. Zdobyłak. Jak dodaje, to czym się zajmują, to ciężka fizyczna praca, czasem w wodzie po kolana przy niwelowaniu terenu, czasem w upale i pyłe na płycie lotniska. „Najgorzej jest latem, kiedy temperatura dochodzi do 40 stopni, nad betonową płytą lotniska jest około 60 stopni, a na cień nie możemy liczyć”. Wtedy pracują od świtu do zmierzchu, robiąc przerwę w najgorętszych godzinach.

„Nasza praca, choć na pierwszy rzut oka wydaje się niewdzięczna i mechaniczna, wymaga skupienia i uwagi, ponieważ od dokładności żołnierzy zależy bezpieczeństwo pilotów”, zaznacza ppłk Grzesznik. Jak tłumaczy, wszelkie uszkodzenia nawierzchni mogą w efekcie uszkodzić samolot. Najniebezpieczniejsze są luźne fragmenty betonu, szczególnie dla nowoczesnych samolotów odrzutowych. Najbar-

dziej wymagające pod tym względem są wielozadaniowe F-16. „Startując, taki myśliwiec działa jak odkurzacz i zasysa do silników wszystko, co znajdzie się przed nim”.

Żołnierze z Jarocina zdają sobie sprawę z tego, ile może kosztować ich błąd. Nawet najmniejszy kamyk czy wykruszony fragment betonu zassany przez silnik może spowodować uszkodzenie maszyny wartę kilkadziesiąt milionów złotych. „To praca nie tylko odpowiedzialna, ale też dająca wiele satysfakcji. Piloci wiedzą, że aby mogli latać, najpierw my musimy przygotować im lotnisko. Lubię też widzieć różnicę między zniszczonym terenem, jaki zastaliśmy, a odnowioną przez nas nawierzchnią”, mówi szer. Zdobyłak. I dodaje: „Służę w 16 Jarocińskim Batalionie Remontu Lotnisk od 12 lat i nie zamieniłbym tego na żadną inną wojskową specjalność”. ■

MILITARIA

/ PRZEKRÓJ

GENETYCZNE POLE BITWY

Zwolennicy teorii spiskowych używają pojęcia „broń genetyczna” bardzo często. Tymczasem w najbliższej przyszłości faktycznie możemy mieć z nią do czynienia.

ROBERT SENDEK

Podstawą spekulacji na temat broni genetycznej są obserwacje dotyczące gwałtownego w ostatnich latach rozwoju inżynierii genetycznej oraz coraz szerszego zastosowania tego rodzaju badań w medycynie.

N

a odbywającym się 30 października 2017 roku posiedzeniu prezydenckiej Rady ds. Rozwoju Społeczeństwa Obywatelskiego i Praw Człowieka Władimir

Putin, prezydent Federacji Rosyjskiej, zwrócił się do jednego z referujących: „Wie pan, że w całym kraju pobierany jest materiał biologiczny? Pobiera się go od przedstawicieli różnych etnosów, od ludzi z rozmaitych punktów Federacji Rosyjskiej. Powstaje pytanie: po co? Robi się to celowo i w sposób profesjonalny. Staliśmy się obiektem ogromnego zainteresowania”.

Wypowiedź ta odbiła się szerokim echem w mediach. Przypominano próby wywiezienia z Rosji materiału biologicznego. W związku z wypowiedzią Putina niemal natychmiast pojawił się wątek tajemniczej „broni genetycznej”, która miałaby być celem i uzasadnieniem dla takiego działania. Kanał RT (dawniej Russia Today), uważany za tubę propagandową Kremla, donosił, że w lipcu 2017 roku Departament Sił Powietrznych USA ogłosił przetarg na dostarczenie od osób rasy białej narodowości rosyjskiej kilku próbek tkanek, które miały służyć wyizolowaniu z nich danych genetycznych. Cytowany przez RT ekspert Igor Nikulin, w przeszłości doradca sekretarza generalnego Organizacji Narodów Zjednoczonych ds. broni biologicznej, skomentował to tak: „Opracowywane są nowe rodzaje broni biologicznej. Najpewniej mowa o wirusach bojowych. USA próbują opracować różne typy broni biologicznej przeciwko ludziom o konkretnej puli genowej. Szuka się przedstawicieli rasy białej, bo oni stanowią większość ludności naszego kraju”.

LECZENIE GENAMI

Prowadzone przez wojskowe laboratoria badania dotyczące genetyki są tajne. Do opinii publicznej docierają tylko fragmenty informacji na ten temat. Obserwatorzy zewnętrzni próbują zrekonstruować to, co może dziać się za zamkniętymi drzwiami laboratoriów i proponują własne wizje – być może bardzo odległe od prawdy. Dysponują przy tym niepewnymi danymi, pochodzącymi m.in. z upublicznionych raportów wojskowych, przecieków, mate-



riałów naukowych publikowanych przy okazji prowadzonych badań czy wywiadów z byłymi pracownikami instytucji wojskowych. Informacje na ten temat w wielu wypadkach wchodzą w sferę teorii spiskowych.

Podstawą spekulacji na temat broni genetycznej są obserwacje dotyczące gwałtownego w ostatnich latach rozwoju inżynierii genetycznej oraz coraz szerszego zastosowania tego rodzaju badań w medycynie. Duże nadzieje wiąże się np. z terapią genową. Prace eksperymentalne w tej dziedzinie prowadzono w Stanach Zjednoczonych od początku lat osiemdziesiątych ubiegłego stulecia, a dziesięć lat później odnotowano pierwsze sukcesy w leczeniu rzadkich chorób genetycznych. Obecnie prace te są już na tyle zaawansowane, że w 2017 roku w USA uznano terapię genową za nowy sposób leczenia nowotworów (ostrej białaczki limfoblastycznej). W skrócie rzecz ujmując: terapia genowa polega na pobraniu od chorego komórek odpornościowych, poddaniu ich genetycznej modyfikacji, a następnie ponownym podaniu ich pacjentowi. Ten proces – oparty na wprowadzeniu do komórki obcego genu, który niejako wymusza aktywowanie się białek odpowiedzialnych za rozpoznawanie i zabijanie w organizmie komórek rakowych – musi przebiegać indywidualnie w przypadku każdego chorego.

Prawnie zakazane jest prowadzenie badań nad bronią biologiczną, produkowanie jej oraz składowanie – stanowi o tym międzynarodowa konwencja z 1972 roku.

CZY JEST MOŻLIWE OPRACOWANIE SPERSO- NALIZOWANEJ BRONI, DOPASOWANEJ DO PRO- FILU GENETYCZNEGO KONKRETNEJ OSOBY?

Analogiczny sposób działania mogą – zdaniem niektórych publicystów – wykorzystywać wojskowe laboratoria, rzekomo pracujące nad indywidualną bronią genetyczną. Skoro bowiem jest możliwe utworzenie spersonalizowanej terapii, zabijającej szkodliwe komórki w organizmie konkretnego człowieka, to równie prawdopodobne będzie opracowanie spersonalizowanej broni, dopasowanej do profilu genetycznego konkretnej osoby. Rozważania na ten temat snuł w 2012 roku na łamach amerykańskiego miesięcznika „The Atlantic” mikrobiolog i genetyk Andrew Hessel.

GENEM W BIN LADENA

Naukowiec przedstawił scenariusz potencjalnego zamachu, który można by przeprowadzić, dysponując tego rodzaju bronią. Nieświadomym zamachowcem byłaby studentka Uniwersytetu Harvarda (Hessel nadaje jej imię Samantha).

Przed studencką imprezą młoda kobieta bierze dla rozluźnienia psychodelik. Tymczasem w pigułce, która została jej podrzucona, znajduje się spreparowany wirus, który wywołuje u niej nieszkodliwą infekcję z objawami typowej grypy. Samantha rozsiewa wirusy w całym kampusie, ale u wszystkich zarażonych objawy są niegroźne: katar i podwyższona temperatura. Prezydent Stanów Zjednoczonych przyjeżdża na uniwersytet, żeby wygłosić odczyt. Wirus dostaje się do organizmu głowy państwa. Trafia na specyficzną sekwencję w DNA, która działa niczym swoisty klucz, pozwalający odblokować dodatkowe, śmiertelne działanie patogenu. Prezydent zapada na szybko postępującą chorobę, która ostatecznie prowadzi do jego śmierci. Hessel oczywiście zaznacza, że jest to fantastyczny scenariusz, ale postęp w naukach biologicznych jest bardzo szybki, zatem takiej sytuacji nie można wykluczyć w najbliższej przyszłości.



Podobny pomysł przedstawili w 2005 roku dziennikarze rosyjskiej gazety „Komsomolskaja Prawda” Aleksandr Koc i Wiktor Baraniec. W jednym z artykułów napisali, że dysponują informacjami o tym, jakoby Amerykanie mieli rozsiewać w afgańskich górach wirus „wycelowany” w DNA bin Ladena. W jakim stopniu te informacje są prawdziwe – trudno ocenić. Źródła anglojęzyczne ich nie potwierdzają. Skądinąd wiadomo jednak, że Osama nie zmarł od wirusa.

ETNOBOMBA

Spekulacje o potencjalnym istnieniu broni genetycznej dotyczą również jej wariantu poszerzonego, w którym obiektem ataku stałaby się nie jednostka, lecz grupa ludzi o wspólnej charakterystyce genetycznej. Rozpatrywano w tym kontekście osoby należące do wspólnoty typu naród lub etnos, stąd też określenie „broń etniczna”, „bomba etniczna” lub „etnombomba”. Aby jednak taka broń mogła w ogóle powstać, konieczne byłoby opracowanie profilu genetycznego tej właśnie grupy ludzi oraz odnalezienie wspólnych dla niej sekwencji genowych. Nie jest to łatwe i jeszcze niedawno genetycy podawali w wątpliwość możliwość powstania tego rodzaju broni. Współczesne narody są wspólnotami bardzo zróżnicowanymi genetycznie, ukształtowały się bowiem w długim procesie mieszania się najróżniejszych populacji ludzi o odmiennym pochodzeniu i bardzo zróżnicowanej charakterystyce genetycznej. W ostatnich latach dokonał się jednak gigantyczny postęp w badaniach genetycznych, publikowane są coraz dokładniejsze informacje na temat ludzkiego genomu, a to z kolei może przełożyć się na identyfikowanie minimalnych nawet różnic genetycznych między różnymi wspólnotami, w tym także między narodami. Dzięki temu będzie możliwe wychwycenie niewielkich, ale charakterystycznych różnic genetycznych między populacjami, to zaś może ułatwić potencjalne powstanie w przyszłości tak rozumianej broni genetycznej/etnicznej.

STREFA CIENIA

Główny problem z tzw. bronią genetyczną polega na tym, że jest ona specyficzną odmianą broni biologicznej. Jej nośnikami mają być bowiem patogeny (wirusy lub bakterie) atakujące osoby o określonym profilu genetycznym. Nie ma przy tym znaczenia, czy chodzi o atak na konkretną osobę, czy też jakąś wspólnotę etniczną. Zgodnie z prawem międzynarodowym broń biologiczną uznaje się za broń masowego rażenia. Prawnie zakazane jest prowadzenie badań nad bronią tego typu, produkowanie jej oraz składowanie – stanowi o tym międzynarodowa konwencja z 1972 roku. Rozważania nad potencjałem broni genetycznej każą się jednak zastanowić, czy prace nad nią nie są prowadzone w murach tajnych laboratoriów. Analitycy podkreślają, że broń tego typu nie musi działać na wszystkich przedstawicieli danego etnosu. Już przy skuteczności wynoszącej np. 10% zagrożenie dla danej wspólnoty ludzkiej może być straszliwe w skutkach i działać bardzo odstraszaюще. To z kolei może stanowić poważny impuls do potajemnych badań nad tego rodzaju bronią wbrew międzynarodowym zakazom. ■

DNA prawdę ci powie

*Z Łukaszem
Kamińskim o możliwych
zastosowaniach inżynierii genetycznej
w wojsku, profilowaniu genetycznym
oraz pograniczu fantastyki i nauki
rozmawia Robert Sendek.*

Fantastyką zajmuje się pan zawodowo czy dla przyjemności?

Szczerze powiedziawszy, kiedyś nie cierpiałem fantastyki. Potem zainteresowałem się nią zawodowo. Pojawiała się konieczność zgłębienia pewnych problemów i dzisiaj już trudno to rozdzielić.

W książce „Nowy wspaniały żołnierz” podejmuje pan tematy, które jeszcze do niedawna wydawały się czystą fantastyką. Po lekturze mam wrażenie, że na naszych oczach staje się ona rzeczywistością...

Fantastyka naukowa staje się fantastyczną nauką. Agencja, która jest głównym bohaterem mojej książki, DARPA [Defense Advanced Research Projects Agency – Agencja Zaawansowanych Projektów Badawczych w Obszarze Obronności], miała na początku tego wieku taki okres zachłyśnięcia się fantastyką. Organizowano nawet specjalne seminaria, na których pisarze SF mieli przedstawiać swoją wizję wojny, powiedzmy, w latach 2040–2050. DARPA często jest określana jako departament szalonych naukowców. Jej celem nie jest uprawianie praktycznej nauki, a programy często nie kończą się żadnym konkretnym rozwiązaniem.

DARPA prowadzi badania związane z genetyką. Jaką rolę odgrywa w wojsku amerykańskim inżynieria genetyczna?



MICHAŁ ZIELIŃSKI

Bardzo skromną. Okazało się, że większość programów z pierwszej dekady XXI wieku była prowadzona nieco na wyrost. Nadzieje z nimi związane się nie spełniły. Być może niektóre projekty nadal są prowadzone, ale mało o nich wiemy. Wiele też pozostaje tajnych. Coś jednak wiadomo: w 1992 roku Departament Obrony wprowadził obowiązkowy program zbierania próbek DNA swoich żołnierzy w celu identyfikacji, taki rodzaj genetycznych nieśmiertelników. I to jest realizowane. Z kolei w roku 2010 ukazał się, zamówiony przez Departament Obrony USA, raport dotyczący możliwości wojskowego zastosowania genetyki i inżynierii genetycznej. W tym dokumencie – opracowanym przez grupę najwybitniejszych amerykańskich naukowców, pracującą od 1960 roku jako panel doradczy Pentagonu, a znaną jako Jason – padło stwierdzenie, że jesteśmy u progu kolejnego etapu rewolucji genetycznej. Wskazano też, że Departament Obrony powinien stać się liderem badań naukowo-technicznych w sferze genetyki. Część sugestii Jasona okazała się dosyć kontrowersyjna. Było tam np. zalecenie, żeby Departament Obrony gromadził nie tylko próbki DNA, lecz także w pełni zsekwencjonowany genom całego personelu wojskowego, od

sekretarki po pilota. Warto przy tym zaznaczyć, że czym innym jest zbieranie próbek DNA w celu identyfikacji szczątków, a czym innym tworzenie biobanku danych w pełni zsekwencjonowanego genomu, czyli całego profilu genetycznego człowieka, z którego można wyczytać wszystko. To pierwsze stanowi praktykę wywodzącą się z kryminalistyki i jest dla amerykańskich żołnierzy obowiązkowe w ramach rejestru DNA funkcjonującego obecnie jako repozytorium próbek sił zbrojnych USA. Z kolei sekwencjonowanie genomu jest czymś zupełnie innym, kryje tajemnice każdej osoby – od jej wyglądu po ryzyko zachorowania na pewne choroby, od jej skłonności po profil behawioralny.

Czemu to miało służyć? Rozumiem, że nieśmiertelniki genetyczne są potrzebne, ale po co tworzyć mapy genetyczne pracowników wojska?

Chodziło o stworzenie banku danych biologicznych. Armia to potencjalnie największy, najłatwiej dostępny, najtańszy i najłatwiejszy do kontrolowania biobank, do jakiego państwo może mieć dostęp. Żołnierz ma obowiązek postępować zgodnie z pewnymi procedurami, nie może odmówić np. oddania próbki DNA. Powstałaby zatem baza



danych zawierająca miliony genomów, i – to kolejna sugestia Jasona – na jej podstawie należałoby prowadzić badania bioinformatyczne w celu powiązania z konkretnymi genami pewnych cech zewnętrznych, takich jak zachowanie, zdolności, umiejętności, słabości, choroby. Chodzi o to, żeby znaleźć genetyczny odpowiednik cech pożądanых bądź niepożądanych z wojskowej perspektywy.

Czyli pozyskać materiał do badań nad profilem genetycznym żołnierzy?

Tak. To temat, który budzi chyba najwięcej kontrowersji, bo dotyczy kwestii wolności, prawa do prywatności czy ryzyka dyskryminacji. W sferze cywilnej coś takiego by nie przeszło. Wyobraźmy sobie, że rząd zbiera próbki i sekwencjonuje genom każdego obywatela. Najbardziej zainteresowane dostępem do takich danych byłyby firmy ubezpieczeniowe czy pracodawcy. W Stanach Zjednoczonych od 2008 roku obowiązuje ustawa, która zabrania dyskryminacyjnego wykorzystywania informacji genetycznej. Nie obejmuje zaś personelu wojskowego, dlatego też m.in. siły zbrojne mogłyby sobie na to pozwolić.

Załóżmy zatem, że mamy bazę profili genetycznych amerykańskich żołnierzy. Do czego można wykorzystywać te informacje?

Do profilowania genetycznego. Jest ono próbą odczytania z naszej genetycznej charakterystyki potencjalnie możliwych cech zarówno psychofizycznych, jak i behawioralnych, czyli związanych z zachowaniem. Trzeba sobie przy tym uświadomić, że mówimy tylko o możliwościach. To, że posiadamy gen – lub jego mutację – który zwiększa o 25% prawdopodobieństwo zachorowania na jakąś chorobę, wcale nie oznacza, że na nią zachorujemy. Profilowanie ma zatem duży margines prawdopodobieństwa, rzadko można mówić o całkowitej pewności.

Profilowanie genetyczne może służyć do identyfikowania osób o konkretnych cechach, np. narażonych na pewne choroby.

Jest bardzo wąska grupa chorób jednogenetycznych, w których mutacja jednego genu automatycznie wskazuje na daną chorobę, np. anemia sierpowata. Można ją wykryć za pomocą profilowania genetycznego, ale sama choroba nie wyklucza ze służby wojskowej. Trzeba pamiętać, że armia, jako pracodawca, ma prawo zatrudniać możliwie najlepszych kandydatów. Jeśli jakaś osoba ze względu na negatywne cechy może zagrażać sobie, innym i wykonaniu misji, to trudno tu powoływać się na prawo do wolności, prywatności czy równości. Wydaje mi się, że pod tym względem inżynieria genetyczna nie

DARPA REALIZUJE BARDZO WIELE PROJEKTÓW ZWIĄZANYCH Z BIOLOGIĄ MOLEKULARNĄ. POJAWIA SIĘ PYTANIE: W JAKIM CELU, JEŚLI NIE DLA ZNALEZIENIA PRAKTYCZNYCH ZASTOSOWAŃ W WOJSKU?

powinna wzbudzać kontrowersji. Daje bowiem informację, która może armii pomóc w rekrutowaniu pewnych ludzi. Lub też – i na to bym kładł większy nacisk – pozwoli lepiej przyporządkować ich do odpowiedniej formacji czy zadań. Wiadomo, że reakcje człowieka, w zależności od profilu genetycznego, m.in. na działanie określonych substancji chemicznych, są bardzo indywidualne. Ludzie różnie reagują też na przyjmowane leki czy alkohol. Dlatego osoby o pewnym profilu można byłoby wysłać w obszary podwyższonego ryzyka, np. działaniem broni chemicznej, ponieważ reakcja ich organizmu dawałaby im większe szanse na przeżycie. Szukajmy zatem cech idealnego żołnierza.

Czyli gen wojownika nie istnieje?

Absolutnie nie. Nie ma czegoś takiego jak gen bojowy. Sama koncepcja genu jest silnie związana z mitem. Naukowcy, genetycy rzadko posługują się tym terminem, bo tak naprawdę nie ma zgody co do tego, czym jest gen. Mówi się raczej o DNA, RNA, mRNA, podwójnej helisie, chromosomach, o nukleotydach. Gen jest czymś, co powstało raczej na użytek popularyzacji nauki. Jest wygodnym i bardzo pojemnym obrazem. Tym metaforycznym charakterem należy tłumaczyć

WIZYTÓWKA

PROF. ŁUKASZ KAMIEŃSKI

Jest wykładowcą Instytutu Amerykanistyki i Studiów Polonijnych Uniwersytetu Jagiellońskiego, autorem książki „Nowy wspaniały żołnierz. Rewolucja biotechnologiczna i wojna w XXI wieku”.

mówienie o genach idealnego żołnierza, podczas gdy wiadomo, że takiego genu nie ma. Nie ma takiego, który odpowiada za bohaterstwo, wytrzymałość, odporność na stres czy opanowanie emocjonalne. Składa się na to raczej kombinacja licznych genów, ich interakcji oraz innych pozagenetycznych uwarunkowań.

Raport Jasona opublikowano w 2010 roku. Jak przekłada się on na obecne konkretne działania amerykańskiego Departamentu Obrony?

Trudno orzec. Jeśli te zalecenia są lub były realizowane, to pozostają niejawne. Nie wiemy, czy rekomendacje Jasona zostały wzięte pod uwagę. Jeśli zaczniemy spekulować, pojawi się pole dla teorii spiskowych, czego wolałbym unikać. Według mnie amerykańska armia oficjalnie nie stosuje profilowania genetycznego z wyjątkiem rutynowych testów na typowo genetyczne choroby krwi, takie jak anemia sierpowata czy fawizm.

W jednym z rozdziałów pana książki znalazły się słowa: „genetyka będzie odgrywać coraz większą rolę podczas rekrutacji i szkolenia, aktywnej służby oraz rehabilitacji rannych żołnierzy”. Napisał to pan pięć lat temu. Czy od tego czasu widać postęp w zastosowaniach genetyki w wojsku?

Myślę, że moje przewidywania były trochę na wyrost. Poruszałem się w ogólnym klimacie fascynacji nowymi technologiami, o których wówczas dyskutowano w świecie naukowym, o których pisano w różnych raportach. Potem się okazało, że im bardziej naukowcy poznają genetyczne podłoże ludzkich zachowań, tym odkrywają coraz większy poziom złożoności.

Czy to oznacza, że technologie genetyczne wciąż pozostają sprawą przyszłości?

W praktycznym zastosowaniu na razie tak. Z kolei DARPA realizuje bardzo wiele projektów mocno związanych z biologią molekularną. Pojawia się pytanie: w jakim celu, jeśli nie dla znalezienia praktycznych zastosowań w wojsku? W pierwszej dekadzie XXI wieku projekty agencji były nastawione na wzmacnianie człowieka, znajdowanie możliwości genetycznej modyfikacji, żeby wyselekcjonować superżołnierza albo go potem przeprogramować. Obecne projekty idą natomiast w stronę programów obronnych, poszukiwania takich mechanizmów, które umożliwiłyby ochronę oddziałów przed złośliwymi, wrogimi technologiami wykorzystującymi genetykę. Chodzi o tworzenie narzędzi, które umożliwią np. chwilowe pobudzenie układu odpornościowego żołnierza przez wpływanie na geny, ale bez dokonywania ich modyfikacji, lub zabezpieczenie ich przed obcymi interwencjami genetycznymi, choćby działaniem inteligentnej broni biologicznej, czyli powstałej w wyniku genetycznej modyfikacji wirusów.

Jak wyglądają kwestie etyczne w wojskowych badaniach nad genetyką?

Genetyka daje ogromne możliwości, istnieje jednak potrzeba zaangażowania ekspertów, których opinia będzie działać hamująco na pewne eksperymenty i wdrażanie ich rezultatów.

DARPA już teraz w każdym z tego rodzaju projektów zatrudnia bioetyków. W raporcie Jasona jako jedną z kluczowych rekomendacji wskazano konieczność wprowadzenia procedur i zasad uwzględniających kwestie etyczne. Dlatego jeśli projekt zakłada daleko idące eksperymenty na człowieku albo nieprzewidziane efekty uboczne, to zwykle nie uzyskuje akceptacji. Z drugiej strony, w sferach wojskowych coraz częściej pojawiają się głosy, że albo będziemy wierni naszym kodeksom etycznym, ale zaczniemy przegrywać wyścig zbrojeń, albo poluzujemy zasady. Stawka jest ogromna.

Musimy być krok do przodu bez względu na konsekwencje?

To jest taka strategiczna pułapka etyczna. Moja teza jest taka, że Zachód, a konkretnie Stany Zjednoczone będą zmuszone złagodzić standardy etyczne w obliczu wyścigu zbrojeń, zwłaszcza z Chinami. Ten wyścig zbrojeń nabiera tempa i dotyczy nie tylko robotyzacji, sztucznej inteligencji i kosmosu, lecz także biotechnologii, w tym genetyki, a w ostatnim czasie coraz wyraźniej i neurobiologii.

W sieci można spotkać doniesienia o ofensywnej broni genetycznej, którą nazwano genetyczną bombą. Ma ona działać na konkretną grupę ludzi. Czy skonstruowanie takiej broni jest w ogóle możliwe?

To delikatny temat, poruszamy się bowiem po śliskim gruncie, na granicy teorii spiskowych, przypuszczeń i spekulacji. O tzw. genetycznej bombie albo etnobombie już 20 lat temu pisał bioetyk Jonathan D. Moreno w książce „Undue Risk”. Szczegółowo relacjonował on dyskusję z końca lat dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku. Otóż w prasie brytyjskiej, ale nie tylko, pojawiły się doniesienia, że Izrael intensywnie pracuje właśnie nad etnobombą. Chodziło o genetycznie zmodyfikowane patogeny bądź inny materiał biologiczny, który będzie atakować ludność o odpowiednim genotypie, czytaj: Arabów. Mówimy tutaj o takiej broni biologicznej, np. wirusie, który będzie zmodyfikowany do tego stopnia, aby atakować tylko osoby o odpowiednim profilu genetycznym, posiadające dany gen lub jego mutację. Gdyby Izrael – który te rewelacje zdemontował – osiągnął taki potencjał, byłoby to nie lada osiągnięcie, ponieważ genotyp Żydów i Arabów jest bardzo podobny ze względu na wspólne semickie korzenie. W kontekście Izraela ten wątek był szczególnie drażliwy, bowiem przywołał na myśl konotacje związane z eugeniką. Całej tej historii nie traktowałbym wyłącznie w kategoriach teorii spiskowych. Opinie ekspertów genetyków są tu jednoznaczne: teoretycznie skonstruowanie takiej broni jest możliwe i wyobrażalne. Amerykański miesięcznik „The Atlantic” opublikował w 2012 roku artykuł, w którym przywoływał opinie naukowców twierdzących, że coś takiego potencjalnie da się zrobić. Zagrożenie epidemiologiczne w erze syntetycznej biologii molekularnej nabiera nowego wymiaru. Patogeny można genetycznie modyfikować, czyniąc je bardziej śmiertelnościami, bardziej lekoodpornymi. Można zsintetyzować nowe wirusy i bakterie. W tym sensie pojęcie bomby genetycznej nabiera nowego, złowieszczonego znaczenia. ■

PANCERNY DESANT

KRZYSZTOF
WILEWSKI

Po ponad dwóch dekadach od wycofania w 1996 roku ze służby ostatniego czołgu desantowego, M551 Sheridan, US Army znów chce mieć w linii konstrukcję o podobnych właściwościach.

Miał to być spektakularny pokaz uderzeniowej siły radzieckiej armii i zdecydowanie był. Podczas kijowskich manewrów, które odbyły się latem 1935 roku, na oczach wojskowych delegacji z Francji, Wielkiej Brytanii, Niemiec, Włoch, Stanów Zjednoczonych i Japonii, czyli wszystkich liczących się wówczas militarnych potęg na świecie, sowieckie siły zbrojne zaprezentowały możliwości powietrznego desantu. Najpierw z 50 samolotów transportowych TB-1 i TB-3 zrzucono ponad 1200 spadochroniarzy, któ-

rzy po wylądowaniu błyskawicznie opanowali lotnisko i kluczowe obiekty w jego pobliżu. Potem na zdobytym lądowisku wylądowały TB-3 z podwieszonym pod kadłubami sprzętem – nie tylko armatami, czyli samochodami pancernymi, ale również czołgami T-37. Operacja ich rozładowania trwała kilkanaście minut, po czym wsparły one żołnierzy desantu w obronie zdobytych rubieży.

Choć obrazki z kijowskiego desantu rozeszły się po świecie lotem błyskawicy, to z perspektywy czasu wydaje się, że najbardziej zdecydowanie zareago-

CZOŁG MIAŁ BYĆ DESANTOWANY NA SPECJALNYCH RAMPACH WYPYCHANYCH Z TRANSPORTOWCA

wali na nie Niemcy, którzy zintensyfikowali rozwój własnych jednostek powietrzno-desantowych. Jednak bez nacisku na ich „pancerne” wsparcie. Sytuację zmienił wybuch II wojny światowej i skuteczność niemieckich zagonów. Dla zachodnich sztabowców stało się wówczas jasne, że powietrzny desant pozbawiony pomocy tanków skazany będzie na porażkę. To wówczas zarówno USA, jak i Brytyjczycy przyspieszyli prace nad czołgami, które można byłoby przerzucać na teatr działań na pokładzie szybowców desantowych. Dlaczego tak? Ponieważ ówczesna technologia uniemożliwiała bezpieczny zrzut maszyn powyżej 7 t, a tyle ważyły wówczas lekkie czołgi.

KTO PIERWSZY?

Czołg desantowy jako pierwsza wprowadziła do służby armia brytyjska. Było to jednak bardziej dzieło przypadku niż celowe zamierzenie. Otóż kiedy w 1938 roku uruchomiła ona produkcję czołgu Tetrarch Mk VII, niewielkiego, bo ważącego zaledwie 7,5 t tanka z 14-milimetrowym pancerzem przednim i 40-milimetrową armatą, miał on docelowo trafić do jednostek zmechanizowanych i zwiadu. Jednak w wyniku doświadczeń z frontów Polski i Francji porzucono tę ideę. Tetrarchy skierowano więc do szkolenia. Potem jednak wyprodukowane 177 sztuk zdecydowano się spożytkować inaczej. Ponieważ idealnie mieściły się do opracowanego (w 1942 roku) szybowca transportowego General Aircraft G.A.L. 49 Hamilcar, przemianowano je na „powietrzno-desantowe” i postanowiono wykorzystać podczas desantu w Normandii.

Symptomatyczne jest, że mniej więcej w tym samym czasie, czyli na przełomie lat 1940 i 1941, swoje prace nad czołgiem „desantowym” zintensyfikowali Amerykanie. W maju 1941 roku zlecieli oni przemysłowi opracowanie, a rok później produkcję seryjną maszyny oznaczonej jako T9E1 Light Tank. Trzyosobowy czołg ważył 7,4 t, był uzbrojony w 37-milimetrowe działo oraz karabin kalibru 7,62 mm, a rozpędzał się w terenie do 50 km/h. Do lutego 1944 roku (kiedy to zmieniono jego nazwę na M22 Light Tank) wyprodukowano 830 sztuk. Co najciekawsze, US Army nigdy nie użyła M22 bojowo. Zrobiła to armia brytyjska, która w 1944 roku otrzymała ponad 260 egzem-

plarzy M22 w ramach programu Lend-Lease. Już jako M22 Locust walczyły one m.in. w ramach operacji „Varsity” (forsowanie Renu) w marcu 1945 roku.

Ponieważ działania wojenne wykazały, że używanie szybowców do transportu czołgów jest, delikatnie rzecz ujmując, mocno kłopotliwe i zdecydowanie nieefektywne pod względem operacyjnym (ze względu na duże straty), zarówno Brytyjczycy, jak i Amerykanie dość szybko pozbyli się ich ze służby. Wielka Brytania uczyniła to w 1950 roku (z tetrarchami VII), Amerykanie zrobili to jeszcze szybciej, bo w 1947 roku, gdy większą część swoich maszyn M22 przekazali armii egipskiej.

Temat czołgów „desantowych” wrócił do wojsk amerykańskich na początku lat sześćdziesiątych, kiedy to rozwój technologii sprawił, że możliwy stał się zrzut spadochronowy maszyn ważących po dwadzieścia kilka ton – co naszym sojusznikom zza oceanu udowodnili Rosjanie. A ponieważ amerykańska armia nie chciała w niczym ustępować, w kontekście operacyjnym, radzieckim siłom zbrojnym, to zapadły decyzje o stworzeniu lekkiego czołgu M551 Sheridan. Dla jasności, nie miał on być zrzucony na spadochronie, a desantowany na specjalnych rampach wypychanych z transportowca na niewielkiej wysokości nad ziemią. Aby oszczędzić na wadze, zdecydowano, że ważący nieco ponad 15 t czołg zostanie uzbrojony w armato-wyrzutnię M81, która mogła strzelać zarówno klasyczną 152-milimetrową amunicją, jak i pociskami przeciwpancernymi MGM-51 Shillelagh. Wóz został wprowadzony do służby w 1967 roku i bojowy chrzest przeszedł w Wietnamie. I trzeba powiedzieć to wprost: maszyna ten test oblała. Zawodny był zarówno system ogniowy, jak i napęd, źle znoszący wilgotny i ciepły klimat Azji. Ponieważ w międzyczasie wyprodukowano już 1700 czołgów M-551 Sheridan, po Wietnamie nie wycofano ich ze służby, a zmodernizowano, starając się usunąć wykryte błędy konstrukcyjne. Zrobiono to na tyle skutecznie, że maszyny te zaliczyły jeszcze staż bojowy (w 82 Dywizji Powietrzno-Desantowej) w 1989 roku w Panamie i w 1991 roku podczas operacji „Pustynna burza”. Jednak wojna w Iraku była ich pożegnaniem i w 1996 roku ostatecznie wycofano je z US Army.

KTO LEPSZY?

Ponad dwie dekady później, gdy siłą pancernych zagonów amerykańskiej armii są ważące ponad 60 t Abramsy, tamtejsza armia znów chce mieć do dyspozycji czołgi, które będzie mogła nazywać desantowymi. W 1967 roku zamiast zrztu spadochronowego (wzorem Rosjan) postawiła na platformy wyrzucane z herculesów, teraz też chce być oryginalna. I za zdolność do działań desantowych uważa jedynie możliwość transportu dwóch czołgów samolotem C-17. Zlecenie opracowania nowej maszyny otrzymały dwie firmy – General Dynamics Land Systems oraz BAE Systems. Do lutego 2020 roku mają one dostarczyć do badań prototypową partię 12 czołgów, które nie mogą ważyć więcej niż 30 t i muszą mieć działo o kalibrze od 105 do 120 mm. Zwycięzca przetargu otrzyma zlecenie na wyprodukowanie około 500 sztuk Mobile Protected Firepower. Co istotne, mają one wejść do służby dość szybko, bo już na przełomie 2024 i 2025 roku. ■

SIŁA MORSKICH SEPAHÓW



Iran dysponuje dziś czwartym na świecie pod względem wielkości arsenałem min morskich, w większości tanich i prostych w użyciu.

TOMASZ OTŁOWSKI

W połowie 2002 roku Amerykanie wraz ze swymi arabskimi sojusznikami z rejonu Zatoki Perskiej przeprowadzili zakrojone na dużą skalę manewry wojskowe o kryptonimie „Millenium Challenge” (MC02). Oprócz podejmowanych w kilku miejscach rzeczywistych działań dużych grup wojsk, ważną częścią ćwiczeń było zastosowanie (po raz pierwszy na taką skalę) zaawansowanych komputerowych technik modelowania wirtualnych wydarzeń, które miały współgrać ze scenariuszami realizowanymi w realu. Komentatorzy i publicyści byli pewni, że chodzi o przećwiczenie ataku na reżim Saddama Husajna w Iraku. Bliższa analiza scenariusza MC02 wskazuje jednak, że celem „dobrych” miał być Teheran. Manewry, zwłaszcza ich część wirtualna, od początku nie szły po myśli planistów z Pentagonu i Rijadu – już po kilkudziesięciu godzinach operacji siły sprzymierzonych (Niebiescy) poniosły na wodach Zatoki Perskiej klęskę na miarę nowego Pearl Harbor: przeciwnik zdołał zatopić lotniskowiec US Navy oraz kilkanaście okrętów z jego grupy uderzeniowej i sił sojuszniczych; całkowicie zastopował też ruch w cieśninie Ormuz. A wszystko to dzięki zastosowaniu niekonwencjonalnych i asymetrycznych sposobów oraz środków prowadzenia działań zbrojnych, wśród których

prym wiodły operacje z użyciem setek małych, szybkich łodzi motorowych wyposażonych w wyrzutnie rakiet i torped, a w ostateczności działających też jak morsecy kamikadze.

W CIENIU PRZYSZŁYCH WOJEN

Gwałtowne zaostrzenie sytuacji i związany z tym wzrost napięcia między Stanami Zjednoczonymi a Islamską Republiką Iranu (IRI) są zjawiskami cyklicznymi, charakterystycznymi dla regionu Zatoki Perskiej od chwili wybuchu rewolucji irańskiej w 1979 roku. Za każdym razem, gdy sytuacja staje się wyjątkowo napięta i pojawiają się pogłoski o możliwym konflikcie zbrojnym między oboma krajami, w mediach na wszystkie możliwe sposoby omawia się i analizuje ich potencjał militarny. Wnioski są oczywiście takie, iż zacofany militarnie Iran nie ma najmniejszych szans w otwartym starciu zbrojnym z globalnym supermocarstwem. Czy jednak na pewno? Samo statystyczne porównanie zdolności wojskowych i arsenałów państw tak różnych pod każdym względem może być mylące, tym bardziej że Irańczycy nawet nie silą się na doścignięcie militarnych potęg świata. Od samego początku swego istnienia Iran buduje własny potencjał obronny głównie na bazie tzw. asymetrycznych zdolności i środków działania. Doświadczenia

Trudno wskazać dzisiaj inne państwo, które tak jak Iran intensywnie buduje potencjał niekonwencjonalnych metod prowadzenia działań na wypadek spodziewanego regularnego konfliktu zbrojnego z potężnym przeciwnikiem.



SZYBKA IRAŃSKA ŁÓDŹ PATROLOWA WYPOSAŻONA W WYRZUTNIE NIEKIEROWANYCH POCISKÓW KALIBRU 107 MM, KAŻDY O WADZE 18 KG. ZALEŻNIE OD DŁUGOŚCI ŁÓDZIE TAKIE OSIAGAJĄ PRĘDKOŚĆ OD 53 DO 68 W.

ALI MOHAMMADI / POLARIS/EAST NEWS

wyniesione z ośmioletniej wojny z Irakiem i analizy kampanii toczonych z udziałem sił USA (w Iraku i Afganistanie) upewniły kierownictwo polityczno-religijne w Teheranie, że w czasie ewentualnego konfliktu z Ameryką tylko zastosowanie niestandardowych taktyk i metod działania może zagwarantować powodzenie. Rozumiano przez to nie tylko militarne pobicie przeciwnika, lecz także uniemożliwienie mu odniesienia sukcesu politycznego. Zasadniczym celem jest tu przetrwanie teokratycznego reżimu w Iranie oraz utrzymanie wpływów w regionie.

Z asymetryczności i hybrydowości swej strategii militarnej Irańczycy uczynili wręcz sztukę. Do tego stopnia, że 40 lat od powstania teokratycznej republiki regularna, konwencjonalna armia irańska (Artesh) ma dużo mniejsze znaczenie i potencjał niż Korpus Strażników Rewolucji Islamskiej (Sepah-e Pasdaran-e Enghelab-e Eslami, potocznie Pasdaran lub Sepah).

Jakakolwiek zbrojna konfrontacja na szerszą skalę z Iranem w niczym nie przypominałaby dotychczasowych wojen na Bliskim Wschodzie. Oddziaływanie środków możliwych do wykorzystania przez Teheran miałyby bowiem dosłownie zasięg globalny. I to nie tylko ze względu na uśpione komórki terrorystyczne tworzone na całym świecie (głównie na Zachodzie, ale też w Ameryce Południowej czy Australii) zarówno przez struktury irańskiego wywiadu i służb specjalnych, jak i irańskich sojuszników z Bliskiego Wschodu (np. libański Hezbollah). Chodzi tu przede wszystkim o globalne następstwa irańskich działań zmierzających do zablokowania żeglugi w tym niezwykle ważnym akwenie. Zamknięcie cieśniny Ormuz dla ruchu komercyjnego to zmniejszenie dziennej globalnej podaży ropy naftowej o 25–30%, ze wszystkimi tego konsekwencjami dla światowej gospodarki. Zablokowanie cieśniny jest wyjątkowo proste i nie wymaga wyrafinowanych metod – wystarczą skryte minowania, dy-

wersyjne działania miniaturowych okrętów podwodnych czy partyzanckie ataki z użyciem szybkich łodzi bojowych. Te kluczowe z punktu widzenia bezpieczeństwa narodowego IRI zadania związane z prowadzeniem wojny asymetrycznej na morzu ma realizować morski komponent Pasdaranu. To właśnie on jest asem w strategicznej talii kart, będącej w dyspozycji Teheranu w rozgrywce z USA. Siły i środki oraz taktyki działania floty wojennej Pasdaranu są tworzone i sukcesywnie modernizowane od kilku dekad na podstawie doświadczeń wyniesionych z historii działań „morskich sepahów”.

FLOTA MAŁYCH ŁÓDZI

O ile same miny są jak najbardziej konwencjonalnym (choć kontrowersyjnym) środkiem walki na morzu, o tyle już stosowane przez Irańczyków metody ich użycia należą do wyjątkowo niestandardowych. Irańska taktyka minowania zakłada m.in. wykorzystywanie w tym celu małych łodzi motorowych, okrętów podwodnych, a nawet jednostek cywilnych (rybackich, handlowych itp.). Głównym zaś celem tej broni mają być nie okręty wroga, lecz tankowce wypływające z Zatoki Perskiej z ładunkiem ropy naftowej.

Iran jest także jedynym państwem w basenie Zatoki Perskiej dysponującym flotą okrętów podwodnych. Spośród ponad 30 tego rodzaju jednostek znajdujących się w arsenale Iranu szczególne znaczenie ma 28 okrętów klasy mini, idealnie przystosowanych do skrytych, niekonwencjonalnych działań na płytkich wodach niewielkiej Zatoki. Spośród nich ponad 20 to jednostki typu Ghadir, będące rezultatem doświadczeń rodzimej, irańskiej myśli technologicznej. Te niewielkie okręty (długość 30 m, wyporność w wynurzeniu do 120 t), rozwijające prędkość do 11 w. (20 km/h), są trudne do wykrycia dzięki swym rozmiarom i napędowi (silniki elektryczne i Diesla). Ich uzbrojenie stanowią bliżej nieokreślone rakiety klasy ➔

morze–ziemia lub pociski przeciwokrętowe, miny morskie oraz dwie wyrzutnie torped superkawitacyjnych typu Hoot (irańska kopia rosyjskich torped Szkwał), rozwijających prędkość do 370 km/h. Szczegółowa analiza irańskich manewrów morskich z udziałem ghadirów wskazuje, że ulubioną taktyką walki tych jednostek jest oczekiwanie w spoczynku na dnie Zatoki na sposobność ataku z wykorzystaniem superszybkich torped.

Podstawowym środkiem działania morskiego komponentu Pasdaranu jest jednak od dawna flota małych, szybkich bojowych łodzi motorowych (tzw. FAC, fast attack crafts). Sami Irańczycy twierdzą, że mają do dyspozycji około 30 tys. takich jednostek, za bliższe prawdziwe należy jednak przyjąć szacunki rzędu 5 tys. W realiach irańskich w kategorii tej mieści się całe spektrum platform różnego typu, przeznaczenia i wielkości. Zdecydowaną większość z nich stanowią niewielkie, dwu-, trzyosobowe łodzie motorowe (często płaskodenne), uzbrojone z reguły jedynie w wielkalibrowy karabin maszynowy DSzK kalibru 12,7x108 mm. Część jednostek ma jako uzbrojenie na przykład podwójnie sprzężone działko przeciwlotnicze ZSU-23-2 kalibru 23 mm. To właśnie irańskie łodzie tego najprostszego typu są nazywane sarkastycznie przez amerykańskich marynarzy pływającymi wannami (floating bathtubs), choć jak pokazały doświadczenia z „wojny tankowców” (1984–1988), platformy te mogą w sprzyjających okolicznościach zagrozić nawet okrętom wojennym, nie mówiąc już o statkach cywilnych.

Część (kilkadziesiąt sztuk) irańskich platform klasy FAC to nowocześniejsze bojowe łodzie motorowe typu Torgah. Jednostki te powstały na bazie zakupionych w 1984 roku w Szwecji łodzi sportowych typu Boghammar Marin. Są to szybkie (80–100 km/h) i zwrotne ścigacze, uzbrojone w wkm DSzK oraz wieloprowadnicową wyrzutnię raketową BM-12, wystrzeliwującą niekierowane pociski kalibru 107 mm na odległość do 8 km.

Perłą w koronie irańskich łodzi klasy FAC jest jednak Siraj-1. Ta irańska kopia znanego brytyjskiego projektu łodzi wyścigowych Ice Marine Bladerunner, pozyskanego przez Irańczyków w tajemniczych okolicznościach z RPA w 2010 roku, jest bez wątpienia najnowocześniejszym rozwiązaniem konstrukcyjnym w służbie komponentu morskiego Pasdaranu. Szacuje się, że Irańczycy mają około 30 tego typu łodzi, mogących osiągnąć zawrotną prędkość 150 km/h i uzbrojonych – tak jak większość irańskich jednostek klasy FAC – w wyrzutnię BM-12 (w tym przypadku wyposażoną w specjalne elektro-hydrauliczne stabilizatory dla zwiększenia skuteczności ognia) oraz tradycyjnie w DSzK.

Najnowszym nabytkiem floty Pasdaranu jest największa łódź klasy FAC w irańskim arsenale – Zolfaghar. Ze względu na jej uzbrojenie i przeznaczenie część źródeł określa ją mianem miniaturowego ścigacza raketowego. Ta długa na 16 m, lekka (wykonana w całości z włókna szklanego) jednostka jest

IRAN JEST JEDYNYM PAŃSTWEM W BASE-NIE ZATOKI PERSKIEJ DYSPONUJĄCYM FLOTĄ OKRĘTÓW PODWODNYCH

napędzana dwoma silnikami o mocy 1800 KM każdy, co pozwala na rozwinięcie prędkości do 150 km/h. Załoga, trzech – czterech marynarzy, obsługuje dwie wyrzutnie pocisków przeciwokrętowych typu Nasr-1 (zasięg do 30 km), dwie wyrzutnie torped superkawitacyjnych Hoot oraz dwa wkm DSzK – jeden na dziobie łodzi, drugi na rufie. Irańczycy twierdzą, że kształt kadłuba Zolfa-

ghara znacznie redukuje powierzchnię jego odbicia radarowego, co ma być dodatkową zaletą tej łodzi.

MISJA SAMOBÓJCÓW

Jednakże tym, co czyni morski komponent Pasdaranu szczególnie groźnym, nie są wyłącznie posiadane przezeń siły i środki, przystosowane do asymetrycznych (czy wręcz hybrydowych) działań przeciwko silniejszemu przeciwnikowi. To przede wszystkim drobiazgowo opracowywane przez lata doświadczenia i do znudzenia ćwiczone niestandardowe metody oraz taktyki działania morskich formacji sepahów. Najważniejszą spośród nich – i najniebezpieczniejszą dla przeciwnika – jest tzw. taktyka roju (swarm attack). Ta pozornie mało wyszukana metoda działań bojowych polega na równoczesnym atakowaniu wybranego celu (statku, okrętu) przez kilkadziesiąt lub nawet kilkaset łodzi bojowych, napływających z różnych kierunków i ostrzeliwujących jednocześnie obiekt ataku. W 2005 roku, podczas jednych z największych irańskich manewrów w Zatoce Perskiej (kryptonim „Wielki Prorok”), zaobserwowano ćwiczenia ataku z użyciem taktyki roju, w którym uczestniczyło aż 200–250 irańskich bojowych łodzi motorowych różnego typu. Standardowo jest to około stu jednostek grupujących się w ciągu kilku, kilkunastu minut, co wymaga doskonałej koordynacji działań rozproszonych jednostek operujących z różnych kierunków i baz. Po wykonaniu misji rój równie szybko rozpada się i znika. Co gorsza, każdorazowo podczas takich dorocznych manewrów ćwiczone są także działania o charakterze misji samobójczych, wykonywanych przez załogi niektórych irańskich FAC. Element głęboko zakorzenionego w szyickiej duchowości religijnej poświęcenia za wiarę (wraz z rolą męczenników – szahidów) musi być poważnie brany pod uwagę w kontekście operacji asymetrycznych Iranu.

Wspomniane na wstępie manewry MC02, po poniesieniu przez Niebieskich ogromnych strat na morzu w wirtualnej części scenariusza, zostały przerwane. Wznowiono je po skasowaniu dotychczasowego przebiegu symulacji komputerowej i pouczeniu strony Czerwonej, aby stosowała się do konwencjonalnych reguł sztuki wojennej oraz realizowała założone wytyczne i cele ćwiczeń. Trudno sobie jednak wyobrazić, aby w realnym świecie tego typu upominanie i „ustawianie” wroga było możliwe – zwłaszcza jeśli byłby nim islamski Iran i jego fanatyczni Strażnicy Rewolucji, wyposażeni w środki i taktyki mogące realnie zaszkodzić nawet największym potęgom militarnym świata. ■

PATRIOT: SKUTECZNA OBRONA I PARTNERSTWO



OBRONA PRZECIWLOTNICZA I PRZECIWRAKIETOWA

Dzięki nieustannym innowacjom, system Patriot firmy Raytheon zapewnia Polsce zaawansowaną technologię zaprojektowaną tak, by doskonale sprostać dzisiejszym i przyszłym wyzwaniom. Wraz z wyborem systemu Patriot Polska dołącza do globalnego sojuszu 16 państw dysponujących najnowocześniejszym i sprawdzonym w boju systemem obrony przeciwlotniczej i przeciwrakietowej.

[RAYTHEON.COM/POLAND](https://raytheon.com/poland)

Raytheon

RATOWNICY CZOŁGÓW

Ważną część wyposażenia jednostek pancernych stanowią wozy zabezpieczenia technicznego. Są to specjalistyczne pojazdy gaśnicowe do ewakuacji uszkodzonych podczas walki czołgów i innych maszyn bojowych.



» WZT-1

- ❶ Masa – 31,6 t
- ❷ Długość – 6,45 m
- ❸ Szerokość – 3,27 m
- ❹ Wysokość – 2,1 m
- ❺ Napęd – silnik wysokopięny o mocy 580 KM
- ❻ Prędkość maksymalna – 50 km/h
- ❼ Uzbrojenie – wkm DSzK kalibru 12,7 mm, granatnik RPG-7 (przewożony wewnątrz wozu)
- ❽ Załoga – 3 osoby

W latach sześćdziesiątych XX wieku opracowano pierwszy WZT na podwoziu czołgu T-55. WZT-1 był produkowany w latach 1970–1978 w Zakładach Mechanicznych Bumar-Łabedy w Gliwicach. Po wycofaniu z linii na części podwozi zamontowano wyrzutnie rakiet przeciwlotniczych S-125 Newa.

» WZT-2

- ❶ Masa – 34 t
- ❷ Długość – 6,45 m
- ❸ Szerokość – 3,27 m
- ❹ Wysokość – 2,05 m
- ❺ Napęd – silnik wysokopięny o mocy 591 KM
- ❻ Prędkość maksymalna – 50 km/h
- ❼ Uzbrojenie – wkm DSzK kalibru 12,7 mm, granatnik RPG-7 (przewożony wewnątrz wozu)
- ❽ Załoga – 4 osoby + 3 rannych

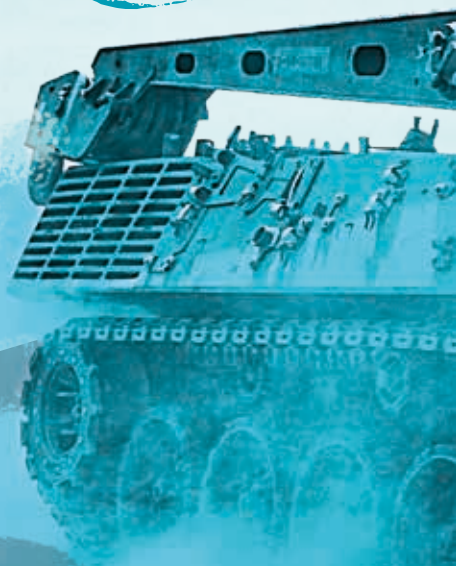
W latach siedemdziesiątych powstał nowy WZT, na podwoziach czołgów T-55 i T-55A. Jedną z nowości było wyposażenie go w spychacz-łemiesz i przygotowanie do udzielania pomocy rannym załogom. Produkcja odbywała się w Gliwicach w latach 1973–1992.

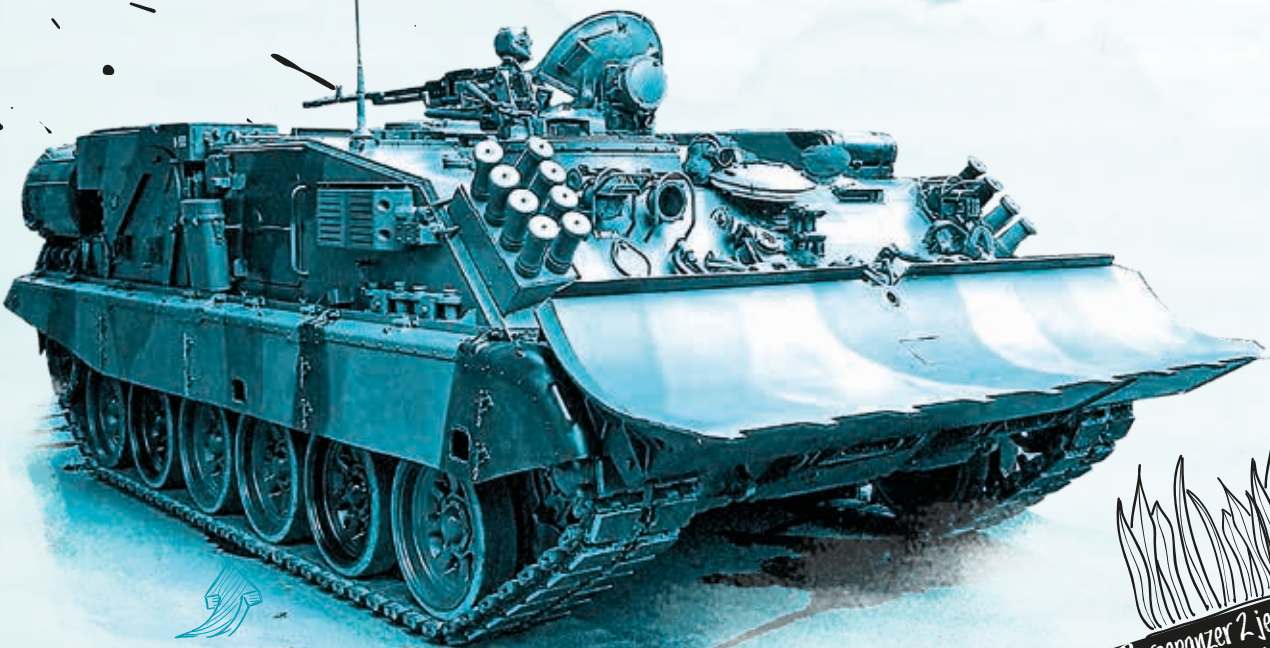
W Gliwicach powstało około 600 WZT-2, z których ponad połowę przekazano Wojsku Polskiemu, reszta trafiła na export

» BERGEPANZER 2

Wraz z wprowadzeniem do WP czołgów Leopard 2A4 pojawił się nowy WZT zbudowany na podwoziu leoparda 1. Obecnie polscy żołnierze dysponują 28 maszynami Bergepanzer 2, które są poddawane modernizacji. To najcięższe i najmocniejsze tego rodzaju pojazdy w naszej armii.

- ❶ Masa – 39,8 t (wersja A2 40,6 t)
- ❷ Długość – 7,68 m
- ❸ Szerokość – 3,25 m
- ❹ Wysokość – 2,69 m
- ❺ Napęd – silnik wysokopięny o mocy 830 KM
- ❻ Prędkość maksymalna – 62 km/h
- ❼ Uzbrojenie – dwa km MG3 kalibru 7,62 mm
- ❽ Załoga – 4 osoby





» WZT-3

- ❶ Masa – 42 t
- ❷ Długość – 8,3 m
- ❸ Szerokość – 3,6 m
- ❹ Wysokość – 2,71 m
- ❺ Napęd – silnik wysokoprężny o mocy 780 KM (WZT-3M 850 KM)
- ❻ Prędkość maksymalna – 60 km/h
- ❼ Uzbrojenie – wkm NSW kalibru 12,7 mm; 12 wyrzutni granatów dymnych kalibru 81 mm
- ❽ Załoga – 4 osoby

W latach osiemdziesiątych opracowano nowy WZT na podwoziu czołgu T-72. Jego produkcja dla WP rozpoczęła się w gliwickich zakładach w 1988 roku, był też eksportowany. Później powstała jego zmodernizowana wersja WZT-3M z mocniejszym silnikiem.

Bergepanzer 2 jest uzbrojony w dwa karabiny maszynowe



TELDAT

2018



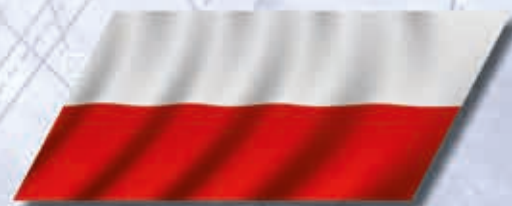
WYRÓŻNIONY EKSPORTER ROZWIĄZAŃ KLASY C4ISR NA RYNEK GLOBALNY



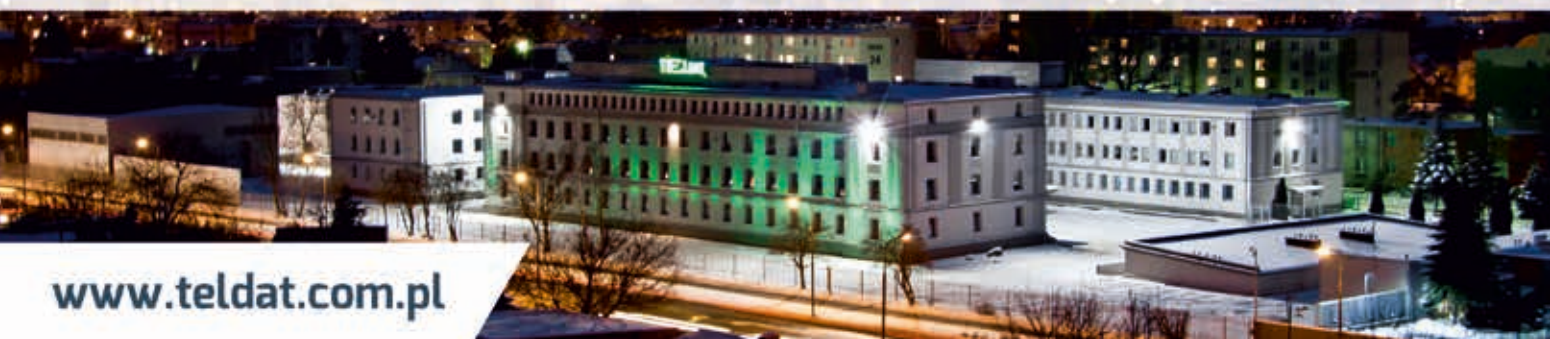
**DOŚWIADCZONY PROJEKTANT I PRODUCENT
KOMPLEKSOWEGO ZAUTOMATYZOWANEGO
SYSTEMU SYSTEMÓW DOWODZENIA,
WSPARCIA DZIAŁAŃ WOJSK I ŁĄCZNOŚCI**

**FIRMA Z BLISKO 23-LETNIM
DOROBKIEM NA RYNKU
OBRONNYM W ZAKRESIE
WOJSKOWEGO IT**

**WIELOLETNI I ZATWIERDZONY
DOSTAWCA
MILITARNYCH ROZWIĄZAŃ IT
DLA RZĄDU
AMERYKAŃSKIEGO**



www.teldat.com.pl





FRANCJA – NIEMCY

Ultralekki huzar

Firmy Diehl Defence i Safran Electronics & Defense podpisały podczas paryskiej wystawy lotniczej porozumienie w sprawie opracowania nowego taktycznego systemu powietrze–ziemia, któremu nadano nazwę Hussar.

Pociski mają być ultralekkie, prawdopodobnie o masie około 20 kg, dzięki czemu samoloty wielozadaniowe, a także bezzałogowe statki powietrzne będą mogły przenosić większą ich

liczbę. Inną cechą systemu będzie modułowość. Wymienność ma dotyczyć 2,5-kilogramowych głowic bojowych oraz systemów naprowadzających, gwarantujących wysoką precyzję rażenia

celów ruchomych i stacjonarnych. Ujawniono, że koncepcja zakłada umieszczenie głowic w wyrzutniach, w których może znaleźć się do ośmiu pocisków. Do tego będą one mogły być odpalane

niezależnie od kierunku lotu nosiciela. Nowe uzbrojenie zostanie zintegrowane zarówno z już istniejącymi statkami powietrznymi, jak i tymi, które dopiero powstaną. W oficjalnym komunikacie prasowym dotyczącym zawarcia porozumienia wskazano też przyszły samolot bojowy nowej generacji, który ma być owocem współpracy Niemiec i Francji (do projektu tego postanowiła dołączyć też Hiszpania) oraz europejski dron klasy MALE. W

USA

Bradley z robotami

Amerykańska armia chce zbadać to, w jaki sposób przebić się przez systemy antydostępowe wroga bez narażania życia i zdrowia żołnierzy.

W marcu 2020 roku w Fort Carson US Army zamierza przeprowadzić miesięczne próby z bezzałogowymi pojazdami bojowymi. Operatorzy mają nimi kierować ze zmodyfikowanego bojowego wozu piechoty Bradley, nazwanego Mission Enabler Technologies-Demonstrator (MET-D). Jako że wozy-roboty jeszcze nie powstały, podczas testów z bewupa będą nadzorowane ich surogaty – bezzałogowe transportery M113 uzbrojone w karabin maszynowy kalibru 7,62 mm. MET-D ma zdalnie sterowaną wieżę z armatą kalibru 25 mm, kamery pokazują-



ce obraz sytuacji wokół bewupa oraz stanowiska dla czterech operatorów. Oprócz nich w skład załogi wchodzi strzelec i kierowca. W przyszłorocznych badaniach będą wykorzystane dwa pojazdy MET-D i cztery M113. Na podstawie uzyskanej podczas prób wie-

dzy będzie można dokonać modyfikacji demonstratorów niezbędnych do następnych faz testów. W końcu roku budżetowego 2021 mają się odbyć badania na poziomie kompanii z udziałem sześciu MET-D i tychże samych czterech M113 oraz ośmiu su-

gatów przyszłych lekkich i średnich bezzałogowych platform bojowych.

Pierwsze próby z lekkimi bezzałogowymi pojazdami zostaną przeprowadzone w maju 2020 roku w Europie Środkowej. Ich celem będzie sprawdzenie współdziałania maszyn z lekką piechotą podczas wykonywania zadań rozpoznawczych i ochronnych oraz wsparcia piechurów. Z kolei w trzeciej fazie badań, w 2023 roku, oprócz MRT-D i M113 mają być użyte po cztery nowe ciężkie i średnie bezzałogowe demonstratory.

Amerykańska armia chce zbadać, wykorzystując bezzałogowe pojazdy bojowe, m.in. to, w jaki sposób przebić się przez systemy antydostępowe wroga bez narażania życia i zdrowia żołnierzy. WR

STRATEGIE

/ BLISKI WSCHÓD

Bojownicy
Rządu Jedności
Narodowej podczas walk
z siłami Libijskiej Armii
Narodowej. Obszar
al-Sawani na południe
od Trypolisu, czerwiec
2019 roku

JEDEN MECZ WIELU GRACZY

Szturm Libijskiej Armii Narodowej na Trypolis stał się zapowiedzią nie tylko eskalacji przemocy, lecz także jeszcze większego zaangażowania stron zewnętrznych, dążących do wykorzystania wojny w Libii do własnych celów geopolitycznych i interesów strategicznych.

TOMASZ OTŁOWSKI



W

iosna 2019 roku okazała się dla Libii i jej mieszkańców wyjątkowo niekorzystna. Trwająca od pięciu lat „pełzająca” wojna domowa między dwoma rywalizującymi ośrodkami władzy – Rządem Jedności Narodowej (RJN)

z Trypolisu i tzw. rządem Izby Deputowanych z Tobruku – zaczęła się powoli przekształcać w zażarty i brutalny konflikt na pełną skalę. Wszystko to za sprawą zmasowanej ofensywy na Trypolis, podjętej w kwietniu przez Libijską Armię Narodową (LAN), stanowiącą oficjalne siły zbrojne rządu z Tobruku. Rozkaz marszu na libijską stolicę, wydany przez charyzmatycznego marszałka Chalifę Haftara, dowódcę LAN, zaskoczył nie tylko większość ekspertów i dyplomatów zajmujących się problematyką libijską, lecz także zagranicznych sprzymierzeńców tobruckich władz.

TANIEC DWÓCH RZĄDÓW

Formalnym celem operacji „Wolność dla Trypolisu” – największej, jaką podjęła LAN od chwili swego powstania w 2014 roku – miało być ostateczne wyrugowanie z Libii islamistycznych ugrupowań i milicji oraz zjednoczenie kraju. Faktycznie jednak akcja ta od samego początku skierowana była bezpośrednio przeciwko konkurencyjnemu ośrodkowi władzy w kraju i stanowiła próbę obalenia RJN. Oznacza to radykalną zmianę w dotychczasowej strategii Haftara i rządu w Tobruku, zakładającej głównie działania koncyliacyjne i polityczne, nakierowane na stopniowe zdobywanie poparcia wśród tworzącej libijskie społeczeństwo mozaiki plemion, klanów i grup narodowościowych. Unikanie przez LAN nadmiernego stosowania siły zaskarbiło Haftarowi i jego armii sympatię także wśród mieszkańców zachodniej Libii. Efekty takiej polityki widać było doskonale w ostatnich kilku latach. Od 2014 roku, czyli od chwili rozpoczęcia przez LAN i rząd tobrucki działań przeciwko islamistom we wschodniej części kraju (w Bengazi i Darnie), formacje podległe Haftarowi stopniowo przejmowały

kontrolę nad kolejnymi regionami. W efekcie tuż przed ogłoszeniem marszu na Trypolis rząd z Tobruku kontrolował już ponad dwie trzecie obszaru Libii, w tym znaczną część wybrzeża. Kluczowe znaczenie miało tu podporządkowanie Tobrukowi na początku 2019 roku niemal całego libijskiego pustynnego interioru na południu kraju. Region ten – gdzie znajduje się znaczna część złóż ropy naftowej i gazu ziemnego Libii – pokrywa się z obszarem historycznej krainy Fazzan, mającej duże znaczenie w tradycyjnej geopolityce Libii. Co ważne, rejon ten odgrywa też znaczącą rolę w skomplikowanym klanowo-plemiennym układzie sił w kraju, szczególnie istotnym po obaleniu reżimu Muammara Kaddafiego i zaniku efektywnej władzy centralnej w państwie.

WŁADZA NA SZALI

Rozciągnięcie kontroli na Fazzan wzmocniło polityczną pozycję Tobruku wobec rządu z Trypolisu, a z czysto militarnej perspektywy dało siłom marszałka Haftara dogodne pozycje wyjściowe do ofensywy na stolicę. Po wcześniejszym (lata 2017–2018) zaprowadzeniu przez LAN porządku na terenach libijskiego „naftowego półksiężyca” (wybrzeże zatoki Wielka Syrta nad Morzem Śródziemnym), potwierdziło to także opinię o armii Haftara jako o najbardziej efektywnej libijskiej formacji zbrojnej. On sam przy tym zaczął być postrzegany jako nie tylko skuteczny dowódca polowy i przebiegły strateg, lecz także sprawny polityk. Coraz bardziej profesjonalna formacja zbrojna i jej lider zaczęli jawić się Libijczykom (również tym spoza Cyrenajki) jako realna szansa na zakończenie trwającego już niemal dekadę chaosu w ich państwie.

Taka percepcja była tym bardziej uzasadniona, że opozycyjny wobec Tobruku rząd z Trypolisu od początku swego istnienia (2014 rok) nie cieszył się zbyt dużym poparciem, nawet na formalnie przezeń kontrolowanych obszarach kraju. Na większości z tych terenów faktyczną władzę sprawują bowiem lokalne milicje plemienne lub grupy paramilitarne, a zdarza się, że także islamiści lub gangi zajmujące się np. przemytem ludzi do Europy. W wielu rejonach zachodniej Libii rządzą



Do Libii szerokim strumieniem płynie broń i sprzęt wojskowy, w tym ciężki. Dzieje się tak pomimo embarga ONZ.



Konflikt z manewrowego stał się typową wojną pozycyjną, prowadzoną w gęsto zabudowanych i zaludnionych przedmieściach Trypolisu.

JEŚLI DOJDZIE DO NASILENIA WALK, LIBIA MOŻE OSTATECZNIE POGRAŻYĆ SIĘ W BRUTALNYM KONFLIKCIE NA PEŁNĄ SKALĘ, NA WZÓR TEGO, CO OD LAT DZIEJE SIĘ W SYRII LUB JEMENIE

MAHMUD TURKIA / AFP / EAST NEWS

więc zwykli watażkowie, a ostateczną rację ma ten, kto dysponuje większą i sprawniejszą „armią”. Lokalne społeczności w Trypolitanii, zmęczone przedłużającym się chaosem i bezprawiem, z rosnącą sympatią patrzyły więc na LAN i jej dowódcę, mimo iż reprezentuje on Cyrenajkę.

PO CIEMNEJ STRONIE MOCY

Decyzja dowódcy LAN o marszu na Trypolis i będący jej następstwem wybuch niezwykle gwałtownych i brutalnych – jak na realia libijskie – walk o stolicę diametralnie zmieniły rzeczywistość społeczno-polityczną w kraju. Zmasowana (uczestniczy w niej gros sił LAN) ofensywa na siedzibę wrogiego RJN to całkowite zaprzeczenie dotychczasowej strategii gabinetu z Tobruku. Nagle, z dnia na dzień, sędziwy marszałek Haftar z wyważonego i przewidywalnego gracza przedzierzgnął się w oczach opinii publicznej w agresywnego

i brutalnego „war lorda” – „pana wojny”. Być może intencje Haftara i jego politycznych sojuszników z Tobruku były inne – niewykluczone, że zależało im jedynie na storpedowaniu rozwijającego się nie po ich myśli procesu pokojowego, firmowanego przez ONZ. Otwarty atak na stolicę został jednak powszechnie (zarówno w kraju, jak i poza jego granicami) odebrany jako porzucenie przez LAN jej dotychczasowych wyważonych metod postępowania.

Położenie polityczne i strategiczne LAN po rozpoczęciu operacji „Wolność dla Trypolisu” stało się tym gorsze, że oddziały wierne RJN i sprzymierzone z nim milicje stawiały Cyrenajczykom zacięty opór na przedmieściach stolicy. Już pierwsze dni ofensywy dowiodły, że Chalifa Haftar przecenił możliwości swej armii, lekceważąc przy tym przeciwnika. Nawet w sprzyjających realiach operacyjnych zajęcie siłą tak wielkiego ośrodka miejskiego, jakim jest Trypolis (około 2,5 mln





**JUŻ PIERWSZE DNI OFENSY-
WY DOWIODŁY, ŻE CHARY-
ZMATYCZNY MARSZAŁEK
CHALIF HAFTAR PRZECENIŁ
MOŻLIWOŚCI SWEJ ARMII,
LEKCEWAŻĄC PRZY TYM
PRZECIWNIKA**



mieszkańców, obszar całej konurbacji niemal dwukrotnie przekraczający wielkość Warszawy), byłoby trudne. A w tym przypadku realia szczególnie nie sprzyjają Haftarowi i jego żołnierzom. I chodzi tu nie tylko o samą topografię i charakterystykę urbanistyczną libijskiej stolicy, ale przede wszystkim o fakt, iż żołnierze LAN zmuszeni są szturmować miasto zamieszkane w większości przez wrogo nastawioną ludność, walcząc z milicjami i formacjami zbrojnymi doskonale znającymi pole bitwy. Co gorsza, szturm może odbywać się wyłącznie na wąskim odcinku południowych przedmieść Trypolisu, wzdłuż strategicznej autostrady, łączącej stolicę z interiorom Fazzanu. A należy pamiętać, że o ile już samo zajęcie Trypolisu jest trudnym zadaniem, o tyle późniejsze utrzymanie i pacyfikacja tej aglomeracji jawią się jako wyzwanie wręcz ponad siły armii rządu z Tobruku. LAN, choć wciąż intensywnie rozbudowywana i dozbrajana, nie dysponuje odpowiednim potencjałem militarnym. Jej formacje już teraz są nadmiernie rozciągnięte między przedmieściami Trypolisu na zachodzie, Fazzanem na południu, a Cyrenajką na wschodzie. Nie są też przygotowane na uporczywe walki w warunkach miejskich, zwłaszcza gdy przeciwnik stawia zacięty

opór – warto pamiętać, że pełne zajęcie Bengazi i oswobodzenie jej z rąk islamistów zajęło siłom Haftara aż trzy lata.

Specyfiką LAN – podobnie jak w zasadzie wszystkich ugrupowań paramilitarnych uczestniczących w konfliktach w Libii i Afryce Północnej – są szybkie, manewrowe działania dużych formacji zmotoryzowanych, wyposażonych w dziesiątki pojazdów (głównie typu „technicals”) i działających wzdłuż utwardzonych szlaków komunikacyjnych. Wobec stagnacji na froncie pod Trypolisem dominującą rolę operacyjną już w połowie kwietnia 2019 roku przejęły „siły powietrzne” obu stron, a także ich artyleria (w tym raketowa) i snajperzy. Konflikt z manewrowego stał się typową wojną pozycyjną, prowadzoną w gęsto zabudowanym i zaludnionym środowisku „miejskiej dżungli” przedmieść Trypolisu. W takich realiach górą byli obrońcy stolicy – zdeterminowani i dobrze znający teren walk, a do tego cieszący się poparciem ludności, niechętniej „dzikusom z Cyrenajki”. Czas pracuje na korzyść obrońców także w sensie politycznym – im dłużej LAN prowadziła swą ofensywę, tym bardziej malało poparcie dla niej, zarówno w Libii, jak i na arenie międzynarodowej.



Rozkaz marszu na libijską stolicę zaskoczył nie tylko większość ekspertów i dyplomatów zajmujących się problematyką libijską, lecz także zagranicznych sprzymierzeńców tobruckich władz. Na zdjęciu kolumna pojazdów Libijskiej Armii Narodowej (LAN)



Nie powinno więc dziwić, że pod koniec czerwca nagle kontruderzenie formacji podległych RJN odrzuciło siły LAN daleko na południe, aż za pozycje wyjściowe do kwietniowej ofensywy. LAN straciła kilkuset żołnierzy (poległych, zaginionych, rannych i wziętych do niewoli), dziesiątki sztuk sprzętu i tysiące ton zaopatrzenia, zgromadzonego w odbitym przez siły RJN mieście Gharyan. Niespodziewana porażka zdaje się potwierdzać wcześniejsze doniesienia o spadku morale żołnierzy LAN i problemach z dyscypliną w jej szeregach. Pod względem strategicznym Haftar i władze w Tobruku znaleźli się po czerwcowej klęsce pod Gharyan w sytuacji znacznie gorszej niż przed rozpoczęciem ataku na Trypolis. Wówczas LAN była stroną dominującą, niesioną falą sukcesów politycznych i militarnych zwycięstw. Dzisiaj jest zdemoralizowaną armią pobitych u wrót stolicy renegatów, którzy ośmielili się podnieść rękę na rząd uznawany przez ONZ.

OBOZY DWUWŁADZY

Ten niewątpliwy sukces sił wiernych RJN nie byłby możliwy bez znacznego wsparcia z zewnątrz. Jak większość współczesnych wojen „domowych” w świecie arabskim, także i konflikt libijski nie trwałby tak długo bez zaangażowania zagranicznych graczy, wykorzystujących chaos w Libii do własnych interesów, nierzadko wykraczających daleko poza tę część świata. Z upływem czasu ich grono i skala zaangażowa-

nia zdecydowanie rosną, a terytorium Libii coraz wyraźniej przekształca się w pole geopolitycznej bitwy między regionalnymi i globalnymi mocarstwami. Obie strony libijskiego konfliktu mają swych zdeklarowanych zagranicznych sojuszników i sponsorów, którzy wpływają na kierunek podejmowanych przez nie działań, a także dostarczają środki i fundusze do prowadzenia akcji zbrojnych. Do Libii szerokim strumieniem płyną więc broń i sprzęt wojskowy, w tym ciężki. Dzieje się tak pomimo embarga ONZ.

Rząd w Trypolisie uznany został przez społeczność międzynarodową, co wyraża się poparciem ONZ, a także, przynajmniej oficjalnie, Unii Europejskiej oraz Stanów Zjednoczonych. W praktyce, w dwóch ostatnich przypadkach nie przekłada się to na konkretne działania, ma jednak istotny wymiar propagandowy. Znacznie ważniejsza dla Trypolisu jest jednak znacząca pomoc finansowa i militarna, udzielana przez Turcję, Włochy i Katar. Część z tego wsparcia trafia także do sprzymierzonych z rządem w Trypolisie milicji.

Rząd w Tobruku i jego armia cieszą się z kolei politycznym i militarnym poparciem kluczowych arabskich państw regionu bliskowschodniego – Zjednoczonych Emiratów Arabskich, Arabii Saudyjskiej, Bahrajnu, Jordanii i Egiptu. Szczególnie dzięki wsparciu Abu Zabi i Kairu możliwe były w minionych dwóch latach szybka rozbudowa i wzmocnienie zdolności bojowych LAN. Od kilkunastu miesięcy rząd w Tobruku korzysta także z pomocy Francji oraz (nieoficjalnie) Rosji, co stawia pod znakiem zapytania tezę o powszechnym międzynarodowym poparciu dla RJN.

KONIEC ILUZJI

Jak na razie próby wzięcia przez LAN szturmem Trypolisu zakończyły się fiaskiem wskutek błyskotliwej czerwcowej kontrofensywy sił RJN, bez wątpienia współorganizowanej i aktywnie wspieranej przez tureckich i katarskich doradców. Wypchnięta spod murów stolicy armia rządu z Tobruku ma obecnie jeszcze mniejsze szanse na realizację ambitnych planów marszałka Chalify Haftara niż na początku roku. Już wkrótce okaże się, czy porażka na przedmieściach Trypolisu będzie dla dowódcy LAN i jego politycznych mocodawców otrzeźwieniem, czy wręcz przeciwnie – popchnie ich do dalszej eskalacji konfliktu. Ton wypowiedzi liderów z Tobruku nie napawa optymizmem. Jeśli dojdzie do nasilenia walk, Libia może ostatecznie pogrążyć się w brutalnym konflikcie na pełną skalę, na wzór tego, co od lat dzieje się w Syrii lub Jemenie. Taki długotrwały, wyniszczający konflikt zbrojny w Libii byłby czynnikiem generującym zagrożenia dla bezpieczeństwa i stabilności głównie Maghrebu i Sahelu, ale również i Europy. W tym kontekście zadziwia postawa Unii Europejskiej, która nie umie wypracować wspólnego stanowiska w kwestii libijskiej. A co gorsza, kluczowe kraje członkowskie Unii otwarcie i ostentacyjnie wspierają przeciwne strony libijskiego konfliktu. Wszystko to oznacza, że szanse na trwały pokój w Libii są obecnie mocno iluzoryczne, a chaos i niestabilność mogą jeszcze długo królować na saharyjskich pustkowiach. ■

TEORIA CHAOSU

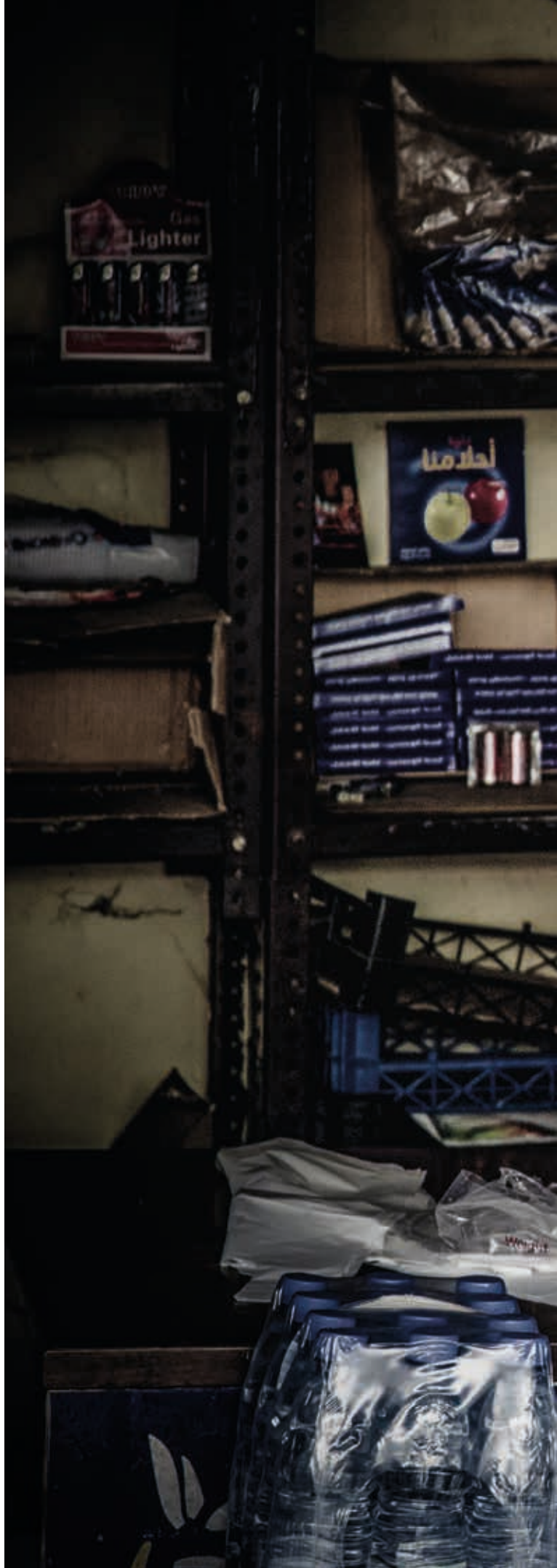
Liban w ostatnich latach uniknął co prawda kolejnej wojny domowej, zмага się jednak z olbrzymim przyrostem ludności oraz pogłębiającym się kryzysem ekonomicznym. Sytuację tę wykorzystuje Hezbollah, który sukcesywnie umacnia swoją pozycję.

MICHAŁ ZIELIŃSKI

W ciągu ostatnich pięciu dekad niewielki Liban został zrujnowany przynajmniej trzykrotnie. Dzięki nieustrudzonej woli Libańczyków oraz wsparciu z zewnątrz zdołał się również trzykrotnie podnieść, ale tym razem sprawy przybrały niespodziewany obrót. Gdy Syria, jeden z jego najważniejszych sojuszników, pogrążyła się w chaosie, oś Bejrut – Damaszek – Teheran w każdej chwili mogła zostać przerwana.

Po kolejnych sukcesach syryjskiej opozycji, a następnie przejmujących jej rolę fundamentalistów, w ciągu kilkunastu miesięcy Liban stał się samotną wyspą. Jego północną i wschodnią granicę nękały ataki dżihadystów. W związku z nasilającym się zagrożeniem terrorystycznym, leżący na południu Izrael zwiększył wojskową aktywność przy niebieskiej linii (zdemilitaryzowana strefa ONZ rozdzielająca zwaśnione państwa). Szybko okazało się jednak, że zarówno działalność dżihadystów, jak i izraelskie naloty wymierzone w Hezbollah nie są jedynym problemem Bejrutu. Wraz z postępującym konfliktem kraj liczący niespełna 4 mln mieszkańców został niemal zalany przez uchodźców. Według oficjalnych statystyk UNHCR (United Nations High Commissioner for Refugees, Wysoki Komisarz Narodów Zjednoczonych do spraw Uchodźców) w 2016 roku przyjęto ich ponad 1,2 mln. W rzeczywistości być może znacznie więcej.

Wydawałoby się, że wszystkie te czynniki w połączeniu z charakterystycznym dla Libanu zróżnicowaniem etnicznym



A photograph of a man sleeping on a counter in a cluttered shop. He is wearing a dark, patterned shirt and has his head buried in his arms. In the foreground, a large, round, yellow kitchen scale with a silver base is visible. The scale's dial has the brand name 'Vetto' and various weight markings. The background is filled with shelves of plastic bottles and other items, suggesting a small, possibly struggling, business environment.

**CORAZ TRUDNIEJ-
SZE WARUNKI
BYTOWE KIERUJĄ
LIBAŃCZYKÓW
W STRONĘ RADYKA-
LIZMU I POTĘGUJĄ
WEWNĘTRZNE
NAPIĘCIE**

DJEDJ/P. XABAY





D J E D J / P I X A B A Y

W Libanie billboardy przedstawiające wizerunki przywódców politycznych i religijnych są nieodłącznym elementem krajobrazu miejskiego. Na zdjęciu lider libańskiego Hezbollahu Sayyed Hassan Nasrallah

i pogłębiającymi się podziałami wewnętrznymi nieuchronnie prowadzą do kolejnej wojny domowej. Tak się jednak nie stało. Można stwierdzić, że to zasługa stosunkowo stabilnej sytuacji na lokalnej scenie politycznej oraz systematycznie modernizowanej armii, ale prawdziwy powód był inny. Dotychczas wszystkim stronom zaangażowanym w regionalne konflikty, w tym Stanom Zjednoczonym, Iranowi, Arabii Saudyjskiej, a nawet (albo przede wszystkim) Izraelowi, zależało na utrzymaniu równowagi wewnętrznej Libanu.

Ostatnie wydarzenia na arenie geopolitycznej mogą jednak ten porządek zburzyć.

MILIARD DOLARÓW ROCZNIE

Relacje Libanu z Iranem sięgają połowy lat pięćdziesiątych ubiegłego stulecia. W tym czasie rząd ostatniego szachinszacha wspierał wszystkie państwa, które stały w opozycji wobec Gamala Abdela Namera, drugiego prezydenta Egiptu, i szerzonej przez niego ideologii arabskiego nacjonalizmu. Stosunki te uległy pogorszeniu po wojnie sześciodniowej (w której notabene Liban nie brał udziału, tak samo jak w wojnie Jom Kipur w 1973 roku), kiedy w Libanie popularność zaczęły zyskiwać ruchy antyżydowskie. Reset nastąpił po irańskiej rewolucji islamskiej. W 1982 roku tamtejsze władze wysłały do Libanu ponadtyśiącosobowy oddział wydzielony z Korpusu Strażników Rewolucji Islamskiej, którego celem było powołanie antyizraelskiego ruchu oporu. Struktury stworzone przez tę grupę znane są jako Hezbollah (Partia Boga).

Organizacja uznawana przez niektóre zachodnie rządy, w tym Wielką Brytanię i Stany Zjednoczone,

za terrorystyczną, dzieli także samych Libańczyków. Większość z nich jest przeciwna wzmocnieniu wpływu Iranu w ich ojczyźnie, nie przeszkadza to jednak regionalnemu mocarstwu w realizowaniu zamierzonych celów. Bojówki Hezbollahu były jedną z wiodących sił podczas wszystkich liczących się działań wojennych prowadzonych na terenie Libanu i niejednokrotnie dowiodły swojej wartości. Zbrojne ramię Partii Boga przeprowadziło także wiele zamachów, m.in. na ambasadę USA w Bejrucie w 1983 roku. Organizacji przypisuje się także mający miejsce w tym samym roku atak na koszarzy korpusu amerykańskiej piechoty morskiej oraz morderstwo byłego premiera Libanu Rafika Haririego w 2005 roku.

Zarazem od 1992 roku Hezbollah zajmuje stałe miejsce w libańskim parlamencie. Podczas wyborów powszechnych w 2018 roku partia samodzielnie zdobyła 13 mandatów, a w stworzonym wraz z Ruchem Amal sojuszu zajmuje łącznie 45 miejsc w 128-miejscowym parlamencie. W praktyce oznacza to, że w ramach koalicji Sojuszu 8 Marca tworzy rząd obecnej kadencji. Sukces organizacji nie wynika jedynie z poparcia lokalnych szyitów. Za Hezbollahem opowiada się także część chrześcijan oraz przedstawiciele mniejszości i najuboższej części społeczeństwa. Wynika to z jego szerokiej działalności w dziedzinie pomocy socjalnej, obejmującej m.in. prowadzenie tanich szpitali oraz szkół. Ich utrzymanie jest możliwe przede wszystkim dzięki wsparciu finansowemu z zagranicy, ale Hezbollah dysponuje także własnymi źródłami dochodu.

Dochód organizacji najprawdopodobniej przekracza 1 mld dolarów rocznie. Jedną z jego głównych



Według prezydenta Libanu MICHELA AOUNA jedynym sposobem ograniczenia wpływów Hezbollahu jest zażegnanie konfliktu palestyńskiego-izraelskiego.

gałęzi jej działalności jest handel narkotykami, w tym kokainą produkowaną w Ameryce Łacińskiej. Właśnie w związku z przemytem ciężkich narkotyków w 2017 roku Hezbollah został uznany za jedną z pięciu organizacji, które najbardziej zagrażają bezpieczeństwu wewnętrznemu Stanów Zjednoczonych. Trwającego od blisko dwóch dekad proceduru nie mogą powstrzymać ani zakrojone na szeroką skalę działania amerykańskiej agencji rządowej DEA (Drug Enforcement Administration), ani nakładane przez Departament Skarbu Stanów Zjednoczonych sankcje. Warto przy tym zaznaczyć, że dotychczas żadne z państw Ameryki Łacińskiej nie uznało Hezbollahu za organizację terrorystyczną.

ROZPĘTAĆ PIEKŁO

Najważniejszym sponsorem Hezbollahu wciąż pozostaje jednak Iran. Szacuje się, że państwo to zasila organizację wpływami sięgającymi 700 mln dolarów rocznie. Ostatnie napięcia na linii Waszyngton – Teheran z pewnością uszczuplą tę kwotę, ale w przeszłości Hezbollah udowodnił już, że potrafi przetrwać znacznie trudniejszy czas. Mowa tu przede wszystkim o okresie między 2006 a 2014 rokiem, kiedy Zachód usiłował zmusić Iran do zaprzestania prac nad wzbogacaniem uranu. Paradoksalnie w tym samym czasie szyicka organizacja nie tylko utrzymała swoje wpływy, lecz także udało jej się wzmocnić pozycję. Taki obrót spraw wynikał z konfliktu w Syrii, w którym Hezbollah aktywnie wspierał stronę rządową. Ostatecznie wojna okazała się dla syryjskiego rządu zwycięska, co bezpośrednio przełożyło się na jego sojuszników, z Iranem i Hezbollahem na czele.

Nic nie wskazuje jednak na to, żeby w wypadku zaostrej się sporu z Waszyngtonem Teheran zamierzał aktywować bojowników stacjonujących w Libanie, przynajmniej nie w pierwszym rzucie. Głównym celem Hezbollahu pozostaje szachowanie Izraela. W przeszłości bojownicy niejednokrotnie udowodnili, że pomimo bezsprzecznej przewagi Sił Obronnych Izraela są w stanie przez długi czas odpierać ataki, a w ostateczności po prostu destabilizować region. Jednocześnie włączenie do walki Hezbollahu będzie miało bezpośredni wpływ na sytuację wewnętrzną Libanu, co z kolei na pewno spotka się ze stanowczym sprzeciwem jego obywateli. Stanowisko to odzwierciedla jedna z ostatnich przemów Hasana Nasr Allaha, lidera Hezbollahu. Zagroził on, że wzrost napięcia między Iranem i Stanami Zjednoczonymi rozpęta piekło. Jednocześnie uspokajał swoich zwolenników, że nie powinni się spodziewać takiego rozwoju wydarzeń.

Reakcji Hezbollahu można się z całą pewnością spodziewać w dwóch wypadkach – otwartego konfliktu Iranu ze Stanami Zjednoczonymi oraz kolejnej wojny z Izraelem. Tę ostatnią może rozpocząć syryjski rząd, który po umocnieniu władzy wewnątrz kraju najprawdopodobniej skieruje swoją uwagę na Wzgórza Golan. Walki może także zainicjować sam Izrael, który ponownie będzie próbował wyprzeć swojego największego rywala z wrażliwego terytorium. To właśnie góry leżące na południu Libanu i Syrii są naturalnym środowiskiem Hezbollahu, a Izrael pozostaje jego ideologicznym

wrogiem. Zdają sobie z tego sprawę także Amerykanie, którzy przez naciski dyplomatyczne starają się zmusić władze Libanu do zwalczania organizacji. Nie biorą jednak pod uwagę tego, jak mocno Hezbollah wszedł w struktury państwowe Libanu. Pomijając obecność w parlamencie, powiązany jest także z libańską armią. Na dodatek organizacja odbierana jest jako bardziej wiarygodna i tak naprawdę jedyna zdolna do odparcia napaści z zewnątrz. Bojownicy udowodnili także, że są w stanie stawić czoła dżihadystom, wielokrotnie odpierając ich ataki na syryjskim pograniczu. Rząd w Bejrucie bierze pod uwagę te nastroje i zdaje sobie sprawę, że zbyt stanowcze działania wymierzone w Hezbollah mogłyby doprowadzić do kolejnej wojny domowej.

WOJNA O DRZEWO

Według prezydenta Libanu Michela Aouna jedynym sposobem ograniczenia wpływów Hezbollahu jest zażegnanie konfliktu palestyńsko-izraelskiego. Być może minimalizowałoby to znaczenie organizacji, ale rząd wciąż musiałby stawić czoło pozostałym problemom, np. pogłębiającej się zapaści ekonomicznej. Z najnowszych danych wynika, że jedna trzecia mieszkańców tego bliskowschodniego kraju żyje poniżej progu ubóstwa, czyli za mniej niż 1,90 dolara dziennie.

Liban jest uznawany za jedną z najbardziej stabilnych demokracji na Bliskim Wschodzie (opiera się ona na konfesjonalizmie, czyli podziale władzy według klucza wyznaniowego). Jednak gdy państwo pogrąży się w coraz większym kryzysie, nie ma to większego znaczenia. Wie o tym premier Sad al-Hariri, syn Rafika Haririego, który stara się zapobiec nadciągającej katastrofie. Nie jest to możliwe bez wsparcia finansowego z zewnątrz, co z kolei zamyka błędne koło. Zarówno USA, jak i Iran chcą uniknąć chaosu w Libanie, ale nie przeszkadza im to rozgrywać swoim sojusznikiem. W styczniu 2019 roku jedna z trzech największych amerykańskich agencji ratingowych Moody's Investors Service oceniła wiarygodność kredytową Libanu niżej niż dotychczas, na poziomie Caa1, zaliczając go tym samym do grona państw niestabilnych pod względem finansowo-ekonomicznym. Coraz trudniejsze warunki bytowe kierują Libańczyków w stronę radykalizmu i potęgują wewnętrzne napięcie. A to nieuchronnie prowadzi do wojny.

Do ostatniego poważnego incydentu, który mógł wywołać kolejną wojnę w Libanie, doszło w 2010 roku. Starcia zaczęły się od próby ścięcia drzewa przez izraelskich żołnierzy (po izraelskiej stronie niebieskiej linii). Pracujących wojskowych ostrzelali libańscy strzelcy wyborowi i zabili jednego oficera. W odpowiedzi Siły Obronne Izraela otworzyły ogień artyleryjski oraz przeprowadziły serię nalotów, w wyniku których zginęło pięć osób, w tym dziennikarz lokalnej stacji. Odpowiedzialnością za eskalację została obciążona strona libańska. Dowódcy strzelców wyborowych uznali, że izraelscy żołnierze chcą naruszyć linię graniczną. Wziąwszy pod uwagę coraz trudniejszą sytuację Libańczyków oraz napięcie narastające na arenie międzynarodowej, każde takie zdarzenie może rozpocząć konflikt, którego następstwa będą trudne do oszacowania. ■

IRAŃSKIE SZACHY

Z Marcinem Piotrowskim o sojusznikach i przeciwnikach Iranu, jego ambicjach politycznych, potencjale militarnym oraz sytuacji wewnętrznej rozmawia Tadeusz Wróbel.

Iran ma duże ambicje polityczne związane z Bliskim Wschodem. Jakie wpływy ma w regionie to szyckie państwo?

Z jednej strony duże, ale z drugiej ograniczone, gdyż wśród mieszkańców regionu dominują Arabowie wyznania sunnickiego, nastawieni zwykle antyszycko i antypersko. Jeden z generałów irańskiego Korpusu Strażników Rewolucji Islamskiej powiedział, że przyjazne Teheranowi frakcje polityczne funkcjonują w kilku państwach arabskich: Libanie, Syrii, Iraku i Jemenie, czyli tam, gdzie żyją duże społeczności szyckie. W Bahrajnie, gdzie znajduje się dowództwo amerykańskiej 5 Floty, szyici stanowią około 60–70%, ale władzę tam sprawuje, przy wsparciu Saudyjczyków, dynastia sunnicka. Z Iranem sympatyzują natomiast znacznie mniejsze społeczności w innych państwach, takich jak Kuwejt i Oman. Do tego dochodzi rząd Syrii zdominowany przez alawitów, którą to grupę wyznaniową ajatollah Chomeini z przyczyn politycznych uznał za odłam szyizmu, choć to historycznie nie jest prawdziwe. Należy pamiętać, że Syria i Jemen są pogrążone w krwawych konfliktach wewnętrznych. Reżim w tym pierwszym z państw przetrwał w dużej mierze dzięki pomocy Korpusu Strażników Rewolucji Islamskiej, który wysłał tam tysiące swoich członków i zorganizował „międzynarodówkę szyicką”. Iran zyskał również mocną pozycję w Bagdadzie po obaleniu w 2003 roku Saddama Husajna. Powstanie tzw. Państwa Islamskiego było po części reakcją na wzrost wpływów Teheranu w regionie. Największym regionalnym antagonistą Iranu pozostaje od trzech dekad

Arabia Saudyjska, której atutami są pieniądze i kontrola nad najświętszymi miejscami islamu.

Jakie są relacje Iranu z historycznym adwersarzem, Turcją?

Turcy i Irańczycy są ambitnymi narodami i nadal ze sobą rywalizują. Za rządów prezydenta Recepty Tayyipa Erdoğana nastąpiło zbliżenie Ankary z Teheranem, ale sądzę, że było to posunięcie taktyczne, które nie przetrwa w dłuższej perspektywie. Tym, co zmniejsza od dziesięcioleci napięcia turecko-irańskie, jest oczywiście sprawa Kurdów dążących do utworzenia własnego państwa. Jego powstanie oznaczałoby istotne osłabienie obu krajów.

A stosunki Iranu z innym wielkim sąsiadem – Pakistanem, gdzie mniejszość szyicka jest celem krwawych zamachów ekstremistów sunnickich? Jak je pan ocenia?

W przeszłości bywało różnie, bo Iran próbował wykorzystać pakistańskich szyitów do propagowania celów swojej rewolucji islamskiej. Jednak od kilku lat dostrzegam ocieplenie w obustronnych stosunkach. Podobnie jak Kurdowie osłabiają spór Iranu z Turcją, tak na relacje irańsko-pakistańskie wpływ ma separatyzm Beludżów, których kraina jest podzielona między oba państwa. Od 2001 roku Pakistan z Iranem łączy także wspólna niechęć do obecności wojskowej USA i NATO w Afganistanie.

Nazywany ojcem pakistańskiej bomby atomowej Abdul Qadeer Khan przekazał Irańczykom wiele kluczowych informacji dotyczących

Wskazówką, że poglądy społeczeństwa irańskiego się zmieniają, była Zielona Rewolucja, czyli masowe protesty, do których doszło po wyborach prezydenckich w 2009 roku.



MICHAŁ NIEWICZ

WŁADZE W IRANIE STARAJĄ SIĘ POKAZAĆ OBYWATELOM, ŻE ICH KRAJ JEST SILNY I ZAAWANSOWANY TECHNOLOGICZNIE. W RZECZYWISTOŚCI OWE „CUDOWNE BRONIE” OKAZUJĄ SIĘ MAKIETAMI, NIE WCHODZĄ DO PRODUKCJI

produkcji tej broni. Czy to miało wpływ na poprawę stosunków z Pakistanem?

Zapewne tak, choć szczegóły, podobnie jak w przypadku transakcji z Koreą Północną, nie są znane. Wciąż nie wiemy, co Pakistan i Khan otrzymał od Irańczyków. Dosyć prawdopodobne wydaje mi się to, że była to duża gotówka lub dostawy ropy. Khan sprzedał Koreańczykom i Irańczykom swoisty pełen pakiet: wzorce kilku modeli wirówek do wzbogacania uranu, sposobu ich montażu i obsługi, a także szczegóły konstrukcji głowicy nuklearnej. Wirówki były sprawdzone przez Pakistan przy budowie jego programu nuklearnego i produkcji uranu w latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku, głowice zaś prawdopodobnie przy okazji pakistańskich testów pod koniec lat dziewięćdziesiątych. Przy czym wzorec głowicy uranowej

Pakistan pozyskał z Chin, które przetestowały ten jej typ na pociskach balistycznych jeszcze w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Takie transfery nie mogły się, moim zdaniem, odbyć bez cichej aprobaty władz i służb specjalnych Pakistanu.

A czy chcąc odzyskać wpływy na Bliskim Wschodzie Moskwa jest zainteresowana wzmacnianiem Teheranu?

W mediach zachodnich i rosyjskich oraz wypowiedziach niektórych analityków pojawiają się spekulacje o narastającym konflikcie, ale ja nie znalazłem żadnego stwierdzenia przedstawicieli władz Federacji Rosyjskiej świadczącego o wrogości wobec Iranu. Wręcz przeciwnie, oba państwa efektywnie współpracują w Syrii. Taka kooperacja ma już długą tradycję – od 1991 roku. Jej przykładem była wojna domowa w Tadżykistanie, która wybuchła po rozpadzie ZSRR. Początkowo Rosjanie i Irańczycy wspierali różne walczące tam frakcje, ale gdy uznali, że konflikt stał się zbyt krwawy, doprowadzili w połowie lat dziewięćdziesiątych do pokoju. Nie bez wpływu na to zbliżenie Moskwy i Teheranu było pojawienie się talibów w Afganistanie. Dlatego wspólnie wspierali walczący z nimi Sojusz Północny. Ilustracją rosyjsko-irańskiego zbliżenia jest także to, że podczas konfliktu o Górski Karabach Iran stanął po stronie chrześcijańskich Ormian, a nie muzułmańskiego, ale protureckiego Azerbejdżanu. Może nie ma więc pełnego zaufania między Teheranem a Moskwą, ale obie strony obrały wspólny cel polityczny: powstrzymanie wpływów Turcji i USA na Bliskim Wschodzie i w Azji Środkowej.

Czy dla spoistości Iranu nie jest groźne, że Persowie stanowią tylko połowę ludności kraju? Poza Kurdami i Beludżami żyje tam wielomilionowa społeczność Azerów.

Najwyższy przywódca Islamskiej Republiki Iranu ajatollah Ali Chamenei ma właśnie azerskie korzenie, co pokazuje, że rządząca elita posiada zdolność absorbowania do swego grona przedstawicieli mniejszości etnicznych. Z drugiej strony, także władze w Baku prowadzą bardzo wyważoną politykę, nie lansując żadnych koncepcji pantureckich i panazerskich, bo wiedzą o sojuszu Iranu z Armenią. Nie sądzę, by skład etniczny społeczeństwa był obecnie zagrożeniem dla stabilności Iranu. Upatruję go raczej w walce, która może wybuchnąć w elicie władzy o schedę, gdy umrze, mający już 80 lat, Chamenei.

W razie konfliktu z USA nadal większość Irańczyków byłaby gotowa umrzeć za Islamską Republikę, jak w latach osiemdziesiątych podczas wojny z Irakiem?

Mam co do tego wątpliwości – mówiąc dokładniej, będą patriotami, ale nie jestem pewien, czy wszyscy chcieliby umierać za Islamską Republikę. Wskazówką, że poglądy społeczeństwa irańskiego się zmieniają, była Zielona Rewolucja, czyli masowe protesty, do których doszło po wyborach prezydenckich w 2009 roku. Demonstranci oskarżyli władze o ich



sfalszowanie na korzyść konserwatywnego kandydata, prezydenta Mahmuda Ahmadineżada. Teraz wielkim testem dla obecnie rządzących może być śmierć najwyższego przywódcy. Szansą dla reżimu będzie płynna sukcesja, ale nie jestem pewny, czy nadal jest on tak spójny, jak 30 lat temu, gdy po śmierci Chomeiniego szybko zastąpił go Chamenei. Do tego dochodzą problemy gospodarcze i zniechęcenie wielu ludzi ponowną izolacją kraju.

Izolacji nie byłoby, gdyby rządzący Iranem znormalizowali stosunki z USA.

Utrzymywanie stanu wrogości z USA oraz Izraelem jest cynicznie wykorzystywane w polityce wewnętrznej i zagranicznej. Przez wiele lat wróg zewnętrzny służył do zintegrowania społeczeństwa wokół władzy. Podobne postępowanie znamy w sąsiedztwie Polski, w Rosji. Dlatego też nie wierzę, by przy obecnym reżimie spełniły się wizje niektórych analityków o odwróceniu sojuszy, że Iran ponownie stanie się aliantem Stanów Zjednoczonych.

Jaka jest w Iranie pozycja Korpusu Strażników Rewolucji Islamskiej?

Korpus ten powstał na początku budowy teokratycznej republiki, co było wyrazem nieufności ówczesnych przywódców do przejętej armii szacha Mohammada Rezy Pahlawiego. Dlatego postanowili oni zbudować pewną ideologicznie wierną klerowi szyickiemu równoległą strukturę militarną. Owa całkowita lojalność powoduje, że pod kontrolę strażników przekazano też różne milicje i struktury paramilitarne. Częścią korpusu są Al-Kuds, czyli Siły Jerozolimy, będące połączeniem wojsk specjalnych i agencji wywiadowczej. Ich członkowie wykonują różne delikatne i niebezpieczne misje na Bliskim Wschodzie.

Korpus nie ograniczył swej aktywności do obszarów obronności i bezpieczeństwa. Przez kilkadziesiąt lat strażnicy stworzyli potęgę finansową. Pod ich kontrolą znalazły się niemal wszystkie lukratywne przedsięwzięcia gospodarcze. Szacuje się, że w ich rękach jest nawet 30–40% gospodarki kraju.

USA uznały cały Korpus za organizację terrorystyczną. Czy irański reżim jest gotowy uciec się do terroryzmu, by osiągnąć swoje cele?

Tak. Strażnicy rewolucji korzystają z zamachowców samobójców. Kult męczennika jest bardzo silny wśród szyitów, może nawet bardziej niż u przeciętnych sunnitów. Według niektórych ekspertów, działania szyickiego Hezbollahu w Libanie w latach osiemdziesiątych były wzorcem dla Al-Kaidy. Pod

IRAŃCZYCY WYZNACZYLI SOBIE CZERWONĄ LINIĘ W ESKALACJI DZIAŁAŃ PRZECIWKO USA I ICH SOJUSZNIKOM. WIEDZĄ, ŻE NIE WYGRALIBY OTWARTEJ WOJNY Z AMERYKANAMI

czas wojny iracko-irańskiej wysyłano dzieci, by swymi ciałami torowały przejścia w polach minowych. Poza tym jednak władze Iranu bywają bardzo elastyczne i potrafią wesprzeć radykalne ugrupowania, które mogłyby wydawać się im wrogiem. Wspomagają od lat działającą w Strefie Gazy sunnicką organizację Hamas, którą wcześniej sponsorowała Arabia Saudyjska.

Dlaczego Iran zamierza wejść w posiadanie broń nuklearnej?

Faktyczne zamiary Iranu co do tego nie są całkowicie jasne. Program nuklearny rozpoczął się tam prawdopodobnie około 1989 roku, gdy Irańczycy uzyskali wspomniane know-how od siatki Khana, aczkolwiek pierwsze podejście do budowy reaktorów było jeszcze za rządów szacha. Zatajenie przed Międzynarodową Agencją Energii Atomowej niemal całego programu nuklearnego wskazuje, że od początku miał on charakter wojskowy. Teheran przyznał się do istnienia programu dopiero w 2002 roku. Od tego czasu przez kilkanaście lat rozmawiał z kluczowymi państwami o jego charakterze i formach kontroli nad nim, a jednocześnie kontynuował prace badawcze i teoretyczne niezbędne do zbudowania głowicy atomowej. Porozumienie z USA i innymi mocarstwami osiągnięte w 2015 roku było kompromisem. W zamian za ograniczenie skali i możliwości programu Amerykanie zgodzili się znieść bolesne dla Irańczyków sankcje ekonomiczne. Dzięki limitom zawartym w tym porozumieniu Iran nie mógłby zbudować swojej pierwszej głowicy szybciej niż w ciągu 12 miesięcy.



Największym regionalnym antagonistą Iranu pozostaje od trzech dekad Arabia Saudyjska, której atutami są pieniądze i kontrola nad najświętszymi miejscami islamu.

Jednak prezydent Trump uznał je za niekorzystne dla USA.

Iran zareagował na to dopiero w rok po wyjściu Trumpa z umowy nuklearnej. Jest to zapowiedź wznowienia prac nad wzbogacaniem uranu do wyższego poziomu, co stanowi formę nacisku na partnerów zagranicznych: Chiny, Rosję i Europę. Iran deklaruje, że co 60 dni będzie odchodził od limitów ilościowych i jakościowych wynikających z tej umowy. Na tym etapie nie sądzę, aby chciał jednak całkowitego zerwania porozumienia z 2015 roku oraz sprowokowania Waszyngtonu do militarnego przeciwdziałania. Irańczycy raczej znają granicę, której nie mogą przekroczyć. Dlatego twierdzą, że będą podejmować działania stopniowo i wszystkie ich posunięcia będą odwracalne. Wbrew temu, co mówią, chcą zachować otwartą furtkę do nowych negocjacji z Waszyngtonem, zwłaszcza jeśli Trump nie uzyskałby reelekcji i do Białego Domu wprowadziłby się polityk Partii Demokratycznej.

A może broń nuklearna ma zniwelować przewagę konwencjonalną potencjalnego przeciwnika. Czy Iran może wzmocnić swój potencjał obronny bez atomu?

Tak, może, ale nie od razu. Potencjalnymi dostawcami nowego uzbrojenia i technologii do modernizacji irańskich sił zbrojnych są Chiny i Rosja. Jednak rezolucja Organizacji Narodów Zjednoczonych ogranicza do 2021 roku sprzedaż Iranowi najnowocześniejszych systemów o charakterze ofensywnym. Stąd kraj ten podejmuje wysiłki, aby utrzymać w stanie nadającym się do użycia uzbrojenie zachodnie, zwłaszcza amerykańskie, które było dostarczone w ogromnych ilościach w ostatnich latach panowania szacha.

Media irańskie pokazują liczne konstrukcje krajowe, twierdząc, że są bardzo nowoczesne.

W tym przypadku mamy do czynienia z propagandą na potrzeby polityki wewnętrznej. Władze starają się pokazać obywatelom, że ich kraj jest silny i zaawansowany technologicznie. W rzeczywistości owe „cudowne bronie” okazują się makietami, nie wchodzi do produkcji. Wyjątkiem od tego jest program raketowy realizowany we współpracy z Koreą Północną. Sądzę też, że Iran jest bardziej zaawansowany, niż się przyznaje, w produkcji pocisków balistycznych o dalszym zasięgu.

Skoro Iran jest słaby, to jak broniłby się w starciu z USA?

Irańczycy nie mogą rywalizować na polu technologii, skupiają się więc na działaniach asymetrycznych, co widać najlepiej na przykładzie ich sił morskich, do których wprowadzono małe jednostki nawodne i podwodne. Strażnicy rewolucji dokładnie przeanalizowali także działania amerykańskie w Iraku w 2003 roku i w Afganistanie. Po czym przeforsowali koncepcję obrony Iranu, którą nazywają doktryną mozaiki. Opiera się ona na tym, że w razie inwazji lądowej nastąpiłyby decentralizacja dowodzenia i przejście do wojny partyzanckiej. Spacyfikowanie Iranu nie byłoby łatwe.

Słuchając polityków z USA i Iranu, można odnieść wrażenie, że jesteśmy w przededniu otwartej wojny.

To początek dłuższego okresu napięć. Jeśli nie zostanie znalezione rozwiązanie dyplomatyczne amerykańsko-irańskich sporów, konflikt „szarej strefy”, z działaniami hybrydowymi obu stron na różnych polach, będzie trwał do końca obecnej kadencji prezydenta Donalda Trumpa. Nikt nie chce wojny. Myślę, że Irańczycy wyznaczyli sobie czerwoną linię w eskalacji działań przeciwko USA i ich regionalnym sojusznikom. Ich przywódcy są świadomi, że nie wygraliby otwartej wojny z Amerykanami. Wątpię też w amerykańskie przygotowania do dużego konfliktu zbrojnego i do obalenia obecnego reżimu w Iranie. Oczywiście działania służące utrzymywaniu kontrolowanego napięcia niosą ryzyko jakiegokolwiek nieprzewidywanego biegu wydarzeń czy błędnego odczytania zamiarów drugiej strony.

Tak mogło się już zdarzyć. Po zestrzeleniu przez Irańczyków amerykańskiego drona prezydent Trump początkowo zdecydował o uderzeniu odwetowym, ale ostatecznie je odwołał. Co stałoby się, gdyby rakietą trafiła w samolot patrolowy P-8 Poseidon z kilkudziesięciuosobową załogą?

Wtedy Donald Trump z powodów politycznych i wizerunkowych musiałby dokonać odwetu, a to doprowadziłoby do eskalacji konfliktu i dalszy bieg wypadków byłby już nieprzewidywalny. Na szczęście tak się nie stało. Amerykański prezydent nie uderzył po zestrzeleniu drona, ponieważ przed czekającymi go w przyszłym roku wyborami nie chce wojny, która spowodowałaby, co oczywiste, straty ludzkie po obu stronach.

Czy można uznać, że dziś USA głównie skupiają się na dalszym osłabieniu gospodarczym Iranu?

Tak, i na tym tle nie ma podziałów w ramach prezydenckiej administracji. Działania takie jak nakładanie nowych sankcji przynoszą efekt. W prowadzenie interesów w Iranie nie angażują się, z obawy przed retorsjami, firmy europejskie, bo rynek amerykański jest dla nich zbyt ważny. Bardziej aktywny jest tam biznes chiński i rosyjski, gdyż dla przedsiębiorstw z tych krajów interesy z USA mają mniejsze znaczenie. Widzę zaś podziały co do tego, czemu ma służyć polityka USA. Jedni doradcy Trumpa, jak ambasador John Bolton, chcieliby „zmiany reżimu”, z kolei większość urzędników i wojskowych USA chce doprowadzić do zmiany zachowania Iranu właśnie w kwestiach regionalnych, nuklearnych i raketowych. Przypuszczam, że prezydent Trump w wariantcie maksymalnym chciałby doprowadzić do umowy nuklearnej „lepiej od tej zawartej przez Obamę”, a w wariantcie minimalnym – uniknąć wojny przed wyborami w 2020 roku. Poza Białym Domem – w Pentagonie i wywiadzie USA jest jednak wielu doświadczonych ekspertów od Iranu, którzy widzą to wszystko w dłuższej i bardziej złożonej perspektywie niż politycy. Przypuszczam, że to oni będą mieli decydujący wpływ na kształt i samą realizację amerykańskiej polityki wobec Iranu. ■

Dr MICHAŁ ANDRZEJ PIOTROWSKI jest ekspertem Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych do spraw Iranu, wojny niekonwencjonalnej, broni nuklearnej i raketowej oraz obrony przeciwraketowej.

KURS NA FLOTĘ

Rosja coraz większą wagę przywiązuje do obecności na terenach arktycznych i podbiegunowych, postawiła więc na rozwój marynarki wojennej. Po latach zaniedbań w tej dziedzinie.

MAREK BUDZISZ

Władimir Putin w maju 2019 roku podpisał zarządzenia, na mocy których odchodzącego na emeryturę adm. Władimira Koroliewa zastąpił na stanowisku dowódcy rosyjskiej marynarki wojennej dotychczasowy dowódca rosyjskiej Floty Północnej, adm. Nikołaj Jewmienow. Powołani zostali też nowi dowódcy Floty Północnej (wiceadm. Aleksandr Mojsiejew) oraz Floty Czarnomorskiej (wiceadm. Igor Osipow). Te ruchy personalne zostały poprzedzone decyzją, w myśl której dowództwo Floty Północnej otrzyma 1 grudnia 2019 roku status odrębnej jednostki wojskowo-administracyjnej, co de facto oznacza powołanie kolejnego, piątego rosyjskiego okręgu wojskowego. Będzie on odpowiedzialny za całość spraw związanych z bezpieczeństwem na Dalekiej Północy i w Arktyce.

KIERUNEK PÓLNOC

Nominacja dla Jewmienowa nie była zaskoczeniem, z tego względu, że od momentu, kiedy objął on dowództwo Floty Północnej (kwiecień 2016 roku), odpowiadał za kluczowe projekty rosyjskiej marynarki wojennej, czyli intensywnie realizowany przez Federację Rosyjską plan rozbudowy infrastruktury wojskowej na Północy, programy związane z modernizacją floty, a także ambitny program zwiększenia obecności rosyjskich okrętów podwodnych na strategicznie ważnych akwenach.

Norweski portal The Barents Observer podał informację, że Moskwa w ostatnim czasie znacząco rozbudowuje bazy swych sił strategicznych na Półwyspie Kolskim. Na ukończeniu jest budowa

50 ogromnych bunkrów, w których, zdaniem norweskich analityków wojskowych, mogą być przechowywane nawet głowice nuklearne. Zostały zmodernizowane wszystkie znajdujące się na Dalekiej Północy, a pochodzące z czasów sowieckich, bazy i lotniska wojskowe. Planuje się też nowe inwestycje. Moskwa już buduje 13 atomowych okrętów podwodnych, a w najbliższych latach planuje rozpocząć prace nad kolejnymi 30. Wszystkie mają stacjonować na Dalekiej Północy. Już teraz, jak informował „The Washington Times”, powołując się na słowa dowodzącego amerykańskimi siłami podwodnymi adm. Andrew Lennona, aktywność rosyjskich okrętów podwodnych, szczególnie na Dalekiej Północy, jest większa niż kiedykolwiek, nawet biorąc pod uwagę czasy zimnej wojny. Zresztą jeszcze za Jewmienowa rosyjskie okręty podwodne Floty Północnej rozpoczęły regularne rejsy patrolowe pod lodami Arktyki, organizowano także manewry oraz gry taktyczno-operacyjne, w czasie których ćwiczone współdziałanie rosyjskich sił morskich, lotniczych i lądowych w realiach arktycznych. Rosyjski resort obrony ocenił je pozytywnie, co przyczyniło się do podjęcia decyzji o nadaniu Flocie Północnej samodzielności administracyjnej.

DOCISKANIE ŚRUBY

Prawdopodobnie kierownictwo rosyjskich sił zbrojnych będzie teraz dążyło do uporządkowania relacji rodzimej marynarki wojennej z zakładami zbrojeniowymi, tak aby program rozbudowy potencjału morskiego Federacji Rosyjskiej był realizowany zgodnie z przyjętymi założeniami. Tym bardziej



Z czterech zbudowanych za czasów sowieckich ciężkich krążowników rakietowych w służbie pozostaje tylko jeden – „Piotr Wielki”, który ma być niezwłocznie przekazany do remontu.

że odpowiadający za relacje z sektorem obronno-przemysłowym wicepremier Jurij Borysow już zapowiedział, że środki publiczne muszą być wydawane w sposób znacznie bardziej efektywny niż do tej pory.

Koronnym, ale nie jedynym przykładem złej współpracy między przemysłem a marynarką wojenną było zatonięcie rosyjskiego doku pływającego, w którym remontowany mógł być „Admirał Kuzniecowa”, jedyny rosyjski krążownik lotniczy. Według ostatnich szacunków podniesienie doku i niezbędne naprawy pochłoną 20 mld rubli (około 300 mln dolarów) i zostanie to wykonane najwcześniej w 2020 roku. Jeżeli ten harmonogram prac uda się zrealizować, w co wątpi większość ekspertów, to „Admirał Kuzniecowa” mógłby wrócić do służby rok później.

Inne problemy, których w ostatnich latach dowództwo rosyjskiej floty nie potrafiło rozwiązać, dotyczą uruchomienia programu modernizacji lotnictwa (realizowany jest jedynie program zakupów myśliwców typu Su-30 SM, podczas gdy brakuje alternatywy dla przestarzałych samolotów Il-38, przeznaczonych do zwalczania okrętów podwodnych, oraz maszyn Tu-142 o podobnym przeznaczeniu).

Poprzednie kierownictwo marynarki wojennej było też krytykowane za zaniedbania i opóźnienia w programie okrętów desantowych typu 11711. Marynarka potrzebuje ich co najmniej dziesięć, a trwa budowa jedynie dwóch. Niezadowolone budzi nie tylko niewielka skala tego programu, lecz także jego przewlekłość, jako że umowę na pierwszy okręt tego typu stocznia Jantar w Kaliningradzie podpisała jeszcze w 2004 roku.

Chwały rosyjskim stoczniom remontowym nie przynosi również zatonięcie głębokowodnego aparatu Łoszarik po pożarze, który wybuchł na pokładzie tej supertajnej jednostki. Przyczyną katastrofy prawdopodobnie był wybuch akumulatora litowo-jonowego, który nie miał nawet trzech lat. W 2016 roku Łoszarik przechodził remont i modernizację. Wtedy najprawdopodobniej zdecydowano się wymienić stare akumulatory zbudowane ze srebra i cynku na nowe, tańsze.

DALEKOMORSKIE ASPIRACJE

Przyspieszenie modernizacji rosyjskiej floty wojennej ma przede wszystkim na celu rozszerzenie terenu jej aktywności. Chodzi nie tylko o obecność w strategicznie istotnej (w związku z operacją syryjską) wschodniej części Morza Śródziemnego, lecz także o objęcie swym zasięgiem wód błękitnych

AKTYWNOŚĆ ROSYJSKICH OKRĘTÓW PODWODNYCH, SZCZEGÓLNIE NA DALEKIEJ PÓŁNOCY, JEST WIĘKSZA NIŻ KIEDYKOLWIEK

oceanów, co zapowiedziane zostało w przyjętej w lipcu 2015 roku rosyjskiej doktrynie morskiej.

Eksperti zwracają uwagę, że wraz ze zmianami organizacyjnymi i personalnymi w rosyjskiej marynarce wojennej pojawiły się zapowiedzi przystąpienia do budowy własnych lotniskowców. W maju 2019 roku Jurij Borysow poinformował, że Rosja w najbliższym czasie rozpocznie budowę nowego lotni-

skowca. Prace konstrukcyjno-projektowe nad jednostką tego typu, o wyporności nie mniejszej niż 70 tys. t, mają rozpocząć się w 2023 roku. Kluczowe dla realizacji planów modernizacji uzbrojenia rosyjskiej marynarki wojennej będzie też tempo budowy 12 fregat, według zmodernizowanego projektu 22350 M. Pierwszy okręt z tej serii ma być oddany do eksploatacji do końca 2027 roku, a dokumentacja techniczno-konstrukcyjna ma być gotowa do końca 2019. Każda z tych jednostek o wyporności 7 tys. t ma być uzbrojona w 48 rakiet typu Cyrkon, Kalibr oraz Onyks, a także do 100 rakiet przeciwlotniczych systemu Poliment-Riedut.

W pierwszej kolejności planuje się jednak przyspieszenie przedłużającej się budowy okrętów zleconych przed kilku laty, takich jak korweto-fregata Dierzkij. Krytykowane jest to, że ukończenie budowy okrętu o wyporności 3,4 tys. t ma nastąpić w maju 2021 roku, czyli budowa niewielkiej jednostki zajmie pięć lat. Newralgiczne jest też dotrzymanie terminu zakończenia modernizacji ciężkiego krążownika rakietowego „Admirał Nachimow”, który ma być przekazany rosyjskiej marynarce wojennej w połowie 2021 roku. Z czterech zbudowanych za czasów sowieckich krążowników tego typu w służbie pozostaje tylko jeden – „Piotr Wielki”, który ma być niezwłocznie przekazany do remontu, jak tylko do służby wróci „Admirał Nachimow”. Rekordzistą opóźnień w budowie jest natomiast przekazany do eksploatacji w kwietniu 2019 roku atomowy okręt podwodny „Biełgorod”, który ma być wyposażony w najnowsze rosyjskie torpedy o napędzie atomowym Posejdon. Jego budowę rozpoczęto 27 lat temu.

Do 2027 roku, zgodnie z planami władz, rosyjska marynarka wojenna ma wprowadzić do służby 180 okrętów różnych klas i typów. W efekcie ma być w stanie przeprowadzać wszystkie typy operacji morskich. ■

MAREK BUDZISZ jest dziennikarzem i analitykiem specjalizującym się w tematyce związanej z Rosją i państwami postsowieckimi.



GDY SŁUŻBY NIE POTRAFIĄ ZNA- LEŹĆ SPRAWCÓW PRZESTĘPSTW, PO PROSTU PODRZUCA- JĄ RZEKOME DOWODY

Tak było w przypadku niezależnego dziennikarza Iwana Gołunowa, o którym rozpisywała się w ostatnich tygodniach światowa prasa.

Obława na wilki

Po rozbiciu struktur Państwa Islamskiego w Iraku i Syrii wyzwaniem pozostają rozproszone ugrupowania islamistyczne działające w różnych regionach świata, a szczególnie na północnym Kaukazie.

ROBERT SENDEK

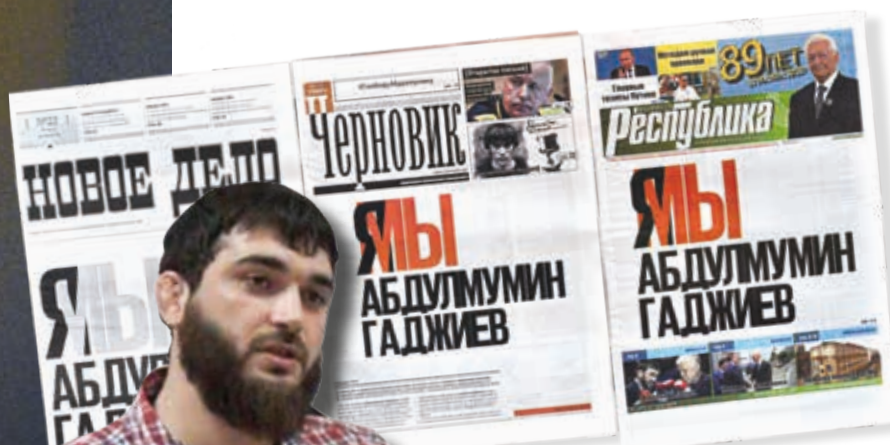
Abdulmumina Gadżijewa rosyjskie służby bezpieczeństwa aresztowały 14 czerwca 2019 roku. Zarzut: wspieranie terroryzmu. Według prokuratury Gadżijew przekazywał pieniądze na rzecz salafickiego kaznodziei Israila Achmednabijewa, znanego jako Abu Umar Sasitlinski. Ten ostatni jest znany na Kaukazie ze swej działalności charytatywnej. Zakładał sierocińce, organizował szkoły religijne, prowadził zbiórki funduszy dla syryjskich uchodźców we wschodniej Turcji. Służby rosyjskie szybko uznały, że za taką działalnością kryje się coś więcej: Sasitlinski miał – ich zdaniem – prowadzić szeroko zakrojoną rekrutację ochotników z Kaukazu Północnego do walki po stronie Państwa Islamskiego (Islamic State – IS). Uznano, że organizuje obozy szkoleniowe dla ochotników oraz tworzy kanały przerzutowe dżihadystów do Syrii. Zanim wszczęto postępowanie w tej sprawie, Sasitlinski uciekł do Turcji, stamtąd zaś po pewnym czasie deportowano go do Libanu. Jemu właśnie miał przekazywać pieniądze aresztowany w czerwcu Gadżijew.

EKSPORT TERRORYZMU

Sprawa Gadżijewa toczy się w Machaczkale. To stolica Dagestanu, jednej z autonomicznych republik Regionu Północnokaukaskiego Federacji Rosyjskiej.

To prawdziwy konglomerat narodów, języków, kultur i religii. Dominuje tam islam sunnicki, choć są również szyici, jest wielu prawosławnych, ale i ludzi niereligijnych.

Północny Kaukaz należy do głównych na terenie Rosji obszarów działania ugrupowań islamistycznych powiązanych z Państwem Islamskim. Działa tu regionalna gałąź IS, znana jako Prowincja Kaukaz, utworzona na przełomie lat 2014 i 2015, gdy przywódcy lokalnych grup islamistycznych złożyli przysięgę na wierność samowznanemu kalifowi Abu Bakrowi al-Baghdadiemu. Cały region jest szczególnie podatny na propagandę islamistyczną. Częściowo jest to konsekwencja trudnej historii najnowszej, w tym przede wszystkim dwu wojen czeczeńskich, częściowo zaś wynik specyfiki regionu. Wysokie bezrobocie, powszechna korupcja, bieda i brak perspektyw powodują, że młodzi ludzie albo uciekają, albo popadają w marazm, albo znajdują sobie pociechę w niekoniecznie legalnych działaniach. Dla wielu spośród nich religia wydaje się najlepszym z możliwych rozwiązań, oferuje bowiem poczucie sensu życia. Stąd już blisko do radykalnych rozwiązań, podsuwanych przez islamistów. Komentatorzy, jak np. Alichan Mamsurow, zwracają uwagę na to, że zradyzalizowanej młodzieży z Kaukazu nie odstraszyla nawet brutalność, z jaką IS prowadziło wojnę



Okładki pierwszych stron trzech głównych gazet Dagestanu, na których znajduje się ten sam tytuł: „Jestem / Jesteśmy Abdulmumin Gadżijew”. W ten sposób dziennikarze z południowej Rosji solidarnie protestowali przeciwko aresztowaniu redaktora tygodnika „Czernowik” („Brudnopis”) oskarżonego o finansowanie terroryzmu. Aresztowanie Gadżijewa dziennikarze wpisują w kampanię uciszenia niezależnych mediów przez rosyjskie służby bezpieczeństwa. Machaczkała, 21 czerwca 2019 roku

SIERGIEJ RASULOW / AP / EAST NEWS

AP / DMITRY SEREBRYAKO / EAST NEWS

w Syrii i Iraku. Mamsurow wyjaśniał to tak: „Część młodzieży usprawiedliwia takie metody działania IS, uważając, że w walce z niewiernymi należy korzystać ze wszystkich sposobów, jakimi niewierni walczą z muzułmanami. W charakterze przykładu przytaczają oni tłące się konflikty w państwach Bliskiego Wschodu”. Efekt był porażający: Północny Kaukaz stał się dla ugrupowań islamistycznych obszarem bardziej perspektywicznym niż np. zamieszany również przez ludność wyznającą islam, lecz o wiele spokojniejszy Tatarstan.

NIEPOKOJĄCE LICZBY

Międzynarodowe Centrum Badań nad Radykalizmem i Przemocą Polityczną (ICSR) w Londynie w raporcie opublikowanym w 2015 roku – a więc w szczytowym okresie istnienia Państwa Islamskiego – szacowało, iż spośród około 20 tys. bojowników działających wówczas na terenie Syrii i Iraku, z terenów Federacji Rosyjskiej pochodziło 800–1500 osób. Rosyjskie szacunki z tego samego okresu mówiły o 1–2 tys. osób. Dane z kolejnych miesięcy pokazują gwałtowny wzrost w szeregach IS liczby osób z Rosji. Było to najpewniej pokłosie złożenia przez północnokaukaskich islamistów przysięgi wierności IS, najprawdopodobniej miało też związek z rozpoczęciem przez Rosję w tym czasie działań wojennych w Syrii. W październiku 2015 roku prezydent Władimir Putin ogłosił, że po stronie Państwa Islamskiego walczy od 5 do 7 tys. bojowników wywodzących się z krajów Wspólnoty Niepodległych Państw, a więc z Rosji i państw środkowoazjatyckich: Kazachstanu, Kirgistanu, Uzbekistanu, Tadżykistanu i Turkmenistanu. Późniejsze szacunki podawane przez władze rosyjskie były jeszcze wyższe. W lutym 2017 roku Władimir Putin mówił, że jest to około 4 tys. bojowników z Rosji i 5 tys. z pozostałych krajów WNP.

Większość bojowników, którzy dołączyli do IS z terenów Federacji Rosyjskiej, pochodziła z Kaukazu Północnego, szczególnie z Czeczenii i Dagestanu. Na tak ogromne zagrożenie władze nie mogły pozostać obojętne. Rosyjski sąd najwyższy uznał IS za organizację terrorystyczną i zakazał jej działalności w całym państwie. Prezydent Putin, informując opinię publiczną o dużej liczbie rosyjskich obywateli walczących po stronie IS, zapowiedział jesienią 2015 roku: „Nie możemy dopuścić do tego, żeby bojownicy uzyskane w Syrii doświadczenie mogli zastosować u nas w domu”. Służby rozpoczęły zmasowane akcje, których celem było rozbicie istniejących grup islamistycznych. Dość szybko pojawiły się efekty. Podjęta przez władze akcja antyterrorystyczna oraz tocząca się w Syrii wojna spowodowały, że na Północnym Kaukazie doszło do paradoksalnej sytuacji. Achmet Jarlykapow, rosyjski islamoznawca i kaukazolog z Moskiewskiego Państwowego Instytutu Stosunków Międzynarodowych, opisywał ją w 2017 roku tak: „Obserwujemy poważne przeorganizowanie struktur podziemnych na Kaukazie Północnym. Dotychczasowe podziemie tworzone było przez ludzi mających doświadczenie bojowe, natomiast trwający 6 lat,

PÓŁNOCNY KAUKAZ NALEŻY DO GŁÓW- NYCH NA TERENIE RO- SJI OBSZARÓW DZIA- ŁANIA UGRUPOWAŃ POWIĄZANYCH Z PAŃ- STWEM ISLAMSKIM

od 2011 do 2017 roku, exodus bojowników na Bliski Wschód dosłownie wysłał z Północnego Kaukazu wszystkich, którzy mieli praktykę w nielegalnej działalności. Obszar ten właściwie pozostał bez ludzi, którzy mieli bliskie związki z Bliskim Wschodem nie tylko pod względem finansowym, ale także organizacyjnym”. Po upadku IS w ogromnej masie pozostali oni na terenie Syrii i Iraku, gdzie albo trafili do więzień, albo się ukrywają.

Efektem był znaczny spadek aktywności grup islamistycznych na północnym Kaukazie. Z czasem zaczęło dochodzić do sytuacji, które wydawały się coraz bardziej absurdalne: otóż lokalne struktury Państwa Islamskiego, chcąc udowodnić swoje istnienie i aktywność, zaczęły się przyznawać do akcji terrorystycznych podejmowanych najprawdopodobniej przez tzw. samotne wilki, czyli przez osoby pozostające poza strukturami, ale identyfikujące się z ideologią IS. Do takiego przypadku doszło na początku 2019 roku: 29 stycznia niejaki Mansur Bieltojew ostrzelał z karabinu posterunek policji w miejscowości Siernowodsk w Czeczenii. Terrorysta został zabity przez służby. Do ataku przyznała się lokalna komórka IS, jednak w jej komunikacie pojawiły się nieścisłości. Obserwatorzy uznali w związku z tym, że islamiści próbują wykazać swą aktywność poprzez podpisywanie się pod akcjami, z którymi nie mieli nic wspólnego. Po to tylko, by przypomnieć o swym istnieniu.

NOWY GOŁUNOW?

Najbardziej osobliwe w tej sytuacji jest to, że podobne metody mogą stosować rosyjskie służby. Śledztwo przeprowadzone przez dziennikarza portalu Caucasus Times pokazuje, że w sprawie Bieltojewa jest wiele wątpliwości dotyczących przebiegu zdarzenia podanego przez służby. Niezależna prasa i organizacje pozarządowe alarmują, że na Kaukazie Północnym dochodzi do systematycznego łamania praw człowieka. Dziennikarze rosyjskojęzycznego działu Radia Wolna Europa opublikowali schemat typowego działania służb w regionie – gdy nie potrafią znaleźć sprawców przestępstw, podrzucają „dowody” (np. broń) wytypowanym ludziom, po czym oskarżają ich o działalność terrorystyczną. Robią zatem to samo, co służby w całym kraju, podrzucając niewygodnym ludziom narkotyki. Tak było w przypadku niezależnego dziennikarza Iwana Gołunowa, o którym rozpisywała się w ostatnio światowa prasa.

Tamtejsi dziennikarze przekonują, że schemat ten dotyczył wspomnianego Abdulmumina Gadżijewa: służby o poważne przestępstwo oskarżyły niewinnego człowieka. Owszem, Gadżijew pisał dla „Brudnopisu” o islamie, w 2008 roku opublikował tekst pt. „Intelektualny dżihad”. Zaznaczył w nim jednak, że w takim regionie, jak Dagestan każdy człowiek powinien za wszelką cenę zdobywać wykształcenie, aby za pośrednictwem wiedzy – a nie oręża – zmieniać świat. W obronie Gadżijewa stanęli dziennikarze prasy regionalnej. Sąd w Machaczkałe pozostał nieubłagany: Gadżijewowi grozi do 20 lat więzienia. ■



MICHAŁ ZIELIŃSKI

Sporne wzgórza

W Według syryjskich mediów rządowych, pod koniec lipca Siły Obronne Izraela ostrzelały leżącą w pobliżu Wzgórz Golan bazę Tell al-Hara. Celem ataku miały być wspierane przez Iran milicje (m.in. Hezbollah), które miały tam stacjonować. Izraelskie rakiety najprawdopodobniej spadły także w sąsiedniej prowincji Al-Kunajtira. Nie pierwszy raz w tym roku Tel Awiw decyduje się na taki ruch. Na początku lipca w wyniku połączonej operacji izraelskiego lotnictwa i marynarki zniszczono obiekty na przedmieściach Damaszku oraz Homs. Kompleksy te służyły jako magazyny Hezbollahu oraz Korpusu Strażników Rewolucji Islamskiej (niestety, według Syryjskiego Obserwatorium Praw Człowieka, w ataku zginęli także cywile, w tym dzieci).

W ciągu ostatnich lat podobne naloty przeprowadzono setki razy. Izrael nie potwierdza większości z nich, ale otwarcie przyznaje, że największym zagrożeniem dla jego bezpieczeństwa jest Iran i jego najbliżsi sojusznicy. Obawy te mają uzasadnienie. Podczas wojny w Syrii Teheran otwarcie wspierał wojska Baszszara al-Asada, m.in. oddziałami Ghods oraz Hezbollahu. Wraz z kolejnymi militarnymi sukcesami stały się one stałym elementem sił reżimu i nic nie wskazuje na to, żeby w przyszłości się to zmieniło. Wręcz przeciwnie, coraz częściej mówi się o tym, że po opanowaniu prowincji Idlib (ostatni bastion fundamentalistów i opozycjonistów w Syrii) uwaga Damaszku skoncentruje się na odzyskaniu Wzgórz Golan.

U podnóża tego terytorium leży zarówno Damaszek, jak i znaczna część Izraela, dlatego jego opanowanie zapewnia wyjątkowo korzystną pozycję ofensywną. Zarazem do tego regionu przylega Jezioro Tyberiadzkie, które wraz z rzeką Jordan stanowią główne źródło wody dla Izraela. Właśnie z tych powodów konflikt o Wzgórza Golan toczy się od ponad pół wieku. Do 1967 roku były one częścią terytorium Syrii. W wyniku nieudanej ofensywy państw arabskich Izrael zdołał przejąć nad nimi kontrolę, a sześć lat później utrzymał ją podczas wojny Jom Kipur. W 1981 roku Tel Awiw zaanektował region, ale ta decyzja nie została uznana przez Organizację Narodów Zjednoczonych. Rozpoczął się żmudny proces negocjacji, a izraelska okupacja bardzo szybko przerodziła się w stan status quo.

Istotną zmianę przyniosła dopiero tegoroczna deklaracja Donalda Trumpa, który uznał Wzgórza Golan za przynależne do Izraela. Decyzja ta stoi w sprzeczności z rezolucją Rady Bezpieczeństwa ONZ i może stanowić pretekst dla innych państw, także spoza regionu, do agresywnych działań. Wywołała również sprzeciw Damaszku, który domaga się zwrócenia utraconego terytorium. Żądania te wspierają przywódca Hezbollahu Hasan Nasr Allah oraz politycy w Teheranie, którzy zagrozili, że w każdej chwili mogą zwrócić Izrael z ziemią. Podobna retoryka wybrzmiewa od lat, ale Tel Awiw nie zamierza jej bagatelizować. Jest pewne, że w niedalekiej przyszłości zostaną przeprowadzone kolejne uderzenia na cele znajdujące się w Syrii. Nie należy się także spodziewać ustąpienia Iranu, który z pomocą Korpusu Strażników Rewolucji Islamskiej i Hezbollahu będzie nękał izraelskie pogranicze.

MICHAŁ ZIELIŃSKI jest dziennikarzem i korespondentem zajmującym się problematyką społeczną Bliskiego Wschodu oraz państw postsowieckich.



Wojsko na narkofroncie

Szacuje się, że od początku antynarkotykowej wojny w Meksyku zginęło ponad 200 tys. osób. Zapowiada się, że rok 2019 będzie rekordowy w statystyce ofiar. Mimo to nowy prezydent kraju zapowiedział koniec zbrojnej kampanii i początek ery pokoju.

ROBERT CZULDA

Porwania, strzelaniny, tortury, egzekucje to codzienność wielu części Meksyku – kraju, w którym od 2006 roku zginęło około 35 tys. osób, często przypadkowych ofiar. Statystyki są zatrważające – w 2018 roku zanotowano wzrost liczby morderstw aż o 33%, do poziomu ponad 33 tys., co jest najwyższym wskaźnikiem od 1997 roku, kiedy zaczęto prowadzić takie statystyki. Wówczas drugi rok z rzędu pobito niechlubny rekord. Ten jednak zapewne nie utrzyma się długo, bo według oficjalnych statystyk w pierwszych trzech miesiącach 2019 roku liczba morderstw wzrosła o 9,6%. W tym okresie w wyniku narko-wojny życie straciło niemal 8,5 tys. osób! Najwięcej zginęło w centralnym stanie Guanajuato, gdzie o terytorium walczą dwa kartele: Jalisco New Generation oraz Santa Rosa de Lima. W tym jednym stanie, liczącym około 6 mln mieszkańców, w pierwszym kwartale bieżącego roku zanotowano niemal tysiąc morderstw. Dla porównania w całej Polsce w 2018 roku doszło do 1,3 tys. zabójstw.

SPIRALA PRZEMOCY

Chociaż walka z handlarzami narkotyków w Meksyku trwa od dawna, przełomowy był rok 2006, kiedy ówczesny prezydent Felipe Calderón wysłał 6,5 tys. żołnierzy do stanu Michoacán, by wsparli policję. Pierwotnie planowano, że będzie to działanie tymczasowe, jednak wojsko szybko zastąpiło policję – słabą i skorumpowaną. Żołnierze, szczególnie meksykańska piechota morska (Marina),

wzięli na siebie przeszukiwania i zatrzymywania. Największym problemem jest to, że wielu wojskowych boi się walczyć z kartelami, a inni dobrowolnie przechodzą na drugą stronę. Ci odważni bardzo często giną. Szacuje się, że w latach 2006–2018 zdezerterowało aż 56 tys. żołnierzy. Według innych źródeł w latach 1999–2007 było ich 120 tys., w tym 99% szeregowych.

Walka nie przyniosła przełomu. Chociaż w starciach ginie wielu przestępców, a ich przywódcy albo są zabijani, albo aresztowani, na ich miejsce pojawiają się nowi. Liczba karteli i gangów rośnie. Przykładem jest wspomniany gang z Jalisco, który pierwotnie podlegał grupie Sinaloa sławetnego Joaquína Guzmána Loery (El Chapo). Grupa z Jalisco powstała w 2009 roku i po dekadzie stała się najgroźniejszym kartelem narkotykowym w Meksyku. Wprawdzie El Chapo najprawdopodobniej spędzi resztę życia w amerykańskim więzieniu, ale jego kartel nie upadł i z powodzeniem ciągle przemycza do Stanów Zjednoczonych narkotyki. „2,5-miesięczny proces El Chapo stanowi oszałamiające świadectwo korupcji na niemal każdym poziomie meksykańskiej władzy – od policyjnych i wojskowych dowódców, przez lokalnych i stanowych urzędników, kończąc na byłych prezydentach, którzy kategorycznie odpierają takie oskarżenia”, napisał na stronie CNN na temat procesu najsłynniejszego szefa kartelu Ray Sanchez. Gangsterzy mają przewagę finansową oraz wyróżniają się brutalnością i zuchwałością. W 2015 roku zniszczyli nawet granatnikiem wojskowy śmigłowiec EC725. Zginęło wówczas sześciu żołnierzy.

Likwidacja 134 t marihuany przejętej w czasie jednej z operacji przeciwko kartelowi narkotykowemu na terenie meksykańskiej bazy wojskowej Tijuana

JORGE DAN LOPEZ / EAST NEWS



Prezydent Andres Manuel López Obrador stara się przeciwdziałać problemowi, ale podobnie jak jego poprzednicy, nie ma przekonującej wizji. Pod koniec stycznia 2019 roku stwierdził, że wojna z handlarzami się skończyła, a celem numer jeden dla wojska nie będzie już próba zatrzymania przywódców karteli. To oczywiste zaklinanie rzeczywistości. Zaledwie dzień później wysłano dodatkowe siły wojskowe do Tijuany, gdzie w 2018 roku padł niechlubny rekord – 2,5 tys. zabitych. Nieco później skierowano do Ciudad Juárez – jednego z frontów narkowej – dodatkowych 400 żołnierzy i 200 policjantów federalnych. Była to reakcja na 105 morderstw w styczniu. W 2018 roku zwiększono obecność żandarmerii wojskowej w stanie Guanajuato, gdzie obecnie o bezpieczeństwo, bez sukcesów, stara się 13 tys. funkcjonariuszy, w tym 4 tys. policjantów stanowych. W stanie tym w 2018 roku życie straciło ponad 60 policjantów.

W GWARDII NADZIEJA

Zasadniczym i długofalowym celem jest demilitaryzacja konfliktu i odesłanie żołnierzy z powrotem do baraków. Prezydent zapowiedział, że poprowadzi Meksyk do czwartej transformacji państwa i narodu w ich historii, a więc po niepodległości w 1810 roku, gruntownych reformach ówczesnego prezydenta Benita Juáreza w latach 1854–1857 i rewolucji meksykańskiej z lat 1910–1920. Obrador od początku krytykuje militarny charakter antynarkotykowych działań swych poprzedników, ale jednocześnie postępuje jak oni. Tłu-

maczy się tym, że w Meksyku jest zaledwie 40 tys. policjantów federalnych, co sprawia, że dalsza obecność wojska na ulicach – niezależnie od politycznych obietnic – jest niezbędna.

Kluczowa okazała się decyzja meksykańskiego sądu, który w listopadzie 2018 roku orzekł, że ustawa o bezpieczeństwie wewnętrznym z grudnia 2017 roku, ustalająca prawne ramy zastąpienia cywilnych sił policyjnych wojskiem, jest niekonstytucyjna. Zakłada się, że w nowej strategii odbudowy stabilności wewnętrznej Meksyku rolę kluczową odegra tworzona właśnie formacja Guardia Nacional. Ma ona mieć w pierwszej fazie około 60 tys. funkcjonariuszy, z czego część ze struktur policji federalnej (18 tys.). Kolejni trafiają do niej z różnych formacji żandarmerijnych (35 tys.) oraz z piechoty morskiej (8 tys.). Według zapowiedzi do 2023 roku formacja ma mieć 150 tys. funkcjonariuszy. Do końca tego roku jej stan osobowy ma wynieść 82 tysiące. Do głównych zadań będzie należało przeciwdziałanie takim przestępstwom, jak wymuszenia, napady, porwania i handel ludźmi.

Obecnie Meksyk prowadzi prace nad budową 87 baz dla gwardii na terenie całego kraju. Pierwotny plan zakładał, że Guardia Nacional miała być formacją podporządkowaną wojsku, a cywilni rekruci przechodziliby szkolenia w wojskowych koszarach. Ostatecznie jednak meksykański parlament w lutym 2019 roku przyjął plan prezydenta Obradora, ale pod warunkiem, że Guardia Nacional znajdzie się pod cywilną kontrolą. Niemniej jednak na czele formacji ma stać wojskowy. Siły zbrojne zajmą się również szkoleniem. ■



Prezydent ANDRES MANUEL LÓPEZ OBRADOR stara się przeciwdziałać narkobiznesowi, ale podobnie jak poprzednicy nie ma jasnej i przekonującej wizji, jak tego dokonać.

Śmiertelne żniwo

Meksykańscy gangsterzy przemycają do Stanów Zjednoczonych metamfetaminę, marihuanę, kokainę, heroinę i jej dużo silniejszy substytut – fentanyl.

Popularne są twarde narkotyki, bo legalizacja marihuany w niektórych stanach USA zmniejszyła zaintereso-

sowanie karteli tym towarem. W zdecydowanej większości wypadków narkotyki są przemycane przez punkty graniczne, a nie przez zieloną granicę. Zdaniem krytyków Donalda Trumpa, pomysł budowy muru na granicy amerykańsko-meksykańskiej nie ma tym samym racjonalnych podstaw. Amerykanie są

uważani jednocześnie za sprawców problemu – to oni generują olbrzymi popyt – ale również ofiarę. Według amerykań-

skich danych, w 2016 roku z powodu przedawkowania zmarło w USA 64 tys. osób, co oznacza wzrost rzędu 21% w po-

równaniu z rokiem 2015. W 2017 roku ofiar było już 70 tys. Jak zauważa „The New York Times”, „zanotowany ostatnio wzrost zgonów narkotykowych jest tak wysoki, że doszło do skrócenia średniej długości życia w Ameryce – to sytuacja bez precedensu od czasu II wojny światowej”. ■



Narkotykowy boss Joaquín Guzmán Loery (El Chapo) prawdopodobnie spędzi resztę życia w amerykańskim więzieniu. Mimo aresztowania jego kartel wciąż przemycza do Stanów Zjednoczonych narkotyki.

Rysa na Sojuszu



TRZY PYTANIA DO

Karol Wasilewski

Dlaczego Turcja zdecydowała się na zakup rosyjskiego raketowego systemu obrony powietrznej S-400?

Turcja od dawna deklaruje chęć posiadania własnego systemu obrony przeciwlotniczej i przeciw-raketowej. Z jednej strony jest to związane z zagrożeniem w regionie – niepokoją ją zwłaszcza arsenały Iranu, Syrii i Armenii – a z drugiej, z planami rozwoju rodzimego przemysłu zbrojeniowego – Turcy chcą, aby do 2053 roku był on samowystarczalny. To m.in. dlatego w przetargach przywiązują dużą wagę do transferu technologii i właśnie z tego powodu mieli się zdecydować na zakup rosyjskiego systemu. Twierdzili, że ta oferta – w przeciwieństwie do propozycji np. USA – spełniała to kryterium. Inne atuty to cena i termin realizacji. Nic nie wskazuje jednak na to, aby zakup S-400 wiązał się z przełomowym transferem technologii. System nie będzie też podłączony do infrastruktury Sojuszu Północnoatlantyckiego, co osłabi jego efektywność w systemie obronie przeciwraketowej.

Jakie mogą być konsekwencje tego zakupu?

Amerykanie nie sprzedadzą Turcji F-35 i usuną ją z konsorcjum, które produkuje ten myśliwiec. Prawdopodobne jest również nałożenie sankcji na podstawie ustawy o przeciwdziałaniu przeciwnikom Ameryki poprzez sankcje. Choć prezydent Donald Trump wydaje się temu niechętny, taki krok cieszy się silnym, dwupartyjnym poparciem w Kongresie. Konsekwencje będą uzależnione od zestawu nałożonych sankcji – mogą być one łagodne, ale mogą też zachwiać tureckim przemysłem zbrojeniowym i gospodarką. Silniejsza presja USA mogłaby polegać na dalszym ograniczaniu współpracy wojskowej z Turcją, np. odmowie serwisowania zakupionego dotychczas uzbrojenia i nakłanianiu sojuszników z NATO, aby postąpili podobnie. USA mogłyby również zdecydować się na reorganizację swojej obecności wojskowej na Bliskim Wschodzie i we wschodniej części base-

nu Morza Śródziemnego, np. zacieśniając kosztami Turcji współpracę z Grecją. Świadczą o tym m.in. wsparcie dla kształtującego się sojuszu między Izraelem, Grecją i Cyprzem czy propozycje zniesienia embarga na broń dla tego ostatniego państwa. To w efekcie oznaczałoby koniec sojuszu turecko-amerykańskiego.

Czy zakup rakiet S-400 wpłynie negatywnie na zaangażowanie Turcji w NATO?

Amerykanie obawiają się, że dzięki temu, że w Turcji znajdzie się S-400, Rosjanie wejdą w posiadanie informacji na temat F-35. I, jak widać, ten niepokój jest silny, skoro zdecydowali się na postawienie Turcji ultimatum: albo S-400, albo F-35. Z moich rozmów z zachodnimi dyplomatami i ekspertami wynika, że te obawy podzielają również inne państwa sojusznicze, które myślą o zakupie F-35.

Jeśli chodzi o NATO, podstawowym problemem jest to, że transakcja osłabia efektywność polityki odstraszania Rosji i już teraz wywołuje napięcia wewnątrz wspólnoty transatlantyckiej. Szersze konsekwencje będą uzależnione od rozwoju sytuacji. Napięcia wewnątrz Sojuszu mogą wzrosnąć m.in. wskutek nadmiernej presji Amerykanów na Turcję, której będą się sprzeciwiać mniej konfrontacyjnie nastawieni sojusznicy, np. Niemcy. Na pewno osłabi się zaangażowanie Ankary w Sojusz. Pytanie, czy pogorszenie relacji turecko-amerykańskich nie doprowadzi ostatecznie do wycofania się Turcji z NATO. Jeszcze niedawno odpowiedzielibyśmy, że nie, bo NATO jest dla niej gwarantem bezpieczeństwa. Dziś nie jest to już takie pewne. ■

Dr Karol Wasilewski jest kierownikiem programu Bliski Wschód i Afryka w Polskim Instytucie Spraw Międzynarodowych.

Rozmawiała Małgorzata Schwarzgruber.

WIELKA
BRYTANIA,
SZWECJA



PARTNER Z PÓŁNOCY

Do brytyjskiego programu budowy myśliwca szóstej generacji dołączyli Szwedzi.

W połowie lipca 2019 roku podpisano dokumenty w sprawie przystąpienia Szwecji do brytyjskiego programu budowy nowego myśliwca. Jest to pierwszy zagraniczny partner, który może pomóc Brytyjczykom w zrealizowaniu ambitnego planu, jakim jest opracowanie i wprowadzenie do służby samolotu myśliwskiego szóstej generacji. „To szansa na strategiczne partnerstwo między naszymi krajami dla promowania badań i rozwoju technologii”, skomentował podpisanie porozumienia szef szwedzkiego ministerstwa obrony Peter Hultqvist.

Latem 2018 roku brytyjski minister obrony Gavin Williamson zapowiedział podjęcie przez przemysł obronny prac nad projektem samolotu myśliwskiego kolejnej generacji. W programie „Tempest”, nadzorowanym przez brytyjski resort obrony, biorą już udział przedsiębiorstwa zbrojeniowe BAE Systems, Rolls-Royce, włoska firma Leonardo oraz europejski koncern MBDA. Teraz dołączy do tego grona szwedzki SAAB, mający duże doświadczenie w branży lotniczej. Brytyjczycy przewidują, że w kolejnych latach programem zainteresują się rządy innych państw, mówi się w tym kontekście np. o Indiach. ROB



UKRAINA

Wycofanymi ze służby okrętami polskiej marynarki wojennej „Metalowiec” i „Rolnik” jest zainteresowana ukraińska marynarka. Ukraińcy zamierzają doprowadzić je do użytku i wprowadzić do służby. Tamtejsza marynarka miała kilka okrętów tego typu, ale część została już wycofana, a część przejęli Rosjanie po zajęciu Krymu w 2014 roku.



KOREA PÓŁNOCNA

REŻIM SIĘ ZBROI

Północnokoreańska agencja informacyjna (Korean Central News Agency – KCNA) poinformowała o ukończeniu budowy nowego okrętu podwodnego. Szczegóły nie są znane, wiadomo tylko, że jest on większy i nowocześniejszy od dotychczas używanych w marynarce północnokoreańskiej. Przypuszcza się, że powstanie tej jednostki może mieć związek z podejmowanymi przez reżim Kim Dzong Una próbami opracowania rakietowych pocisków balistycznych wyrzucanych z pokładów okrętów podwodnych. ■



FRANCJA

TO NIE JEST FIKCJA

Zatrudniono twórców literatury science fiction do prognozowania zagrożeń.

Armia francuska tworzy niewielką komórkę pod nazwą Czerwona Drużyna (Équipe rouge), w której skład wejdą twórcy literatury science fiction, mający wspierać strategów wojskowych w przewidywaniu za-

grożeń dla bezpieczeństwa narodowego kraju, m.in. związanych z wykorzystaniem najnowszych technologii przez organizacje terrorystyczne. Szczególnie ważne będą prognozy dotyczące zagrożeń w sferze cyber-



AUSTRALIA

Manewry na Antypodach

Największe amerykańsko-australijskie ćwiczenia w historii.

Talisman Saber” są organizowane regularnie co dwa lata, począwszy od 2005 roku. Tegoroczne ćwiczenia były największe w historii: brało w nich udział ponad 34 tys. żołnierzy z USA, Australii oraz kilku innych krajów. Na zaproszenie rządu Australii uczestniczyły w nich również jednostki z Wiel-

kiej Brytanii, Nowej Zelandii, Kanady i Japonii. Swoich obserwatorów wysłały Indie i Korea Południowa.

Manewry prowadzono głównie na wodach i w rejonie zatoki Shoalwater u północno-wschodnich wybrzeży Australii oraz na Morzu Koralowym.

Uczestniczyło w nich 17 okrętów repre-

zentujących marynarki wojenne kilku krajów. „Ćwiczenia te są najważniejszym znakiem współpracy wojskowej, odzwierciedlającym siłę sojuszu między Australią a Stanami Zjednoczonymi”, stwierdziła szefowa australijskiego ministerstwa obrony Linda Reynolds. SEND

bezpieczeństwa kraju, a także możliwego ryzyka, związanego np. z zastosowaniem sztucznej inteligencji.

Bruno Tertrais z francuskiego think tanku Fundacja na rzecz Badań Strategicznych wyjaśnił, że członkowie tego zespołu mają myśleć w sposób bardziej kreatywny niż wojskowi oraz podejmować wyzwania „formułowane poza standardowymi procedurami biurowymi”. Wskazał również, że podobną inicjatywę podjęły Stany Zjednoczone po 11 września 2001 roku. SR

NIGER

Atak islamistów

Osiemnastu nigerskich żołnierzy zginęło w przeprowadzonym przez bojówki islamistyczne ataku na bazę wojskową w Inates, położoną niedaleko granicy z Mali (północno-zachodnia Afryka).

Czterech kolejnych uważa się za zaginionych. „Atak zaczął się od wybuchu dwóch samochodów pułapek przy wjeździe do bazy, potem terroryści rozpoczęli ostrzał karabinowy”, poinformowały nigerskie źródła rządowe.

Odpowiedzią na atak była operacja podjęta przez armię nigerską we współpracy z sojusznikami z Zachodu. W rejon operacji skierowano samoloty francuskich sił zbrojnych z lotniska w Niamey, a wsparcia pod kątem wywiadu i rozpoznania udzieliły Ni-

gerczykom stacjonujące w tym kraju wojska amerykańskie.

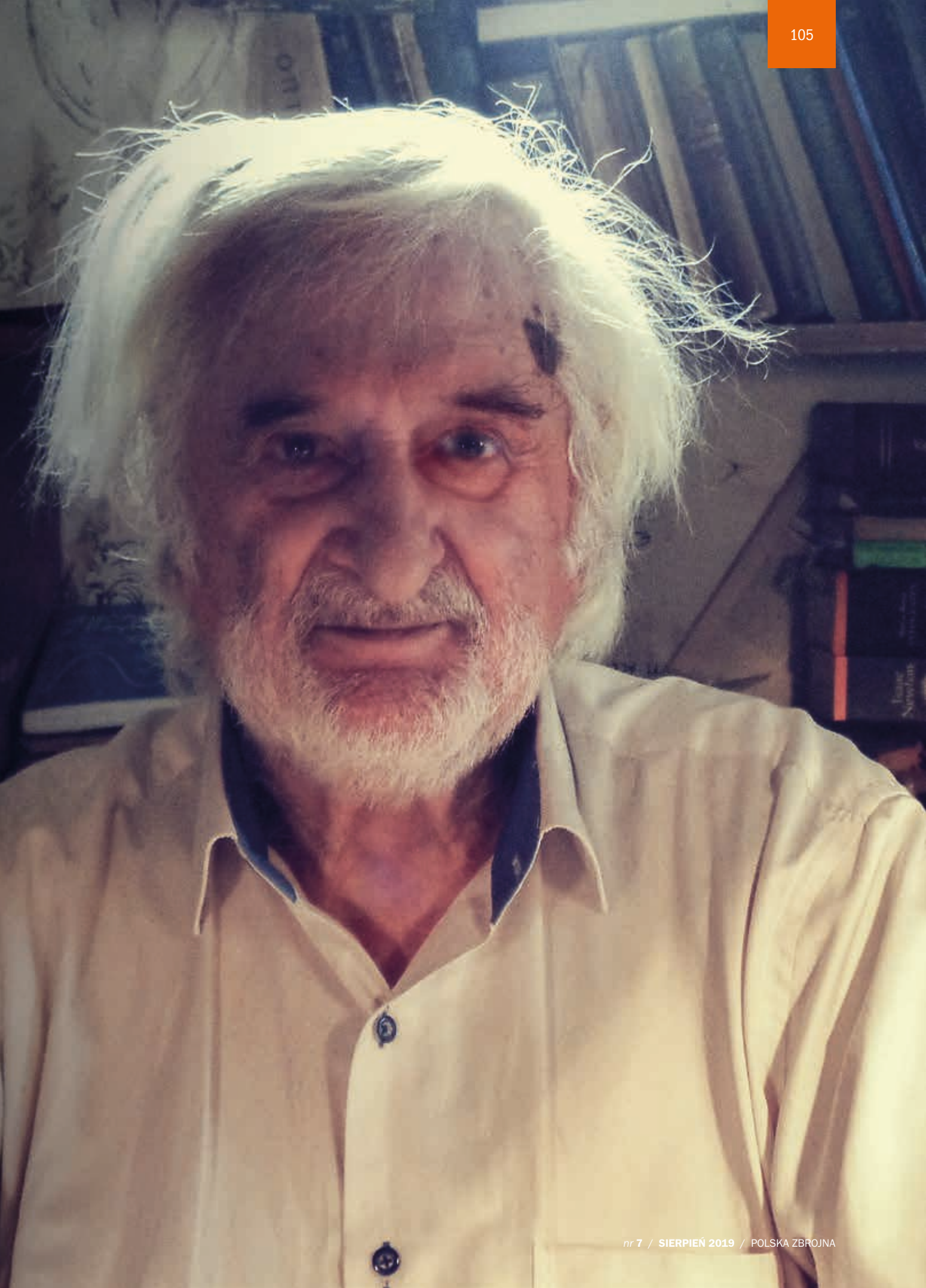
Rząd Nigru prowadzi walkę z działającymi w kraju ugrupowaniami islamistycznymi. Stanowią one lokalny odłam Państwa Islamskiego i są bardzo aktywne w regionie Sahelu – operują na obszarze Nigru, Burkina Faso, Mali. Do podobnych ataków i incydentów dochodzi w tym regionie regularnie. W maju 2019 roku do ataku doszło w miejscowości Tongo Tongo. Zginęło wówczas 28 żołnierzy nigerskiej armii. RS

URODZIŁEM
SIĘ W 1922 ROKU
W CZĘŚCI GRUZJI, KTÓRA
W TYM CZASIE ZOSTAŁA PRZY-
ŁĄCZONA DO TURCJI. OJCIEC ZA-
WSZE TŁUMACZYŁ MATCE, ŻE
POLSKA TO JEST KRAJ EUROPEJ-
SKI, A TUTAJ JEST AZJA,
W KTÓREJ W OGÓLE NIE MA
SENSU WYCHOWYWAĆ
DZIECI.

STRZELAĆ NAUCZYŁEM SIĘ SAM

*Z Witoldem Kruczkim - Abuładzem
„Krukiem”*

*o dzieciństwie w Gruzji, okupacyjnych
doświadczeniach i walce
w powstaniu warszawskim rozmawia
Piotr Korczyński.*



Fotografia Ryszarda
Moora z dedykacją
dla Witolda
Kruczka-Abuładzega



Pańskie losy są bardzo podobne do doświadczeń Cezarego Baryki z powieści Stefana Żeromskiego „Przedwiośnie”. Żeromski bardzo dramatycznie opisał odczucia swojego bohatera po jego przybyciu do Polski z dalekiej Azji. Pan również jako młody człowiek odbył podobną podróż. Czy rzeczywistość, którą pan zastał, była zbieżna z wyobrażeniami o Polsce?

Ja już na początku zderzyłem się ze śmieszną sytuacją. Żeby jednak to zrozumieć, trzeba poznać środowisko, w którym spędziłem najmłodsze lata. Urodziłem się w 1922 roku w części Gruzji, która w tym czasie została przyłączona do Turcji. Okazało się, że nasz dom znalazł się dosłownie kilometr od granicy turecko-sowieckiej. Tam też znajdowała się kopalnia rudy miedzi bardzo bogatej w złoto, w której pracował mój ojciec na stanowisku inżyniera górniczego. Jako członek Socjaldemokracji Królestwa Polskiego i Litwy, brał udział w rewolucji 1905 roku i musiał uciekać przed aresztowaniem aż do Gruzji. Tam poznał moją matkę, która pochodziła ze starej i szanowanej rodziny Abuładze. Ojciec natomiast zawsze tłumaczył matce, że Polska to jest kraj europejski, a tutaj jest Azja, w której w ogóle nie ma sensu wychowywać dzieci.

Czy podobnie jak ojciec Cezarego Baryki rozstrząsał przed wami perspektywy życia w nowoczesnym kraju?

Może aż tak to nie, ale często chodził do polskiej ambasady, gdzie przekonywano go, że odrodzona Polska potrzebuje takich jak on – wykształconych

i doświadczonych inżynierów. Wobec takich perspektyw ojciec wreszcie przekonał matkę, żebyśmy wyjechali do Polski. Wtedy już mieszkaliśmy w Konstantynopolu, gdzie moi rodzice mieli kontakty ze środowiskiem uciekinierów ze Związku Sowieckiego. To były przeważnie rodziny wyższych oficerów carskich, często, jak to w Rosji bywało, o niemieckich korzeniach. Ja miałem korepetytorkę – rosyjską Niemkę Marię Adolfową, która była żoną carskiego generała. Kiedy dowiedziała się o naszych planach wyjazdu do Polski, zaczęła ostrzegać matkę, żeby absolutnie tego nie robić, bo będzie wojna i Niemcy na pewno ten kraj zajmą. Mówimy o roku 1930! Ona dzięki swym kontaktom już wtedy przewidywała to, co stało się dziewięć lat później. Ten argument w żaden sposób jednak nie trafił do ojca, który w 1930 roku wyjechał do pracy w afrykańskim Kongu, a nas, czyli matkę, mnie i moją siostrę, wysłał do Polski, a my nie znaliśmy języka polskiego. I tutaj dochodzimy do sytuacji, o której wcześniej wspomniałem. O 7.00 rano dotarliśmy do Lwowa. Mżył deszczyk, kiedy wjeżdżaliśmy na peron dworca, a moja matka z siostrą, wyjrzawszy za okno, nagle zaczęły narzekać, że ojciec nas oszukał, bo mówił, że Polska to kraj europejski, a tutaj wszyscy chodzą wcale nie po europejsku ubrani. Wepchnąłem się między nie do okna i zobaczyłem tłum mężczyzn w myckach na głowach, z brodami, pejsami, ubranych w długie

*Wielki Wile
nie zapomniał
i nigdy nie zap
Dadwa mieszko, po
minie, drugi, fau
lud
Twój Rys.*

*Engelberg 12.1.1948
Do Włocławka, od Włocławka, Tadeusz,
Tadeusz, Tadeusz?*

DOBRCZE UZBROJENI, BYLIŚMY W POWSTANIU CZYMŚ W RODZAJU STRAŻY POŻARNEJ, WYSYŁANEJ NA ZAGROŻONE ODCINKI

chałaty, żywo gestykujących i dyskutujących jak na tureckim targu. My, przekonani, że to są Polacy, poczuliśmy się przez ojca oszukani. Z kolei w pociągu nikt nie chciał z nami rozmawiać, bo pasażerowie myśleli, że to my jesteśmy Żydami. Dopiero po dotarciu do Warszawy stryj wyprowadził nas z błędu. To było moje pierwsze wrażenie z Polski.

Jedyne?

Drugie to bezkresne równiny, jakich wcześniej nie widziałem. W Częstochowie, gdzie zamieszkaliśmy na stałe, kontynuowałem przerwany wyjazd edukację. Kiedy weszliśmy w polskie środowisko, uderzyło nas przede wszystkim to, że ludzie tutaj są bardzo poważni, by nie powiedzieć ponurzy. Najczęściej rozmawiało się o chorobach lub bezrobociu. Co gorsza, kiedy dołączył do nas ojciec, okazało się, że wbrew obietnicom urzędników ambasady polskiej w Konstantynopolu wcale nie czekała na niego praca. Do tego doszły moje problemy w szkole, w której długo nie mogłem się odnaleźć. Byłem opóźniony trzy lata w stosunku do rówieśników, ponieważ najpierw musiałem się nauczyć języka polskiego. Ponadto często byłem brany

WIZYTÓWKA

WITOLD KRUCZEK- -ABUŁADZE

Brał udział w powstaniu warszawskim jako żołnierz Oddziału Osłownego Wojskowych Zakładów Wydawniczych przy VI Oddziale Sztabu Komendy Głównej AK. Po wyjściu z niewoli był żołnierzem 2 Dywizji Strzelców Pieszych w Szwajcarii. ■

za Żyda, co także nie ułatwiało mi życia. Kiedy w końcu zaczęło nam się lepiej powodzić, wybuchła wojna.

Jak zapamiętał pan zajęcie Częstochowy przez Niemców we wrześniu 1939 roku?

Moment wybuchu wojny kojarzy mi się z pierwszymi rannymi, których w tamtym czasie zobaczyłem. Z moim kolegą Tadeuszem Sokalą poszliśmy do szpitala, by pomagać rannym. Pamiętam do dziś młodego człowieka, który był cały siny, bo



ARCH. WITOLDA
KRUCZKA-ABUŁADZE



Zdjęcie Witolda Kruczka-Abuladzego z kenkarty (dokumentu tożsamości wydawanego obligatoryjnie przez okupacyjne władze niemieckie)



KIEDY WESZLIŚMY W POLSKIE ŚRODOWISKO, UDERZYŁO NAS PRZEDE WSZYSTKIM TO, ŻE LUDZIE TUTAJ SĄ BARDZO POWAŻNI, BY NIE POWIEDZIEĆ PONURZY. NAJCZĘŚCIEJ ROZMAWIAŁO SIĘ O CHOROBACH LUB BEZROBOCIU

dostał postrzał w płuca. Lekarz powiedział nam, że dla niego już nic się nie da zrobić, więc ze smutkiem odeszliśmy. Wracając do domu, na rogu placu Biegańskiego, gdzie mieściło się biuro miejscowego sztabu wojskowego, zobaczyliśmy żołnierzy wynoszących jakieś papiery i ładujących je na furmanki. Robili to w pośpiechu i tak niechlujnie, że wiele z tych dokumentów wałało się na bruku. Po chwili z biura wybiegł jakiś oficer, a za nim kobieta. Chwyliła go za ramiona i przekonywała: „Słuchaj, to już nie ma żadnego sensu, to i tak wszystko jest stracone. Uciekajmy!”. Niestety, otaczający ich żołnierze, wyraźnie świeżo zmobilizowani, także nie zrobili na nas dobrego wrażenia. Wielu z nich nie miało nawet broni i bezkarnie rozchodziło się po okolicy. 7 Dywizja Piechoty, która miała bronić

Częstochowy, bardzo szybko została przez Niemców rozbita, a jej dowódca, gen. bryg. Janusz Gąsiorowski poddał miasto praktycznie bez większych walk. Wkrótce ojciec zmarł na raka i to ja musiałem utrzymywać rodzinę. Matka nie umiała ani słowa po polsku, a siostra nie pracowała. Najpierw zatrudniłem się w kopalni i przez dłuższy czas byłem górnikiem dołowym. Na szczęście mogłem zmienić pracę dzięki koledze, który był synem dyrektora spółdzielni Społem. Tak zostałem kierownicą i rozwoziłem towary po całym Generalnym Gubernatorstwie – głównie węgiel ze Śląska do Warszawy.

Dzięki tej pracy uratował pan kolegę, którego dalsze losy byłyby idealne na scenariusz filmowy.

Razem z Tadeuszem Sokalą wyciągnęliśmy go z getta. Jego ojciec był wziętym architektem, a matka ukończyła konserwatorium w Wiedniu. To była bogata i zasymilowana rodzina żydowska, należąca do częstochowskiej elity. Nie mogę sobie przypomnieć, jak myślimy się z Ryskiem poznali, ale pamiętam taką sytuację. To było w kwietniu lub maju 1940 roku, ale na pewno było już na tyle ciepło, że chodziliśmy nad wodę pływać. Niemcy wtenczas zorganizowali już w Częstochowie getto i Żydzi musieli nosić opaski z gwiazdą Dawida. Pewnego dnia po kąpieli w rzece zobaczyłem Ryśka i zacząłem się z niego nabijać, czemu nie nosi gwiazdy Dawida. Nie zdawałem sobie sprawy, na co go tymi głupimi żartami narażam. On wtedy poprosił mnie na bok i zaczął mi opowiadać o tym, co się dzieje z Żydami. Tak mnie to przeraziło, że postanowiłem mu pomóc, a mogłem to zrobić bo jako pracownik Społem miałem przepustkę do getta. Prawdziwe kłopoty zaczęły się jednak dopiero wtedy, kiedy wyciągnęliśmy go z getta. Początkowo planowaliśmy, że będziemy go ukrywać w magazynie Społem, ale nie zgodził się na to jeden z kierowników. Nie mogłem Ryśka zabrać do naszego mieszkania, bo jego połowę zarekwirował ukraiński kolaborant o nazwisku Zaręba. W końcu na ukrywanie Ryśka zgodzili się państwo Sokalowie. Przed 1939 rokiem pan Sokala był dyrektorem rzeźni miejskiej, więc jego rodzina zajmowała mieszkanie na pierwszym piętrze domu przy rzeźni. Sokalowie mieli dwie córki i syna Tadeusza, z którym się przyjaźniłem od czasów szkolnych. Istotni są tutaj też ich sąsiedzi. Drzwi po prawej stronie należały do znanego szmalcownika, który utrzymywał się ze sprzedawania Niemcom Żydów. A po lewej kwatrowali niemieccy żołnierze. Kiedy Rysiek zamieszkał u Sokalów na pierwszym piętrze, szmalcownikowi dał do zrozumienia, że jeżeli go wyda, to pierwszy pójdzie pod noż. A tym niemieckim żołnierzom i wartownikom pani Sokalowa sprytnie co jakiś czas przynosiła jakieś ciasta i smakołyki. Oni ją uwielbiali za to matkowanie, a państwo Sokalowie dzięki temu mogli bezkarnie i bezpiecznie pod ich nosem prowadzić różne „konkurencyjne sprawy”. Pan Sokala bardzo był zaangażowany w konspirację. W Częstochowie już w pierwszych miesiącach wojny zorganizował się Związek Walki Zbrojnej, a my, młodzi chłopcy, zostaliśmy wciągnięci do wstępnych działań.

Udało się w ten sposób ochronić przyjaciela?

Tak, ale po pewnym czasie, gdy w naszą konspirację wtajemniczyliśmy kolegę Kupskiego, Rysiek musiał stamtąd uciekać. Kupski to był chłopak z robotniczej rodziny, jego brat działał w NSZ. Ostrzegł nas, że Rysiek to zagrożenie nie tylko dla całej rodziny, ale też dla konspiracji, w której działał pan Sokala. Nie wiedziałem, jak z tej sytuacji wybrnąć. Planowaliśmy nawet z Tadeuszem, że przetrzucimy Ryśka do Rzeszy, wykorzystując moje przepustki, aby tam przedostał się dalej na Zachód. Na szczęście nasze plany podsłuchiwała pani Sokalowa. Kiedy projekty były coraz bardziej karkołomne, otworzyła drzwi do naszego pokoju i oświadczyła, że sama się tym zajmie. Umieściła chłopaka na peryferiach Częstochowy – w pokoiku, który kiedyś zajmowała jej siostra. Ten lokal miał bardzo cienkie

ściany, a w sąsiednim mieszkaniu żyła wielodzietna rodzina, która miała tylko jedną parę butów i praktycznie głodowała. Pani Sokalowa od czasu do czasu przynosiła Ryśkowi jedzenie. W końcu sąsiedzi zorientowali się, że ktoś musi obok nich mieszkać i Rysiek słyszał zza cienkiej ściany takie słowa: „jak to jest Żyd, to go wydamy i w końcu będziemy mogli swym pięciorgu dzieciom kupić buty i jedzenie”. Trzeba jednak pamiętać, że w razie oblawy Niemcy wymordowaliby wszystkich mieszkańców tego domu, nie wyłączając tej wielodzietnej rodziny. Rysiek w nocy uciekł do Sokalów i nie było wtedy już wyjścia – trzeba go było jak najszybciej wywieźć z Częstochowy.

Dzięki temu znalazł się pan w Warszawie?

Tak. Przywiozłem Ryśka do stolicy i już w niej zostałem. Rysiek nawiązał kontakt z jakąś grupą żydowską, która wkręciła go do Organizacji Todta i wyjechał na front wschodni budować umocnienia i fortyfikacje dla armii niemieckiej. On bardzo dobrze mówił po niemiecku – jego ojciec w czasie I wojny światowej służył w armii niemieckiej i był odznaczony za odwagę. A na dodatek znał rosyjski, co szybko docenili jego zwierzchnicy. Ja zaś znalazłem pracę w warsztatach samochodowych przy ulicy Czerniakowskiej 80. Tam naprawiano wszystkie ciężarówki Społem z całego Generalnego Gubernatorstwa.

Szefem tych warsztatów był Paweł Górniak, wcześniej bosman na okrętach podwodnych. Po Wrześniu '39 udało mu się uciec z Wybrzeża i ukryć w Warszawie. Pewnego razu montuję jakiś silnik i przychodzi do mnie Górniak – sam szef warsztatu, rozumie pan – i mówi: „Kruczek, tam na ciebie jakiś gestapowiec czeka”. Ja wyraźnie przestraszony odpowiadam: „Jaki gestapowiec?”. A on mnie zaczął uspokajać: „Nie bój się, on dobrze po polsku mówi i w ogóle przyjazny jest, tak że możesz spokojnie tam pójść”. Nie do końca przekonany, poszedłem, patrzę, stoi elegancki motocykl, a przy nim dwumetrowy oficer niemiecki w mundurze jak spod igły, kabura z pistoletem przy pasie. Przyglądam mu się... i poznaję – to Rysiek!

Żyd przyjechał w niemieckim mundurze na urlop do Warszawy?

Lepiej! On przyjechał się żenić z Anetką. Rysiek wprowadził mnie w osłupienie informacją, że jako oficer niemiecki musi jechać do Berlina, by uzyskać tam pozwolenie na ślub z Polką! I proszę sobie wyobrazić, że on to zrobił, i to dwukrotnie! Kiedy za pierwszym razem wrócił ze stolicy III Rzeszy, wybrał się z narzeczoną na przejażdżkę kajakiem po Wiśle. Pech chciał, że wyrócili się wtedy do wody. Rysiek miał przy sobie to zaświadczenie, więc się zniszczyło. Ja się go często pytałem, jak to się stało, że nikt go nigdy nie ruszył? A on mi odpowiadał, że to wszystko dzięki niemieckiemu porządkowi, w którym najważniejsze są dokumenty, a te miał naprawdę mocne, bo poświadczone służbą dla III Rzeszy na froncie wschodnim.

Po wybuchu powstania warszawskiego prosto z warsztatu ruszył pan do walki. Jakim cudem, bez zaprzysiężenia w konspiracji i przeszkolenia wojskowego, znalazł się pan w elitarnym oddziale?



MOMENT WYBUCHU WOJNY KOJARZY MI SIĘ Z PIERWSZYMİ RANNYMI, KTÓRYCH W TAMTYM CZASIE ZOBACZYŁEM

W moim wypadku zdecydował właśnie ten warsztat samochodowy. Mieszkałem w kamienicy przy ulicy Szpitalnej, a w niej była drukarnia, którą ochraniał oddział por. „Steba”, czyli Stefana Berenta. Kiedy po pracy około godziny 17.00 wróciłem do mieszkania, zaczęła się strzelanina. Wtedy od razu zgłosiłem się do niego z prośbą o przyjęcie do oddziału. Ucieszył się, kiedy usłyszał, że jestem kierowcą i mechanikiem, bo oni mieli samochody, ale nikt nie potrafił nimi jeździć. Zanim jednak zostałem szoferem wojskowym, pierwszym moim zadaniem było wyrąbanie przejścia między piwnicami, żeby można było przemieszczać się pod ostrzałem. Miałem zostać najpierw żołnierzem grupy technicznej, którą „Steb” planował stworzyć, ale w toku żartowanych walk porzucił ten pomysł. Ostatecznie zostałem żołnierzem 2 plutonu Oddziału Oślonowego VI Oddziału Armii Krajowej, w którym walczyłem do końca powstania. Byliśmy wyjątkowo dobrze uzbrojeni. Przed powstaniem nasz oddział miał za zadanie zbrojną osłonę drukarni w konspiracyjnych wytwórniach broni, np. wytwórni części i montowni pistoletów maszynowych, granatów, środków wybuchowych. Ze względu na to dobre uzbrojenie Oddział Oślonowy był przekazany do bezpośredniej dyspozycji dowódcy sił powstańczych, tj. gen. Antoniego Chruściela „Montera”, który decydował, do jakich akcji bojowych ma być skierowany.



Oddział Oślonowy był przekazany do bezpośredniej dyspozycji dowódcy sił powstańczych, tj. gen. ANTONIEGO CHRUŚCIELA „MONTERA”, który decydował, do jakich akcji bojowych ma być skierowany.

Przeszedł pan błyskawiczne przeszkolenie wojskowe...

Strzelać nauczyłem się sam, a na pierwszej linii byłem bez dłuższych przerw. „Monter” ciągle włączał nas do różnych akcji w Śródmieściu. Można stwierdzić, że byliśmy dla niego czymś w rodzaju straży pożarnej, wysyłanej na zagrożone odcinki. Kiedy wybuchło powstanie, ja za dobrze polskiej literatury nie znałem i być może to uratowało mi życie. Było to w czasie walk na rogu Alei Jerozolimskich i Nowego Świata, dokładnie w bramie, za którą jest pasaż wychodzący na Chmielną. Tam zostaliśmy odcięci przez ogień z niemieckiego czołgu, stojącego na ulicy Pierackiego, dzisiejszej Foksal. Zebrał się wokół naszego dowódcy Andrzeja Koryckiego „Sokoła”, żeby radzić, co robić. On wtedy powiedział: „będziemy bronić tego

pasażu jak Zbaraża”. Przypomniało mi się wtedy, że ci obrońcy chyba zginęli. Po latach dopiero dowiedziałem się, że nie było to w Zbarażu tylko w Kamieńcu. Ale wtenczas, słysząc hasło „Zbaraż”, zacząłem „Sokoła” gorąco przekonywać, że ja znajdę wyjście z tej matni. I znalazłem. Zauważyłem, że po każdym strzale czołgowego działa następowała krótka pauza, w czasie której prawdopodobnie czołgiści ładowali do lufy nowy pocisk. W takim momencie wydostaliśmy się spod ostrzału.

Spotkał się pan jeszcze z przyjacielem Ryśkiem?

Po kapitulacji Niemcy wywieźli nas najpierw do Frankfurtu nad Odrą, następnie do Bremevörde między Bremą a Hamburgiem. Stamtąd ostatecznie trafiłem do Pongau pod Salzburgiem. W tymże obozie pewnego dnia siedziałem sobie na pryczy, kiedy do naszego baraku wszedł sierżant niemiecki i zaczął rozmawiać z moimi kolegami, po czym oni wskazali na mnie. Zdążyłem tylko pomyśleć: cholera, o co tu chodzi?, a sierżant już stał przy mnie i wręczał mi list. Podziękowałem mu, a on mi zaszalutował i wyszedł. Patrzę na przesyłkę i poznaję pismo Ryśka. Pisał do mnie, że przebywa w szpitalu dla oficerów niemieckich i dowiedział się od mojej matki, gdzie jestem. Ma zamiar wyciągnąć mnie z niewoli, ale najpierw musi wyleczyć kolano, w które dostał postrzał w czasie powstania. Okazało się, że jako oficer Organizacji Todta nadzorował budowę stanowisk dla szybkostrzelnych działek, które nas ostrzeliwały w Śródmieściu! Kiedy przeczytałem, że ma mieć operację kolana, to wystraszyłem się, że lekarze zauważą, iż jest obrzezany i gestapo na sam koniec wojny nas wszystkich, czyli jego, mnie i moją rodzinę, rozstrzela. Na szczęście do niczego takiego nie doszło, ale wtedy, żeby zatrzeć trop, wkręciłem się do grupy powstańców, których Niemcy wywozili aż pod szwajcarską granicę. Tam przed samym końcem wojny Niemcy nas zwolnili i umożliwili przejście granicy szwajcarskiej. W Szwajcarii wcielono mnie do 2 Dywizji Strzelców Pieszych gen. Bronisława Prugara-Ketlinga, która była tam internowana w 1940 roku. Wróciłem do Polski jako jej żołnierz. Wcześniej spotkałem się z Ryszardem, który po operacji został przez niemieckie dowództwo wysłany do Szwajcarii i tam doczekał końca wojny. ■

AW101. Nowy symbol Bałtyku



AW101

Sprawdzony w wielu misjach wojskowych, w tym w Iraku, Afganistanie i Somalii. Doceniony przez czołowe państwa członkowskie NATO: Wielką Brytanię, Włochy, Danię, Portugalię, Norwegię i Kanadę. AW101, najbardziej zaawansowany technologicznie śmigłowiec morski świata, wchodzi do służby Marynarki Wojennej RP.

Zakup AW101 to kluczowa decyzja polskiego rządu, przyczyniająca się do poprawy bezpieczeństwa Polski, szczególnie nad wodami Morza Bałtyckiego. AW101, w imieniu globalnego koncernu Leonardo, dostarczy spółka PZL-Świdnik. Dziękujemy za powierzone nam zadanie i zaufanie.

Zainspirowani wizją, ciekawością świata i kreatywnością wielkiego mistrza i wynalazcy – w Leonardo tworzymy technologie przyszłości.

KŁOPOTLIWE ZWYCIĘSTWO

W powstaniu sejneńskim pokonaliśmy Litwinów,
naród, który zwykliśmy uważać za przyjazny.

MACIEJ NOWAK-KREYER

Stosunki polsko-litewskie u zarania II Rzeczypospolitej były napięte. Korzenie konfliktu sięgały XIX wieku, kiedy budziła się świadomość narodowa Litwinów. Bezpośrednią przyczyną wybuchu powstania sejneńskiego były działania Niemców. Od momentu zajęcia ziem dawnego zaboru rosyjskiego w 1915 roku wspierali oni litewskie dążenia niepodległościowe, włącznie z zamiarem utworzenia satelitalnego, buforowego państewka. Tereny Suwalszczyzny, przylegające bezpośrednio do granicy Prus Wschodnich, zamierzali zaś wcielić do Rzeszy.

Po zawieszeniu broni na froncie zachodnim w listopadzie 1918 roku zwycięska ententa uniemożliwiła ten zamiar, ale przez Suwalszczyznę biegł główny szlak ewakuacji wojsk niemieckich z frontu wschodniego. W ten sposób powstał bufor między napierającymi z przeciwnych stron Polakami i Litwinami, uważającymi tamte rejony za swoje ziemie etniczne. Było jasne, że po wycofaniu się stamtąd Niemców powstanie próżnia, którą natychmiast zapelnia wrogie sobie siły i dojdzie do starć.

LINIA FOCHA

Niemcy sympatyzowali z Litwinami. Namawiali ich do szybkiego zajęcia spornego terenu, obiecując wsparcie. W sprawę wmieszali się Francuzi, a konkretnie przychylny Polsce marszałek Ferdynand Foch, za którego namową Rada Najwyższa ententy

Powstańcy byli witani entuzjastycznie przez polską ludność, przerażoną perspektywą włączenia do Litwy i czystek etnicznych.

26 lipca 1919 roku wyznaczyła na Suwalszczyźnie linię demarkacyjną między si-

łami polskimi a litew-

skimi (zgodna mniej więcej z przebiegiem dzisiejszej granicy polsko-litewskiej). Litwini, mający już swoje siły na terytorium, które miało przapaść Polsce, ani myśleli się wycofywać. Wręcz przeciwnie, demonstrowali zamiar trwałego przejęcia tamtych obszarów i złamania nakazów ententy. Ludność polska była dyskryminowana i źle traktowana.

Oliwy do ognia dołała sierpniowa wizyta w Sejnach nieprzychylnego Polsce premiera Litwy Mykolasas Slezeviciusa, który na wiecu ludności litewskiej zachęcał do obrony przed Polakami, jak wówczas powiedział, chociażby z użyciem siekier, widel i kos. Zważywszy na mozaikę narodowościową w tamtym rejonie, można było te słowa odebrać jako wezwanie do czystek etnicznych.

POLSKI ZRYW

Członkowie miejscowej Polskiej Organizacji Wojskowej postanowili działać, zwłaszcza że zbliżał się moment wycofania z Suwałk ostatnich niemieckich oddziałów. 22 sierpnia 1919 roku miał zniknąć bufor między zwaśnionymi stronami. Pewniacy byli pewni, że na pomoc powstaniu natychmiast przybędą jednostki regularnego Wojska Polskiego, obecne już w Augustowie i mające zastąpić

Od momentu zajęcia ziem dawnego zaboru rosyjskiego w 1915 roku Niemcy wspierali litewskie dążenia niepodległościowe, włącznie z zamiarem utworzenia satelitalnego, buforowego państewka.

niemiecki garnizon w Suwałkach. Dokonano już nawet stosownych ustaleń. Na czele zrywu stanęli dowódcy Suwalskiego Okręgu POW, por. Adam Rudnicki i jego zastępca, ppor. Wacław Zawadzki. Mieli oni do dyspozycji około tysiąca żołnierzy, przeciwko około 1300 Litwinów, w tym 120 kawalerzystom. Wobec przewagi przeciwnika postawiono na szybkość działania i zaskoczenie. Zdecydowano się na atak z różnych kierunków z wykorzystaniem kilku grup operacyjnych.

Powstańcy nie wzięli jednak pod uwagę, że Józef Piłsudski, snujący plany polsko-litewskiej federacji albo przynajmniej uczynienia z Litwy antyrosyjskiego bufora, pragnął uniknąć dalszego zaogniania stosunków między oboma narodami. Dlatego realna pomoc regularnych jednostek WP tak naprawdę wchodziła w grę dopiero po zajęciu spornych terenów wskutek „spontanicznego” wystąpienia ich mieszkańców. Nieświadomi tego powoiacy – przekonani, że stanowią tylko awangardę dużego natarcia – nocą z 22 na 23 sierpnia 1919 roku ruszyli do akcji.

Główne uderzenie na Sejny rozpoczęło się około godziny 3.00. Do pierwszych walk doszło jednak już o 1.00 w nocy, kiedy żołnierze pchor. Piotra Łankiewicza przystąpili do rozbijania litewskiego garnizonu w Krasnopolu. Strona litewska nie była zaskoczona, spodziewała się starć i odpowiednio przygotowała, przez co doszło do ostrej wymiany ognia i nie obyło się bez ofiar. Polski impet okazał się jednak nie do powstrzymania. W sprawnym przemieszczaniu się pomogły furmanki, które pozyskano w toku walk. Dopiero około południa 23 sierpnia Litwini przeszli do bardziej zdecydowanych działań i dzięki wykorzystaniu kompanii karabinów maszynowych odzyskali część straconych terenów.

WALKI O SEJNY

Polska kawaleria zajęła Sejny, więc główny cel powstania został osiągnięty. Powstańcy byli witani entuzjastycznie przez polską ludność, przerażoną perspektywą włączenia do Litwy i czystek etnicznych. Teraz czekano tylko na zajęcie tego terenu przez regularne oddziały WP z 41 Suwalskiego Pułku Piechoty, które według uzgodnień miały się zjawić 23 sierpnia. Przemieszczające się wojsko zatrzymał jednak w Krasnopolu gen. Wacław Falewicz, który prawdopodobnie chciał zrobić na złość Piłsudskiemu.

W Sejnach zaś zorganizowano polski tymczasowy zarząd miasta i wypuszczono więźniów politycznych. Kawaleria opuściła miasto i udała się w kierunku, z którego miał przybyć 41 Pułk, aby sprawdzić przyczyny opóźnienia. Tymczasem z sejneńskiego klasztoru nocą wykradł się w kobiecym przebraniu ksiądz litewskiego pochodzenia i poinformował wojsko litewskie o sytuacji w mieście.

25 sierpnia 1919 roku o godzinie 4.00 żołnierze litewscy razem z niemieckimi ochotnikami



**PPOR. WACŁAW
ZAWADZKI, ZASTĘPCA
DOWÓDCY SUWAŁSKIEGO
OKRĘGU POLSKIEJ ORGA-
NIZACJI WOJSKOWEJ**

Dowództwo Obrony Kresów Ziemi Suwalskiej miało do dyspozycji około tysiąca żołnierzy, przeciwko około 1300 Litwinów, w tym 120 kawalerzystom.

POWSTANIE SEJNEŃSKIE TO JEDEN Z NIEWIELU ZWYCIĘSKICH POLSKICH ZRYWÓW NIEPODLEGŁOŚCIOWYCH

zaatakowali Sejny i po dwóch i pół godzinie je zajęli. Polskie siły wycofały się na wzgórza pod miastem, aby przygotować się do kontrataku. Uderzyli z trzech stron i już o godzinie 11.00 wyparli Litwinów. Kilkugodzinna litewska okupacja okazała się jednak dramatyczna. Wymordowano rannych peowiaków i zastrzelono aptekarza Wincentego Domosławskiego za entuzjazm okazany wkraczającym siłom powstańczym. Brutalnie pobito też wielu polskich mieszkańców miasta i spłądrowano ich domy. Podczas obrony zginął dowódca sił polskich z Sejn i jeden z przywódców powstania Wacław Zawadzki.

Wieczorem 25 sierpnia w Sejnach pojawiły się wreszcie regularne siły Wojska Polskiego, przeznaczone do obsadzenia granicy polsko-litewskiej. Kolejne pododdziały 41 Pułku przybywały aż do nocy z 27 na 28 sierpnia. Rozpoznanie ruchów sił litewskich wskazywało na to, że wkrótce ruszą do ponownego ataku, dlatego zajęto i umocniono pozycje kilka kilometrów na północny wschód od miasta. Prawe skrzydło obsadzili peowiacy, lewe zaś regularne wojsko.

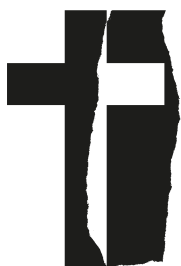
Litwini zebrali pokaźne siły: dwa bataliony regularnego wojska z licznymi cekaemami i baterią dział, wzmocnione szaulisami (członkami litewskiej organizacji paramilitarnej) oraz niemieckimi ochot-

nikami. Natarcie rozpoczęło się 28 sierpnia o godzinie 5.00 i zacięte walki trwały cały dzień. Litwini ponieśli ogromne straty, kilkukrotnie wyższe od strat polskich. Ostatecznie się wycofali.

SKRYWANY SUKCES

Bitwę o Sejny uznaje się za koniec powstania, ale wypieranie Litwinów za linię Focha trwało do 9 września. Po litewskiej stronie jeszcze przez dwa miesiące peowiacy Adolfa Bóbki toczyli walki w rejonie Kopciowa, ale ostatecznie, pozbawieni pomocy z Polski, ulegli Litwinom i tamten rejon pozostał poza Rzeczpospolitą.

Zwycięstwo w powstaniu sejneńskim okupiono 37 zabitymi i 70 rannymi, ugruntowała się także stosunkowo świeża niechęć polsko-litewska. Rejon Sejn w trakcie zawirowań wojennych w kolejnych latach przechodził jeszcze z rak do rąk, ale postawa miejscowej ludności zadecydowała, że do dziś pozostaje on w granicach Polski. Prawdopodobnie jednak wybuch powstania udaremnił propolski zamach stanu na Litwie i obalenie premiera Mykolasas Slezevičiusa. Fakt, że jedno z nielicznych zwycięskich zrywów niepodległościowych było triumfem nad krajem, w którym upatrywano raczej sojusznika, sprawił, że po II wojnie światowej wspomniano o nim rzadko.



Zwycięstwo
w powstaniu
sejneńskim
okupiono

37

zabitymi
i 70 rannymi.



CENTRUM SERWISOWO – LOGISTYCZNE
DO OBSŁUGI CZOŁGÓW LEOPARD 2

CSL-WZM-LEOPARD 2



Wojskowe Zakłady Motoryzacyjne S.A. w Poznaniu to dziś jedyny polski zakład posiadający autoryzowane uprawnienia do serwisowania i napraw czołgów Leopard 2 A4/A5, należących do Sił Zbrojnych RP. Konieczność zabezpieczenia serwisowo-logistycznego polskich Leopardów, w połączeniu z dynamicznym rozwojem firmy, pozwoliła na utworzenie w poznańskich zakładach Centrum Serwisowo-Logistycznego do obsługi czołgów Leopard 2, czyli CSL-WZM-LEOPARD 2.

Wojskowe Zakłady Motoryzacyjne S.A. istnieją od 1945 roku, cały czas działając w branży zbrojeniowej. Dziś wchodzi w skład Polskiej Grupy Zbrojeniowej S.A., konsolidującej polski przemysł obronny. Głównym profilem aktywności firmy są: produkcja, modernizacje, naprawy i serwisy czołgów, kołowych transporterów opancerzonych oraz projektowanie i produkcja szybko wymiennych zespołów napędowych do pojazdów wojskowych. Działalność WZM zapewnia kompleksowe zabezpieczenie potrzeb Sił Zbrojnych RP. W naszym Centrum Szkoleń załogi pojazdów wojskowych uczą się profesjonalnego użytkowania sprzętu.



WOJSKOWE ZAKŁADY MOTORYZACYJNE S.A.



KADR Z FILMU „CHILDREN GONE TO POLAND” (2)

Marzenia o polskim chlebie

Wojna koreańska była jednym z wydarzeń, które stawiały świat na krawędzi III wojny światowej. Polska miała w tym konflikcie swój udział, chociaż zupełnie niemilitarny.

PIOTR KORCZYŃSKI

Koreańskie sieroty wojenne przebywały w naszym kraju w latach 1951–1959 na mocy umowy polsko-koreańskiej. Pierwsza grupa dotarła do Dworca Gdańskiego w Warszawie 22 listopada 1951 roku. Ponad dwa tygodnie 200 dzieci jechało do Polski z Syberii. Już na trasie z Terespoła do Warszawy okoliczni mieszkańcy witali i obdarowywali podróżujących upominkami i kwiatami. Wspominał o tym w swoim sprawozdaniu Stanisław Megiel, dyrektor Domu Dziecka w Świdrze niedaleko Otwoc-ka, który stał się głównym opiekunem koreańskich sierot.

Ze stolicy małych podróżników przewieziono do Gołotczyzny, gdzie czekał na nich personel domu, którego dyrektorką była Maria Palester, w czasie wojny współpracownica Ireny Sendlerowej. Kiedy pociąg zatrzymał się na pobliskiej stacji kolejowej, z wagonów wysypały się dzieci w jednako- wych białych mundurkach i czapkach z lnianego płótna. Na plecach miały woreczki ze szmatką służącą za ręcznik. Na nogach zielone gumowe pantofelki z zadartymi noskami.

Dzieciom, w wieku od siedmiu do 14 lat, towarzyszyło czterech dorosłych koreańskich opiekunów. Polskim wychowaw- com, którzy odebrali koreańską grupę na stacji, wszystkie wydawały się identyczne, ale nie to stanowiło największy problem. Wiele z nich było w bardzo złym stanie fizycznym spowodowanym dramatycznymi przeżyciami wojennymi i trudami długiej podróży. Co więcej, zarówno dzieci, jak i ich opiekunowie nie znali ani jednego słowa po polsku, na- tomiast personel domu dziecka nie znał koreańskiego. W Polsce nie był dostępny żaden słownik ani rozmówki pol- sko-koreańskie. Na szczęście jeden z opiekunów znał trochę rosyjski i to pomogło w nawiązaniu pierwszych kontaktów.

TRUDNA AKLIMATYZACJA

Z dziećmi początkowo porozumiewano się na migi i za pomocą rysunków. Pierwsze dni były naprawdę trudne, ale do opieki nad małymi Koreańczykami oddelegowano spe- cjalnie wyselekcjonowaną kadrę młodych nauczycieli i opie-

kunów, którzy bardzo zaangażowali się w pracę. Najbardziej pomocny w nauce języka polskiego okazał się niezawodny elementarz Mariana Falskiego. Postępy były też zasługą samych dzieci, które w większości były bardzo pilne i zdyscyplinowane. Niemniej jednak sporym problemem okazały się różnice kulturowe. Dzieci nie chciały spać w łóżeczkach, tylko kładły się na matkach na podłodze. Nie smakowały im też polskie potrawy. Wzbraniały się przed jedzeniem chleba z masłem czy ze smalcem, a w największe zdumienie wychowawców wprawił całkowity ich brak zainteresowania słodyczami. Dzieci nie chciały jeść cukierków, ale uwielbiały cebulę i paprykę, które nawet szabrowały z okolicznych ogródków. Wychowane w wojennych warunkach, potrafiły zjeść upieczoną w ognisku schwytaną wcześniej mysz czy... psa, co wśród polskich opiekunów wzbudzało przerażenie.

W połowie kwietnia 1953 roku koreańskie dzieci, których liczba wzrosła do około 300, przeniesiono z Gołotczyzny do nowo wybudowanego ośrodka w Świdrze. Nowoczesny jak na ówczesne czasy budynek usytuowany był w sosnowym lasku nad rzeką. Podobnie jak w Gołotczyźnie, dziećmi zaopiekował się specjalnie dobrany personel. Dyrektor Megiel w swych wspomnieniach podkreśla, że mali Koreańczycy cieszyli się dużą popularnością nie tylko w okolicy, lecz także w całej Polsce. Dzieciom przysyłano przeróżne podarunki i książki. Zdecydowano się też bardziej zintegrować Koreańczyków z polskimi rówieśnikami. W roku szkolnym 1953/1954 posłano ich do kilku okolicznych szkół. Wybrano dla nich najlepsze placówki w Falenicy, Otwocku i Świdrze. Mimo początkowych obaw, większość dzieci bardzo szybko zintegrowała się z polskimi kolegami, a nawet zaczęła ich prześcigać w nauce, nie wyłączając języka polskiego.

WALKA O ZDROWIE

Rok po przyjeździe dzieci koreańskich do podwarszawskiej placówki kolejna, już znacznie większa grupa znalazła się w Państwowym Ośrodku Wychowawczym w Płakowicach nieopodal Łwówka Śląskiego. W tym dużym i nowoczesnym domu dziecka do roku 1959 mieszkało około 1000 Koreańczyków w wieku 7–14 lat. Polscy wychowawcy początkowo zmagali się z tymi samymi problemami co ich koledzy spod Warszawy, ale ponieważ podopiecznych było więcej, większa także była skala tych problemów.



PIERWSZE DNI BYŁY NAPRAWDĘ TRUDNE. Z MAŁYMI KOREAŃCZYKAMI OPIEKUNOWIE POROZUMIEWALI SIĘ TYLKO NA MIGI I ZA POMOCĄ RYSUNKÓW

Obawy wzbudzał przede wszystkim stan zdrowia dzieci. Wrocławski pediatra prof. Zbigniew Rutkowski, który zajmował się koreańskimi sierotami, wspominał: „Problemem były pasożyty. Po kilka różnych na każde z dzieci. Były glisty, tasiemce i ta straszna przywra płucna. Przeżerała tkankę płucną, powodując krwotoki. Można ją było pomylić z gruźlicą. A ta też się zdarzała”. Dużym problemem w kontaktach lekarzy z dziećmi było to, że nie miały one w zwyczaju przyznawać się, że coś im dolega lub że czują ból. Specjalnie dla nich sprowadzano lekarstwa, lecz te nie zawsze działały, więc często stosowano niekonwencjonalną kurację – podawano im benzynę w niewielkich dawkach. „Pasożyty tego nie znosiły, ale leczenie było ryzykowne. Niezwykła była wytrzymałość tych dzieci”, podkreślał profesor.

Polskim lekarzom nie udało się uratować tylko dwójki dzieci. Jedną z dziewczynek pochowano na cmentarzu w Łwówku Śląskim. Druga, trzynastoletnia Kim Ki Dok spoczęła na wrocławskim cmentarzu Osobowickim. Dziewczynka ta zmarła na białaczkę mimo wielokrotnych transfuzji krwi i trzymiesięcznego leczenia. W jej ratowanie w 1955 roku zaangażował się dr Tadeusz Partyka, były akowiec i pionier w dziedzinie krwiodawstwa we Wrocławiu. Po śmierci małej Kim przez wiele lat przynosił kwiaty na jej grób.

MAKSIMKA CHCE DO POLSKI

W Płakowicach nie wszystkie dzieci były tak zdyscyplinowane. Bogusław Bydłoń, który w ośrodku uczył fizyki, zapamiętał szczególnie chłopca o imieniu On Tun Czon, którego nazywano Maksimką. Wielokrotnie uciekał z ośrodka i uwielbiał jazdę samochodem. „Podróżował po całym Dolnym Śląsku. Zwykle po kilku dniach nudziła mu się wycieczka. Zgłaszał się wtedy na milicję i prosił o powiadomienie dyrekcji. Kiedy Maksimka znalazł się z powrotem w Korei, nie spodobało mu się w ojczyźnie. Postanowił wrócić pieszo do Polski. Musiał tylko iść na zachód. Utopił się na bagnach gdzieś w Chinach”, wspomina Bydłoń.

W lipcu 1956 roku z oficjalną wizytą gościł w Polsce przywódca Korei Północnej Kim Ir Sen. Odwiedził między innymi Dom Dziecka w Świdrze, w którego kronice napisał: „Wiecznie będzie trwało w sercach narodu koreańskiego dobrodziejstwo, którego udzielał naród polski w wychowaniu naszych uczniów i dzieci”.





Spotkanie ambasadora Korei Północnej z opiekunami koreańskich dzieci w Świdrze. W środku (od lewej strony) obok ambasadora stoi dyrektor Stanisław Megiel, 1970 rok.

słów koreańskiego przywódcę niepokoił kierunek zmian w naszym kraju. Nie mógł pogodzić się z odwilżą, która zapanowała w europejskich demoludach. W 1959 roku ostatecznie zapadła decyzja o powrocie koreańskich sierot do ojczyzny.

Wszystkie dzieci, zarówno ze Świdra, jak i z Płakowic, przewożono w małych grupach do Warszawy, skąd odlatywały samolotami do Korei. Dla większości z nich był to dramat, gdyż bardzo żyły się z nową ojczyzną. Wszyscy zdawali sobie też sprawę z tego, że w kraju wyniszczonym wojną i poddanym znacznie cięższemu reżimowi nic dobrego ich nie czeka. Tragiczny los Maksimki, o którym wieści jakimś cudem dotarły do wychowawców z Płakowic, wcale nie był odosobniony. Prawdopodobnie wiele z dzieci powracających z Polski poddano reedukacji w obozach pracy. Świadczą o tym listy, które dotarły do wychowawców. Jeden z podopiecznych tak pisał do swego nauczyciela Henryka Witkiewicza z Płakowic: „My tu mamy wywalić sto tysięcy metrów sześciennych kamieni. Wybuchem dynamitu wywalamy. W tej pracy nawet trzydzieści sześć godzin pracowałem bez spania. Najmniej praca była dwanaście godzin. Życie nasze bardzo ciężkie. Im cięższe życie, przypominamy sobie [wtedy to] z ośrodka [...]. Ja wierzę, że jeszcze raz pójde do Polski, dlatego czytam książki i chodzę po ulicy sam, nucąc po polsku”.

Do dyrektora ośrodka w Płakowicach przez dwa lata pisał Ko Yan Guk, zaprzyjaźniony z jego dwoma synami. Oto fragment jednego z listów: „Śniło mi się, że poszliśmy po Płakowicach i widziałem jeszcze raz te domy i rzekę Bóbr, i Lwówek Śląski. Pamięta pan ten smalec,

którego nie chcieliśmy do jedzenia i pan kazał go [wsadzić] do beczki i postawić w korytarzu? Pan powiedział, że jak kto będzie głodny, to może przyjść do tej beczki i jeść, a myśmy tam powrzucali różne rzeczy i śmieci do tej beczki. I pan to zobaczył i powiedział, że jeszcze kiedyś do tej beczki będziemy tęsknić. Tato! Śni mi się często ta beczka, że wstaję i jem ten smalec z polskim chlebem”.

Przed wyjazdem z Polski koreańskie dzieci za własnoręcznie zarobione pieniądze ufundowały w holu Domu Dziecka w Świdrze tablicę, na której napisano: „W tym domu żyliśmy radośnie w latach 1951–1959. Wiecznie będziemy pamiętać matczyną opiekę narodu polskiego”. Ponadto przed ośrodkiem ustawiono niewielki pomnik przyjaźni. Nie były to wyłącznie propagandowe gesty, o czym świadczą cytowane listy i wciąż ponawiane próby kontaktów. Wiadomo, że do Polski udało się wrócić dwóm wychowankom Domu Dziecka w Świdrze. Obydwaj przyjechali jako pracownicy ambasady Korei Północnej. Jeden z nich był wojskowym chargé d'affaires ambasady KRLD w Warszawie. Inny z absolwentów szkoły w Świdrze opiekował się polskimi wycieczkami w Korei.

Po latach, w nowych warunkach geopolitycznych historia koreańskich sierot w Polsce nadal jest budującym przykładem pomocy ze strony narodu, który sam doświadczył okropnych lat okupacji w II wojnie światowej i żył w kraju zniewolonym stalinizmem. ■

Dziękuję panu Stanisławowi Wilkowi, emerytowanemu nauczycielowi z Otwocka, za materiały pomocne w napisaniu tekstu.



„Wiecznie będzie trwało w sercach narodu koreańskiego dobrodziejstwo, którego udzielał naród polski w wychowaniu naszych uczniów i dzieci”, tak wpisał się do księgi pamiątkowej Kim Ir Sen, kiedy w 1956 roku przyjechał odwiedzić dom dziecka.

POLECAMY

„Jerzy”. Dowódca Batalionu Armii Krajowej „Zośka”.

Powrót do Ojczyzny. Neuquén – Warszawa

Wstęp, wybór tekstów i opracowanie **Mariusz Olczak**



Trzy najpotężniejsze filary

To książka o dowódcy harcerskiego Batalionu Armii Krajowej „Zośka”, Ryszardzie Białousie „Jerzym”. Znajdziemy w niej nie tylko opis jego fascynującego życia, ale także zawarte w nieznanych dotąd archiwalnych tekstach bohatera przesłanie o Służbie Bogu, Ojczyźnie i Bliźniemu.

**KSIĄŻKĘ KUPISZ
W SKLEPIE INTERNETOWYM**

sklep.polska-zbrojna.pl

DARMOVA PRZESYŁKA

WYDANIE WSPÓLNE Z ARCHIWUM AKT NOWYCH

Proces ten to jeszcze jedno zde-maskowanie nikczemnej garstki wykolejenców narodu polskiego, którzy zdradzili swój kraj i wiernie służyli agentom świata imperialistycznego, dążąc do nowej pożogi wojennej”, tak prokurator ppłk Iwan Amons uzasadniał w 1952 roku oskarżenie wobec ośmiu oficerów lotnictwa rzekomo spiskujących przeciwko władzy komunistycznej.

SPISEK W ARMII

Po 1948 roku, gdy w Polsce nastąpiło zaostrzenie kursu politycznego, w armii rozpoczęły się czystki. „Władze komunistyczne chciały pozbyć się z wojska ludzi najbardziej krytycznych wobec nowego ustroju, czyli przedwojennych żołnierzy, osób, które w czasie II wojny walczyły w Polskich Siłach Zbrojnych na Zachodzie albo w kraju angażowały się w działalność niepodległościową”, tłumaczy prof. Marcin Kruszyński, kierownik Zakładu Historii i Wychowania Patriotycznego w Lotniczej Akademii Wojskowej w Dęblinie. Podczas sfingowanych procesów skazywano oficerów wszystkich rodzajów sił zbrojnych oskarżanych o udział w tzw. spisku w wojsku. 8 maja 1952 roku przed Najwyższym Sędem Wojskowym stanęli oficerowie rzekomo tworzący tzw. kierownictwo konspiracji wojsk lotniczych.

W akcie oskarżenia stwierdzono, że w lipcu 1946 roku płk Bernard Adamecki, wówczas komendant Technicznej Szkoły Lotniczej, rozpoczął tworzenie tajnej organizacji w wojskach lotniczych, której celem miało być obalenie siłą władzy ludowej oraz szpiegostwo na rzecz Zachodu. Do organizacji miał zostać zwerbowany szef sztabu Kwaterymistrzostwa Wojsk Lotniczych płk August Menczak, a następnie pozostali oskarżeni, wśród nich płk pil. Szczepan Ścibior, komendant Oficerskiej Szkoły Lotniczej w Dęblinie.

Większość z oskarżonych, tak jak płk Ścibior, w czasie II wojny walczy-



Latał pod wiatr

W sierpniu 1952 roku stracono sześciu lotników oskarżonych o rzekomy spisek przeciw władzom. Jednym z nich był płk Szczepan Ścibior.

ANNA DĄBROWSKA

ła w lotnictwie Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. Tylko płk Adamecki był żołnierzem Armii Krajowej, a płk Menczak – Polskiej Armii Ludowej. W czasie śledztwa wobec oficerów stosowano brutalne metody, m.in. konwejer, czyli trwające bez przerwy kilka dni i nocy ciągłe przesłuchanie mające na celu przyznanie się do spreparowanych zarzutów. „Mimo wieloty-

godniowych przesłuchań nie udało się pułkownika złamać i nakłonić do obciążenia innych osób. Informował tylko o tym, o czym był pewny, że już i tak wiedzą”, podkreśla historyk.

13 maja 1952 roku sąd skazał pięciu oficerów na karę śmierci, ppłk Stanisław Ziach i ppłk Aleksander Majewski zaś dostali kary dożywotniego więzienia. 7 sierpnia oficerowie, wśród nich były

GODNA PAMIĘĆ

komendant Szkoły Orłąt, zostali straceni na terenie więzienia mokotowskiego w Warszawie.

ELITA WOJSKA

Płk Szczepan Ścibior związał się z mundurem w wieku 21 lat. Wstąpił do Szkoły Podchorążych Piechoty w Warszawie, ale szybko przeniósł się do Oficerskiej Szkoły Lotnictwa w Grudziądzu. „Wszystkich młodych ludzi ciągnęło do lotnictwa, zostanie pilotem oznaczało awans społeczny”, tłumaczy Marcin Arbuz z Muzeum Sił Powietrznych w Dęblinie.

Młody żołnierz ukończył szkołę lotniczą i rozpoczął służbę w 3 Pułku Lotniczym w Poznaniu-Lawicy. Obejmował tam kolejne funkcje i awansował, a krótko przed wybuchem wojny został przydzielony do Grupy Szkół Lotniczych, gdzie objął stanowisko II oficera sztabu. We wrześniu 1939 roku z powodu pełnienia funkcji sztabowych kpt. Ścibior nie brał udziału w walkach. Otrzymał rozkaz ewakuacji z kraju. Przez Rumunię i Francję w lipcu 1940 roku dotarł do Wielkiej Brytanii.

Skierowano go do 305 Dywizjonu Bombowego Ziemi Wielkopolskiej i Lidzkiej, gdzie kapitan objął dowództwo eskadry „B”. „Kapitan swój chrzest bojowy w dywizjonie przeszedł w nocy z 2 na 3 maja 1941 roku, kiedy uczestniczył w ataku na centrum przemysłowego Emden w północno-zachodniej części Niemiec”, opisuje Arbuz. W ciągu najbliższych miesięcy Ścibior wraz ze swoją załogą wykonał jeszcze kilkanaście lotów bojowych. Dobra passa skończyła się w nocy z 5 na 6 sierpnia. Pilotowany przez niego Wellington Mk II podczas powrotu z bombardowania Akwizgranu został zestrzelony nad Belgią przez niemiecki nocny myśliwiec Messerschmitt 110. Z sześciu lotników poległo trzech: por. Jerzy Sukiennik, kpt. Mieczysław Saferna i plut. Wacław Rybak. Skokiem ze spadochronem uratowali się:

Płk pil. Szczepan Ścibior cztery lata po śmierci został zrehabilitowany i oczyszczony z zarzutów. Do 2017 roku nie było wiadomo, gdzie został pochowany. Dzięki pracom Biura Poszukiwań i Identyfikacji Instytutu Pamięci Narodowej szczątki oficera odnaleziono na Cmentarzu Wojskowym na Powązkach w Warszawie. Rok później Mobilna Jednostka Dowodzenia Operacjami Powietrznymi w Babkach koło Poznania przyjęła imię płk. Ścibiora. ■

PLANOWANY JEST UROCZYSTY POGRZEB OFICERA NA TERENIE LOTNICZEJ AKADEMII WOJSKOWEJ

mjr Ścibior, sierż. pil. Stefan Tomicki i sierż. Michał Kowalski.

Mjr. Ścibiora odnalazł belgijski ruch oporu i pomógł mu przedostać się do okupowanej Brukseli. Niestety wkrótce na jego trop wpadło gestapo i został aresztowany. Do końca wojny przebywał w obozach jenieckich. Po wyzwoleniu wrócił do Wielkiej Brytanii, gdzie za odwagę odebrał nadany w sierpniu 1941 roku Krzyż Srebrny Orderu Wojennego Virtuti Militari.

EMIGRACJA CZY POWRÓT

Po wojnie, jak wielu żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych, major stanął przed dylematem – pozostać na emigracji czy wracać do kraju. Zdecydowała tęsknota za rodziną – żoną i dwiema córkami – oraz obietnice polskich władz, że w kraju będzie mógł dalej służyć jako wojskowy pilot. „W Wielkiej Brytanii, po cofnięciu uznania przez państwa alianckie dla polskiego rządu na uchodźstwie, polscy lotnicy nie byli już tak mile widziani jak wcześniej

i oficer musiałby szukać pracy na rynku cywilnym”, tłumaczy Arbuz. Jednocześnie z Polski płynęły zapewnienia, że nasze wojsko czeka na pilotów.

I faktycznie, kiedy w 1946 roku Ścibior wrócił do kraju, trafił do 7 Samodzielnego Pułku Lotniczego Bombowców Nurkujących w Leżnicy Wielkiej. „Płk Ścibior nie miał złudzeń co do tego, czym jest komunizm, ale jednocześnie klimat polityczny w Polsce w pierwszych latach po wojnie był dużo łagodniejszy niż w późniejszym okresie stalinizmu”, mówi prof. Kruszyński. Oficer wierzył, że jeszcze wiele może się w Polsce zmienić na lepsze, a po wojnie najważniejsze jest zaangażowanie się w odbudowę kraju.

Początkowo ppłk Ścibior dublował sowieckiego dowódcę 7 Pułku ppłk. pil. Michała Bażenowa, a od sierpnia 1946 roku dowodził już samodzielnie. „Świetnie sprawdził się jako organizator, był dobrze oceniany, a dowodzony przez niego pułk osiągał dobre wyniki”, mówi Arbuz. Zwierzchnicy docenili osiągnięcia dowódcy i jesienią 1946 roku został odznaczony Orderem Odrodzenia Polski IV klasy, a kilka miesięcy potem dostał awans na stopień pułkownika.

Wkrótce został komendantem Szkoły Orłąt. „Wprowadził regulamin szkoły, podniósł poziom nauczania i wprowadził zasadę, którą do dziś powtarzamy podchorążym – jeśli na ziemi umiesz na pięć, to w powietrzu na cztery lub mniej”, mówi gen. bryg. pil. Piotr Krawczyk, komendant-rektor Lotniczej Akademii Wojskowej w Dęblinie, kontynuatorki Oficerskiej Szkoły Lotniczej. Jak dodaje generał, płk Ścibior stworzył podstawy pod obecną nowoczesną lotniczą akademię i bez niego nie byłoby Szkoły Orłąt w takim kształcie, jak jest obecnie. „Był typowym przedstawicielem wspaniałego pokolenia II Rzeczypospolitej, ludzi, którzy budowali podwaliny wolnego kraju, szykowali się, aby go bronić, ale też dla niego pracować”, mówi prof. Kruszyński. ■

Jedną mam prośbę, może ostatnią pierwszą od wielu lat, daj mi tę jedną niedzielę, ostatnią niedzielę, a potem niech wali się świat”.

Prorocze słowa w sierpniu 1939 roku. Po okresie deszczów i powodzi, które trapiły Polskę jeszcze w lipcu, nad krajem zaświeciło wreszcie słońce. Temperatura każdego dnia sięgała 25–30 stopni Celsjusza; wielu urlopowiczów przedłużało swe wakacyjne turnusy, a kawiarnie rozbrzmiewały do późnej nocy gwarem gości i muzyką. Wydawało się, że w iście afrykańskim słońcu Polacy zapomnieli o codziennych troskach i polityce, która przez ostatnie miesiące nie dawała ani na moment o sobie zapomnieć. Nic bardziej mylnego! Oto reklama warszawskiego Teatru TIP-TOP: „Kto przedstawi w kasie teatru o 8.15 [wieczorem – PK] kartę zgłoszenia do pracy przy kopaniu rowów, otrzyma dwa bilety po 1,5 zł do bliskich rzędów na operetkę morską »Panna Wodna«”. Niebagatelna okazja, gdyż jedną z głównych ról w tym przedstawieniu grała Hanka Ordonówna. A bonus otrzymywało się za kopanie nie byle jakich rowów tylko – przeciwnolotnych. Ludzie zatem przygotowywali się już do wojny.

Polskie dzienniki, w tym „Polska Zbrojna”, nie nadążały odnotowywać już antypolskich incydentów, do których dochodziło w Wolnym Mieście Gdańsku. Tam w istocie widmo wojny nabrało realnych kształtów. Nocami po ulicach przemykały niemieckie ciężarówki ze sprzętem wojskowym, a Polskie Koleje Państwowe wycofywały w głąb kraju co lepsze i nowsze lokomotywy, zastępując je starymi parowozami. Z oburzeniem rozpisywała się o tym berlińska prasa, traktująca już Gdańsk jak część Rzeszy.

BRUNATNO-CZERWONY SOJUSZ

Niestety, do „gdańskiego wulkanu z oznakami erupcji” doszły niepokojące wieści o zbliżeniu niemiecko-sowieckim. Akurat w dniu rocznicy Bitwy Warszawskiej 1920 roku rozpoczęły się przygotowania do wizyty

To ostatnia niedziela

Tango Jerzego Petersburskiego i Zenona Friedwalda „To ostatnia niedziela” okazało się wielkim szlagierem, który szybko zajął dancingi w Polsce i w Europie. Zdobyło między innymi wielką popularność w Rosji, gdzie nosiło tytuł „Zmęczeniu słońcem”. Latem 1939 roku nadal grano je bardzo chętnie, a jego słowa nabrały jeszcze bardziej złowieszczonego wyrazu.

Joachima von Ribbentropa w Moskwie. Dzień wcześniej Sowietzi uczynili swoją dywersję dyplomatyczną. Mianowicie marszałek Klimt Woroszyłow zapytał francuskich i brytyjskich dyplomatów o możliwość wkroczenia Armii Czerwonej do Polski na wypadek zaatakowania jej przez Niemcy. Zachodni politycy ochoczo podchwycili ten plan i zaczęli naciskać na swego polskiego sojusznika, ale minister Józef Beck zdecydowanie odrzucił sugestie „bratniej pomocy”. 23 sierpnia ministrowie spraw zagranicznych Niemiec i Związ-

ku Sowieckiego – Joachim von Ribbentrop i Władysław Mołotow – podpisali w Moskwie pakt o nieagresji na dziesięć lat. „Polska Zbrojna” kilka dni po tym wydarzeniu przedrukowała z sowieckiej prasy fotografię i opatrzyła ją następującym podpisem: „Zdjęcie powyższe przedstawia moment podpisania paktu moskiewsko-berlińskiego. – Na zdjęciu uśmiechnięci pp. Stalin, Mołotow, Ribbentrop i Gauss. Radzimy naszym czytelnikom zachować sobie to zdjęcie: po 3–4 miesiącach będzie można doskonale sprawdzić jego »aktualność«”. Nikt w Polsce nie znał wtedy jeszcze tajnego aneksu do tego układu, a do częściowej dezaktualizacji tej fotografii doszło dopiero w czerwcu 1941 roku.



Wykresy: Władysław Mołotow, Joachim von Ribbentrop, Adolf Hitler, Józef Stalin. W tle: Władysław Mołotow, Joachim von Ribbentrop, Adolf Hitler, Józef Stalin. W tle: Władysław Mołotow, Joachim von Ribbentrop, Adolf Hitler, Józef Stalin.

WYCINEK PRASOWY POCHODZĄCY Z „POLSKI ZBROJNEJ” Z SIERPNIA 1939 ROKU.

PIERWSZE SALWY

Hitler, zabezpieczony sojuszem od wschodu, wydał swym generałom rozkaz do uderzenia na Polskę 25 sierpnia. Szybko jednak musiał zweryfikować plany, gdyż w tym dniu w Londynie podpisano traktat o wzajemnej pomocy

między II Rzeczpospolitą a Wielką Brytanią. Przywódca III Rzeszy zrozumiał, że po agresji na Polskę raczej nie uniknie już rozpętania konfliktu światowego. Nie zrezygnował jednak z wojny, przesuwając jej wybuch o kilka dni później. Rozkaz odwołujący atak 25 sierpnia nie dotarł do wszystkich niemieckich dowódców. Z tego powodu doszło do kilku incydentów granicznych. Najpoważniejszy miał miejsce w Mostach na Zaolziu, gdzie oddział Abwehry nad ranem 26 sierpnia próbował opanować graniczny tunel kolejowy. Niemieccy dywersanci zostali odparci, a ich zwierzchnicy tłumaczyli incydent chorobą psychiczną, na którą nagle zapadł dowódca niefortunnego oddziału. Lecz nikt już nie wierzył w te zapewnienia. Do puli 25 sierpnia gazety dorzuciły jeszcze informację o wpłynięciu do

gdańskiego portu z kurtuazyjną wizytą szkolnego pancernika „Schleswig-Holstein”, pod którego pokładem czekali gotowi do ataku świetnie wyszkoleni szturmowcy Kriegsmarine.

30 sierpnia prezydent RP Ignacy Mościcki zarządził mobilizację powszechną (od 24 sierpnia trwała tajna mobilizacja kartkowa). W obwieszczeniu apelowano: „Od jutra winni stawić się do służby powszechnej: oficerowie, podchorążowie, podoficerowie, szeregowcy, wszyscy bez względu na wiek, kategorię zdrowia i rodzaj broni”. Tego dnia trzy niszczyciele Polskiej Marynarki Wojennej – OORP „Błyskawica”, „Burza” i „Grom” otrzymały rozkaz natychmiastowego wyjścia w morze. Jak się później okazało, odpłynęły do Wielkiej Brytanii. 31 sierpnia o godzinie 0.30 Hitler podpisał rozkaz wyzna-

czający termin ataku na Polskę na 1 września o godzinie 4.45. W polskich gazetach pojawił się poradnik na wypadek wojny, w którym napisano: „Błoki i domy muszą stanowić jakby jedną rodzinę. Sąsiedzi muszą się wspierać i w każdym wypadku iść sobie na rękę. Dawne swary i urazy muszą iść w zapomnienie!”. „Polska Zbrojna” cytowała słowa marszałka Józefa Piłsudskiego: „Państwa i narody, które na podstawie kłamstwa, na podstawie negowania prawdy podają myśl polityczną, dążą do zguby. Takie państwo zbliża się ku upadkowi [...]. Ten jest słabszy, kto buduje na kłamstwie i fałszu, w porównaniu z tym, który buduje na prawdzie”... Tylko aura nie chciała się zmienić nad Polską – słońce wciąż prażyło, co stało się kolejną pogodową katastrofą już po wybuchu wojny. PK ■



KOMENTARZ

DR JERZY KIRSZAK

Sierpień 1939 roku okazał się ostatnim miesiącem pokoju w Europie. Polacy w dużej mierze byli przekonani o nieuchronnym wybuchu wojny, przy czym przeważały nastroje optymistyczne. Nierzadkie były głosy, że kilka tygodni od rozpoczęcia konfliktu nasi żołnierze będą defilować w Berlinie. Nieliczni tylko zdawali sobie sprawę z beznadziejności położenia. Polski potencjał obronny w porównaniu z niemieckim był „tak niski, że trzeba uznać Polskę jako niezdolną do samodzielnej wojny z Niemcami (...)”, napisał jeszcze przed wybuchem wojny gen. Tadeusz Kutrzeba. Mimo przygotowań do obrony w całym kraju uroczystości obchodzono 25-lecie wymarszu strzelców Józefa Piłsudskiego na wojnę o niepodległą Polskę. Szczególnie okazałe uroczystości odbyły się 6 sierpnia w Krakowie, skąd

ćwierć wieku wcześniej wyruszyła Pierwsza Kompania Kadrowa.

Ogromną dysproporcję sił, zwłaszcza w lotnictwie, polskie władze wojskowe próbowały choć częściowo zniwelować przez zakupy zagraniczne. Niestety, sprzymierzone Francja i Anglia nie miały wiele do zaoferowania, bo same nie dysponowały odpowiednim sprzętem. Z postulowanych przez stronę polską 150 nowoczesnych angielskich samolotów myśliwskich i 150 lekkich samolotów bombowych udało się pozyskać jedynie 15 myśliwców i 100 lekkich bombowców, sami bowiem Anglicy nie mieli tylu maszyn. Pierwszy transport na pokładzie brytyjskiego statku, zawierający m.in. 14 hurricane'ów, jeden spitfire i siedem lekkich bombowców Fairey Battle miał wypłynąć z Liverpoolu 19 sierpnia, by po trzech dniach zawinąć do Gdyni. Niestety, z powodu sezonu urlopowego wypłynął 22 sierpnia. To opóźnienie przesądziło o losie rejsu, bowiem już nazajutrz, po zawarciu paktu Ribbentrop-Mołotow, admiralica brytyjska uznała Bałtyk za niebezpieczny. Statek został na Morzu Północnym zawrócony i skierowany określoną drogą do rumuńskiej Konstancy nad Morzem Czarnym, skąd dopiero sprzęt miał być dostarczony do Polski. Nigdy tu nie dotarł.

W ostatniej dekadzie sierpnia udało się też zrealizować zakup 40 francuskich myśliwców,

które miały być wysłane do Polski niemal natychmiast. Attaché lotniczy przy Ambasadzie RP w Paryżu ppłk pil. Franciszek Piniński depešował: „Dnia 29–30 VIII odchodzi do Gdyni 20 samolotów Morane z częściami zapasowymi i amunicją”. I ten zamiar, z powodu szybkiego upadku Polski nie został zrealizowany. Z kolei 27 sierpnia wodował w Pucku pierwszy z sześciu zamówionych we Włoszech dla Morskiego Dywizjonu Lotniczego nowoczesnych wodnosamolotów bombowo-torpedowych Cant Z.506. Niestety, do 1 września nie dotarły na Wybrzeże zamówione lotnicze torpedy.

Wszystkie dostawy były spóźnione. Nawet gdyby pierwszy angielski transport trafił do Polski na czas, to liczba dostarczonych samolotów nie miałaby żadnego wpływu na przebieg kampanii polskiej 1939 roku. Mimo to szkoda, że nasi lotnicy nie mieli szansy zmierzyć się z Niemcami na tych wspianiałych płotowcach nad polskim niebem. A jak potrafili je wykorzystać, pokazali rok później podczas bitwy o Anglię.

Tymczasem rankiem 1 września 1939 nastąpił definitywnie fin de siècle. ■

Dr JERZY KIRSZAK jest pracownikiem Instytutu Pamięi Narodowej i Wojskowego Biura Historycznego im. gen. broni Kazimierza Sosnkowskiego.

**BYŁAM
ŁĄCZNICZKA, WIĘC
1 SIERPNIĄ BIEGAŁAM
OD RANA I PRZEKAZYWA-
ŁAM ROZKAZY. DOSTA-
ŁAM BIAŁO-CZERWONĄ
OPASKĘ NA RAMIĘ
Z POLSKIM ORŁEM
I NUMEREM MOJEGO
PLUTONU**

Warszawa walczy, WRACAMY

*Z Ewą Ponińską o brawurowej akcji
w powstaniu warszawskim, za którą otrzymała Virtuti
Militari, rozmawia Małgorzata Schwarzgruber.*

30 września 1944 roku to szczególny dzień w pa-
ni życiu. Dlaczego?

Tego dnia oficer, którego nie znałam, przypiął mi do ubrania baretkę Krzyża Srebrnego Orderu Wojennego Virtuti Militari. Legitymację numer 11685 odebrałam kilka lat później w Londynie. Po upadku powstania warszawskiego trafiłam, razem z około 2 tys. żołnierzy Armii Krajowej, z Żoliborza do obozu przejściowego w Pruszkowie. Siedzieliśmy w olbrzymiej hali na betonowej podłodze. Nagle usłyszałam, że porządkowy wyczytuje moje nazwisko. Zaprowadził mnie na koniec hali, gdzie w szeregu stało kilku żołnierzy. Nieznany mi oficer wyczytywał ich imiona i przypinał im baretki Krzyża Walecznych. Mnie wywołał jako ostatnią. Usłyszałam, że dekoruje mnie Virtuti Militari. Byłam oszołomiona. Razem z odznaczeniem dostałam awans na plutonowego. Tej nocy długo nie mogłam zasnąć. Wtedy nie wiedziałam, że odznaczenie to dostałam za akcję przeprowadzoną pod koniec września. W czasie skoncentrowanego natarcia wojsk niemieckich z 19 Dywizji Pancерnej zgłosiłam się do nawiązania kontaktu z odciętym klasztorem sióstr Zmartwychwstank na Żoliborzu, w którym broniły się nasze oddziały. Byłam wtedy łączniczką w harcowskim plutonie 227 w Zgrupowaniu „Żyrafa II” w II Obwodzie Armii Krajowej „Żywiciel” na Żoliborzu.

W tym klasztorze broniło się 117 żołnierzy AK, a atakowało go około 2 tys. żołnierzy niemieckich i 16 czołgów.

To były ostatnie dni powstania. Nie myśleliśmy jednak o kapitulacji. Do dowództwa „Żyrafy” należały budynki przy ulicy Krasińskiego 20 i 29 oraz klasztor sióstr Zmartwychwstank. Niemcy atakowali – najpierw był huraganowy ostrzał, a potem czołgi i żołnierze. Straciliśmy kontakt z klasztorem. Dowódca zgrupowania „Żyrafa” por. Ryszard Wołczyński „Tatar” nie chciał wydać rozkazu, kto ma nawiązać łączność. Zgłosiłam się na ochotnika. Musiałam przejść ulicę Krasińskiego, na której stała wielka barykada. Nasi chłopcy z plutonu 227 radzili, żebyśmy zrezygnowała. „Nie przejdiesz”, mówili. Klasztor był

poważnie uszkodzony pociskami artyleryjskimi, płonęły górne piętra. Wczołgałam się powoli na kupę gruzu. Miałam nadzieję, że Niemcy mnie nie zauważą. Jedyna droga do klasztoru prowadziła przez wejście wybite w murze, ale dokładnie w to miejsce strzelał tygrys, największy niemiecki czołg. Pomyślałam, że muszę skoczyć między jednym a drugim strzałem i nie mogę się potknąć. Skoczyłam i – udało się. Żyję.

„Łączniczka Ewa, dziewczyna odważna do szaleństwa, próbuje nawiązać łączność: w największym ogniu wiąże porwany kabel połowego telefonu. Ta dzielna dziewczyna trzy razy dociera do klasztoru. Osypana szarym pyłem, pokaleczona, w podartym odzieniu, niestrudzenie donosi amunicję, granaty, zabiera meldunki, podtrzymuje na duchu chłopców”, tak Stanisław Podlewski w „Rapsodii żoliborskiej” opisał tę akcję.

Niemcy atakowali. Sytuacja w klasztorze była tragiczna. Wielu zabitych



WIZYTÓWKA

EWA PONIŃSKA

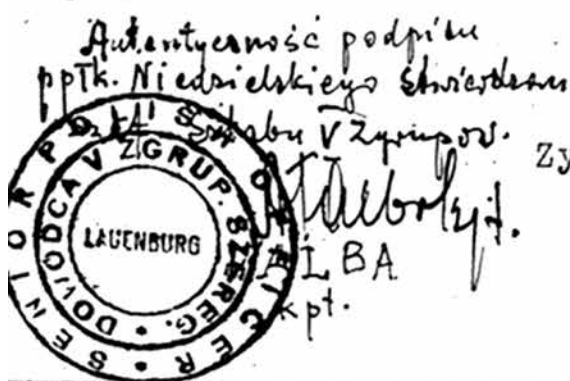
Łączniczka w powstaniu warszawskim odznaczona Krzyżem Srebrnym Orderu Virtuti Militari.

8 Dyw. Piech.

W-wa. 30.9.44.

Z A S W I A D C Z E N I E.

Zaswiadczam niniejszym, że "Ewa" Ponińska Ewa
 została odznaczona Krzyżem
 Virtuti Militari Kl. V. Rozkazem D-cy 8 D.P. z dnia
 30.9.44 na podstawie upoważnienia D-cy A.K.
 z dnia 30.9.44.



D-ca 8 D.P.
 Zywiec-Niedzielski Mieczysław.
 pplk.

i rannych. Brakowało bandażu i środków opatrunkowych, kończyła się amunicja. Musiałam wracać do swoich z raportem o tej sytuacji. Tego samego dnia wieczorem „Tatar” wysłał mnie jeszcze raz do klasztoru z rozkazem, aby się wycofali. Dotarłam na miejsce, ale tam już nikogo nie było. Panowała cisza. Klasztor płonął, w oczy gryzł dym. Przeraziłam się, że Niemcy odcięli mi drogę. Słyszałam opowieści o śmierci dziewcząt, które wpadły w ich ręce. Wybiegłam na zewnątrz, ale nikt nie był.

Wtedy spotkała pani cywila, który twierdził, że w piwnicy opuszczonego budynku na ulicy Krasieńskiego 29 jest dwóch ciężko rannych.

Razem z sanitariuszką „Żyrafy” wróciliśmy tam z noszami. Wiedziałyśmy, że Niemcy, nie zważając na konwencje genewskie, dobijali naszych rannych. Tych dwóch żołnierzy z plutonu 227 spotkałam po latach na zjeździe z okazji 50. rocznicy wybuchu powstania warszawskiego. Nie mogłam uwierzyć, że ci tysiący i siwi panowie to są ci sami młodzi harcerze, którzy walczyli tak dzielnie wiele lat temu. Zaczęliśmy rozmawiać i... znów byliśmy młodzi.

Cofnijmy się o kilka lat, aby opowiedzieć, jakie wydarzenia doprowadziły do przyznania 18-letniej dziewczynie najwyższego wojennego odznaczenia. Zacznijmy od wybuchu wojny. Jak zmieniła ona pani życie?

Miałam wtedy 13 lat. Od roku uczyłam się w gimnazjum u sióstr niepokalanek w Nowym Sączu. Gdy nasza szkoła została zamieniona na szpital, myślałam, że będziemy mieli dłuższe wakacje. Nie przyszło mi do głowy, że mogą tam trafić ranni po bombardowaniach. Szybko przestałam myśleć o wojnie jak o przygodzie. Gdy ruszyliśmy z matką na wschód, nasz pociąg bombardowano i ostrzeliwano z samolotów. Byli zabici i ranni. Dotarliśmy do klasztoru sióstr niepokalanek, niedaleko miejscowości Kowel, blisko granicy sowieckiej. Pamiętam park otaczający klasztor i dojrzewające na drzewach włoskie orzechy. Kilka dni później wojska sowieckie wkroczyły do Polski, a klasztor zamknięto. Pojechaliśmy wtedy do Lwowa, gdzie znalazłyśmy schronienie w klasztorze u sióstr klarysek. Mieszkałyśmy w zakonnych celach i raz na dzień dostawałyśmy zupę. W styczniu 1940 roku moja matka zdecydowała się przekroczyć granicę polsko-rumuńską,



„Żywiciel” pisał: „Przyjmij do wiadomości, że jesteś smarkatką, kiedy pytasz, za co otrzymałaś Krzyż V.M. Wiesz dobrze, że chodziłaś tam, gdzie mężczyźni walczyli, a Ty, nie zważając na niebezpieczeństwo i pewną śmierć, lazałaś jak w ogień. Nie bądź dziewczyną skromną, bo odwaga Twoja była wysokiej klasy i dlatego odznaczenie tak wysoko otrzymałaś”.

aby się przedostać się do Bukaresztu, gdzie przebywał mój ojciec.

Udało wam się z nim spotkać?

Zostałyśmy aresztowane w czasie przekraczania zielonej granicy. Było bardzo zimno i ciemno, bo nie świecił księżyc. Szliśmy razem z innymi gęsiego przez pola w całkowitej ciszy. Gdy zobaczyłyśmy rumuńską stację kolejową, od której dzielił nas już tylko Dniestr, usłyszałam okrzyk: „Ruki w wierzch”. Nagle otoczyli nas sowieccy strażnicy graniczni. Później dowiedziałyśmy się, że to była pułapka przygotowana przez naszego przewodnika. Zaprowadzono nas na posterunek graniczny, skąd następnego dnia przewieziono do więzienia w Kołomyi. Gdy w wielkiej sali wszyscy czekaliśmy na wyznaczenie nam celu, czytałam napisy na ścianach: „Biorą nas do gułagu w Sowietach, zawiadomcie naszą rodzinę.” „Jutro wyjeżdża nasz transport, nie wiadomo gdzie”. Były setki nazwisk i adresów. Pozostawili je aresztowani przez Sowietów polscy oficerowie, sędziowie, urzędnicy, nauczyciele. Po kilku dniach pobytu w Kołomyi zostałyśmy przewiezione do więzienia w Stanisławowie. Jako dziecko byłam zwolniona od przesłuchań, ale moją matkę przesłuchiowano wielokrotnie. Oskarżono ją o szpiegostwo i zesłano do gułagu, a mnie wysłano do krewnych we Lwowie. Gdy w lipcu 1941 roku do Lwowa wkroczyli Niemcy, mogłam wysłać list do siostry matki w Warszawie. Ciocia opłaciła mężczyznę, który przewiózł mnie do stolicy. Wtedy rozpoczęłam nowe życie.

Wstąpiła pani do konspiracji?

Zacząłam chodzić do gimnazjum na Żoliborzu. Wstąpiłam do 33 Warszawskiej Żeńskiej Drużyny Harcerskiej, która przygotowywała młodzież do pracy w tajnych wojskowych organizacjach. W lutym 1943 roku zostałam zaprzysiężona w AK. Złożyłam przysięgę żołnierską w zakrystii, wobec księdza Zygmunta Trósznińskiego, który był kapłanem Armii Krajowej na Żoliborzu. Obiecałam wiernie służyć Polsce i strzec sekretów wojskowych. Ukończyłam kursy obsługi telefonów wojskowych i broni oraz przygotowania do walk ulicznych. Byliśmy zdyscyplinowanym wojskiem, mimo że mieliśmy tylko opaski.

W końcu nastał dzień, kiedy to wojsko stanęło do walki z Niemcami. Jaką rolę odegrała pani w powstaniu?

Ciocia próbowała mnie zatrzymać w domu i zamknąć w łazience, ale ja chciałam walczyć o wolność ojczyzny, jak powstańcy z 1863 roku. Byłam łączniczką, więc 1 sierpnia biegałam od rana i przekazywałam rozkazy. Dostałam białoczerwoną opaskę na ramię z polskim orłem i numerem mojego plutonu. Nasi chłopcy, jeden w hełmie, drugi z gołą głową,

NIE MOĞŁAM UWIERZYĆ, ŻE CI ŁYSIEJĄCY I SIWI PANOWIE TO SĄ CI SAMI MŁODZI HARCERZE, KTÓRZY WALCZYLI TAK DZIELNIE WIELE LAT TEMU. ZACZĘLIŚMY ROZMAWIAĆ I... ZNÓW BYLIŚMY MŁODZI

jeden z pistoletem, drugi z granatem, stanęli do walki przeciwko uzbrojonym po zęby Niemcom. Wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy, że Hitler za wszelką cenę postanowił zgnieść powstańców. Około północy pierwszego dnia powstania, po nieudanych próbach zdobycia wyznaczonych obiektów, ppłk Mieczysław Niedzielski „Żywiciel” zarządził, że wycofujemy się do Puszczy Kampinoskiej. Tam poczuliśmy się bezpieczniej, bo Niemcy rzadko zapuszczali się

w okoliczne lasy. Następnego dnia kurier przyniósł rozkazy od naczelnika AK gen. Tadeusza Bora-Komorowskiego, że Warszawa walczy i mamy wracać.

Budowałam wtedy linie telefoniczne. Bombardowania, eksplozje i pociski niszczyły jednak kable szybciej, niż nadążaliśmy je reperować. W końcu „Żywiciel” zdecydował, że łączniczki jako kurierzy będą przenosić rozkazy. Ciągłe byliśmy w ruchu, od jednego zadania do następnego. Trudno było jednak zapomnieć o śmierci. Pewnego dnia czołgałam się przez rumowisko i nagle zobaczyłam, że spod kawałków cegieł wystaje pasmo blond włosów. Ktoś leżał w tych gruzach...

Jaka była sytuacja w ostatnich dniach powstania?

Niemiecki ogień artyleryjski był wtedy bardzo silny, atakowały czołgi i piechota. „Żywiciel” zarządził, abyśmy zgromadzili się koło „szklanego domu”. Był to duży budynek na Żoliborzu, pod którym dwa miesiące temu zaczęliśmy powstanie. Gdy dotarła wiadomość o kapitulacji, ogarnęła nas rozpacz, że nasza walka poszła na marne. Następnego dnia około 5.00 rano nasze oddziały przemaszerowały wzdłuż szpaleru po zęby uzbrojonych Niemców i złożyły broń. Był 30 września 1944 roku. Staliśmy się jeńcami wojennymi.

Rozkaz o odznaczeniu pani wydał ppłk Mieczysław Niedzielski „Żywiciel”. Dlaczego napisała pani do niego list w sprawie Virtuti Militari?

Uważałam, że było wielu innych, którzy zasłużyli na to wyróżnienie. Nie spodziewałam się takiego odznaczenia, niemniej byłam niezwykle dumna. Po kilku dniach dostałam odpowiedź. „Żywiciel” pisał: „Wysyłam zaświadczenia i jednocześnie przyjmij do wiadomości, że jesteś smarkatką, kiedy pytasz, za co otrzymałaś Krzyż V.M. Wiesz dobrze, że chodziłaś tam, gdzie mężczyźni wahali się, a Ty, nie zważając na niebezpieczeństwo i pewną śmierć, lazałaś jak w ogień. Nie bądź dziewczyno skromną, bo odwaga Twoja była wysokiej klasy i dlatego odznaczenie tak wysokie otrzymałaś. Były i inne dziewczęta o podobnej odwadze, które nie otrzymały odznaczeń, ale Ty Ewuniu uosabiasz pracę i odwagę wszystkich Polek, dla których nie mam dość słów uznania”.



WOJSKOWY INSTYTUT
WYDAWNICZY

POLECAMY

„Cieszymy się, że żyjemy w pokoju i **nikt z nas nie jest zmuszony dokonywać w ciągu jednej sekundy wyboru pomiędzy życiem a śmiercią**”, mówi Kazimierz Piechowski, jeden z bohaterów tej książki. Oddaliśmy głos tym, którzy przeszli piekło wojny i zdecydowali się o tym opowiedzieć w szczerych, poruszających rozmowach.



**KSIĄŻKĘ W PRZEDSPRZEDAŻY
ZAMÓWISZ NA**

sklep.polska-zbrojna.pl 

DARMOVA PRZESYŁKA





KRZYSZTOF KUBIAK

Czerwony Gibraltar Adriatyku

Pod względem strategicznym przekleństwem Związku Sowieckiego (dziedzicznym przez współczesną Rosję) był brak dostępu do otwartego przestworu oceanu światowego. Sposobem na częściowe choćby „oszukanie” geografii było rozwijanie zespołów floty z wyprzedzeniem, jeszcze w czasie pokoju. Żeby jednak było to efektywne, potrzebowano zagranicznych baz. Moskwa usilnie poszukiwała więc sposobności ich organizowania. W basenie Morza Śródziemnego po raz pierwszy Sowieci zyskali taką możliwość w 1958 roku. Wtedy to albański dyktator Enver Hodża przychylił się do propozycji ulokowania bazy okrętów podwodnych w położonej koło Wlory zatoce. Operujące z Pasha Liman okręty mogły swobodnie szachować amerykańską 6 Flotę i zagrozić szlakom komunikacyjnym biegnącym przez Kanał Sueski.

Podkreślić należy, że cały zamiar urzeczywistniono, mimo że między Moskwą a Tiraną narastały coraz poważniejsze rozbieżności ideologiczne wywołane realizowanym przez Chruszczowa odejściem od stalinowskiego zamordyzmu. Pod koniec lat pięćdziesiątych XX wieku Wlora była więc miejscem stacjonowania 12 okrętów podwodnych projektu 613 (w kodzie NATO „Whiskey”) i bazy pływającej. Cztery z nich formalnie przekazano Albanii, było to jednak posunięcie czysto formalne, gdyż państwo to nie dysponowało załogami zdolnymi do ich obsadzenia. Mimo podniesienia bander z czarnym albańskim orłem, na wszystkich okrętach pozostali więc sowieccy dowódcy i większa część dotychczasowych załóg. Na początku lat sześćdziesiątych spór ideologiczny między towarzyszami albańskimi i sowieckimi niebezpiecznie dążył do otwartego konfliktu, gdyż Hodża panicznie bał jakichkolwiek przejawów liberalizacji na sowiecką modłę. O bazę we Wlorze upomniwała się wielka polityka. W pierwszej kolejności służba bezpieczeństwa zwana Sigurimi (Drejtoria e Sigurimit të Shtetit) aresztowała oficerów najczęściej kontaktujących się z personelem sowieckim, w tym dowódcę marynarki. Ofiary czystki zostały oskarżone o szpiegostwo i zdradę. Następnie w pobliżu Pasha Liman skoncentrowano oddziały wojsk lądowych z artylerią. Baza znalazła się w stanie oblężenia i Sowieci obawiali się, że zostanie zajęta. Opuszczenie Albanii stało się pilną koniecznością. Jesienią 1961 roku do przeprowadzenia ewakuacji wydzielono ze składu Floty Morza Czarnego zespół okrętów, którego jednostką flagową był krążownik. Do kompromitującej dla bloku komunistycznego konfrontacji jednak nie doszło, gdyż obie strony nie były zainteresowane dalszą eskalacją sporu. Albańczycy ograniczyli się do obsadzenia żołnierzami czterech okrętów podwodnych przekazanych im formalnie w 1958 roku. Na jednym miała znajdować się już załoga albańska, a trzy pozostałe i baza pływająca zostały jakoby opanowane zbrojnie w październiku 1961 roku. Osiem pozostałych jednostek i baza pływająca opuściły niegościnną Pasha Liman i skierowały się na Bałtyk. Cztery whiskey’ e przejęte przez Albanie nigdy nie osiągnęły pełnej gotowości bojowej, mimo wsparcia udzielonego przez Chińską Republikę Ludową. Na morzu pojawiały się nieczęsto, prawdopodobnie się nie zanurzały, a zatem pełniły rolę swoistych straszaków. W latach osiemdziesiątych tkwiły już tylko przy nabrzeżu, pokryte charakterystycznym rdzawym nalotem. Ze służby wycofano je jednak dopiero w 1998 roku, a począwszy od 2010 sztuka po sztuce trafiały na złom.

Prof. dr hab. KRZYSZTOF KUBIAK pracuje w Katedrze Krajów Europy Północnej na Uniwersytecie Jana Kochanowskiego w Kielcach.

PO SŁUŻBIE

/ POWRÓT
DO PRZESZŁOŚCI

TA SZKOŁA TO MOJA HISTORIA

W czasie powstania warszawskiego –
„Czarny”, na co dzień – pan Janusz,
a dla uczniów – po prostu dziadek.

Jeszcze 15 lat temu był jednym
z kilkunastu kombatanów, którzy
odwiedzali szkołę. Teraz został
już tylko on.

ANNA DĄBROWSKA



**PAN JANUSZ
WAŁĘDZIK**
jest związany
ze szkołą przy
ulicy Miedzianej
od ponad 80 lat.

K

apitan Janusz Walędzik to legenda naszej szkoły, a dla uczniów mentor i bohater”, mówi Paweł Prusik, dyrektor Szkoły Podstawowej nr 26 przy ulicy Miedzianej w Warszawie.

Pan Janusz związany jest z tą placówką od ponad 80 lat.

„W 1937 roku, kiedy miałem siedem lat, przyprowadził mnie tutaj mój tata i powiedział, że w tej szkole będę się uczył”, wspomina komatant. Zdążył skończyć dwie klasy, zanim zaczęła się wojna. „Na początku szkoła była zamknięta, dopiero w 1940 roku Niemcy pozwolili na bardzo okrojona naukę, były tylko lekcje czytania, pisanie i arytmetyka”.

Kiedy wybuchło powstanie warszawskie, pan Janusz miał 14 lat. „Mój starszy brat 1 sierpnia poszedł walczyć w Zgrupowaniu „Chrobry II” Armii Krajowej, to pobiegłem za nim”. Został łącznikiem i przyjął pseudonim „Czarny”. „Wszyscy w szkole i na podwórku tak na mnie wołali, bo bardzo szybko się opalałem i latem miałem ciemną karnację”, wyjaśnia pan Janusz.

W oddziale przynosił broń, amunicję, butelki z benzyną. „Jak było trzeba, walczyłem też z bronią w ręku, zdobyłem ją w czasie powstania”, opowiada i pokazuje swoje zdjęcie w niemieckim hełmie, panterce i z angielskim pistoletem maszynowym Sten. Jego oddział bił się w północnym Śródmieściu. Zacięte walki toczyły się na ulicach: Twardej, Miedzianej, Srebrnej, Towarowej, Siennej i Złotej. „Naszym zadaniem była obrona dzielnic, w tym budynku szkoły, aby nie zajęli jej Niemcy. I udało się nam”.

W dwóch salach na parterze urządzono punkt sanitarny. „Było ciężko. Niemcy atakowali ze

wszystkich stron, naloty, pociski, bomby. Ginęli koledzy i koleżanki, do dziś mi się to śni. W zgrupowaniu było nas około 3,5 tys., poległo blisko 600. Zabitych grzebaliśmy na ulicach. Żeby po wojnie ich zidentyfikować, pisaliśmy dane na kartkach, które wkładaliśmy do butelek i przywiązaliśmy je do prawej nogi poległego”, wspomina weteran.

Po kapitulacji powstania „Czarny” wyszedł z Warszawy wraz z rodziną i trafił do obozu pod Berlinem. Po wyzwoleniu w maju 1945 roku wszyscy wrócili do stolicy. „Wszystko było zniszczone i spalone, nasz dom przy ulicy Siennej też”. Pan Janusz znów znalazł się w swojej szkole, gdzie skończył specjalne kursy doszkalające. „W ciągu jednego roku przerabialiśmy dwie klasy”.

KILKA KROKÓW OD SZKOŁY

Ponownie w budynku przy Miedzianej kpt. Walędzik zjawił się w 1990 roku, kiedy władze szkoły poszukiwały patrona dla placówki. „Zgłosiła się grupa komatantów ze Zgrupowania AK „Chrobry II”, którzy zaproponowali, aby szkoła nosiła imię 16-letniego kpr. Mirosława Biernackiego »Generała«”, mówi dyrektor.

„Generał” dowodził drużyną Szarych Szeregów w 3 kompanii zgrupowania. Bronili placówki położonej niedaleko szkoły, na rogu ulic Siennej i Towarowej. Budynek, nazwany przez powstańców Kurzą Stopką, mimo że nieustannie ostrzeliwany i atakowany przez Niemców, pozostał w polskich rękach do końca powstania. „Generał” zginął 30 sierpnia od kuli niemieckiego snajpera. „Mirek Biernacki to młody chłopak, harcerz, bohater, dobry wzór dla młodzieży”, uważa Prusik.

Komatanci zaprzyjaźnili się ze szkołą, gdzie powstała izba pamięci poświęcona powstaniu



JANUSZ WALEŃDZIK:
„Dla mnie ta szkoła to prawdziwy dom, a uczniowie to rodzina”.



PAN JANUSZ CODZIENNIE JEST W SZKOLE, DLA UCZNIÓW JEST DZIADKIEM, TAK GO TRAKTUJĄ I TAK SIĘ DO NIEGO ZWRACAJĄ

MICHAŁ NIWICZ

i patronowi. „Zgromadziliśmy tutaj fotografie z powstania, hełmy, dokumenty, a nawet chusteczkę z krwią powstańca,” wylicza dyrektor. Salą tradycji opiekuje się pan Janusz, jako członek zarządu Środowiska Żołnierzy Zgrupowania Armii Krajowej „Chrobry II” Związku Powstańców Warszawskich.

„Urządzaliśmy w tej sali nasze spotkania związkowe i zebrania, ale dziś z naszego grona zostałem tylko ja”, mówi kombatant. Choć ma prawie 90 lat, jest w świetnej formie, prowadzi samochód, ostatnio ma tylko trochę kłopotów z chodzeniem. Pan Janusz jednak nadal codziennie jest w szkole. Razem z dziećmi jada obiad w szkolnej stołówce, a wspólne posiłki to już tradycja. „Nikom nie trzeba mówić, żeby mu pomógł, przyniósł nakrycie”, podkreśla dyrektor. Jeśli kombatant nie może przyjść, dzieci zanoszą mu obiad do domu.

Kiedy rozmawiamy, drzwi do izby pamięci co chwila się uchylają i zagląдают uczniowie. „Wiedzą, że kiedy jestem tutaj, zawsze mogą przyjść i porozmawiać, dostaną herbatę

i coś słodkiego”, tłumaczy kpt. Walędzik. Dla uczniów jest po prostu dziadkiem, tak go traktują i tak się do niego zwracają. „Na pierwszym spotkaniu powiedział nam, że mamy go traktować jak naszego dziadka, a on będzie nas traktował jak swoje wnuki”, mówi Ksenia Juskiewicz, uczennica klasy 8c.

Przez ostatnie cztery lata to właśnie ta klasa szczególnie opiekowała się kombatantem. „Dbamy o izbę pamięci, robimy dziadkowi kawę i herbatę, przychodzimy do jego domu posprzątać, zrobić mu zakupy, posadziłyśmy kwiaty w doniczkach, przed świętami w izbie pamięci organizujemy spotkania, przynosimy jedzenie, śpiewamy kolędy”, wyliczają dziewczyny z 8c.

Pomagali też w wyposażeniu nowego mieszkania. Kombatant od lat osiemdziesiątych mieszkał w 12-metrowym lokum na Pradze, bez ogrzewania, ciepłej wody, łazienki, ze wspólną toaletą na korytarzu. „To były straszne warunki, a przecież dziadek, jako kombatant, szczególnie zasłużył na



PO KAPITULACJI POWSTANIA „CZARNY” WYSZEDŁ Z WARSZAWY WRAZ Z RODZINĄ I TRAFIŁ DO OBOZU POD BERLINEM. PO WYZWOLENIU W MAJU 1945 ROKU WSZYSCY WRÓCILI DO STOLICY

szacunek i godne życie”, podkreślają uczniowie. Jak dodają, pan Janusz nigdy się nie skarżył, dopiero kiedy z powodu wieku przestał sobie radzić, powiedział o swoim problemie dyrektorowi szkoły. Dzięki staraniom szkoły i dzielnicy Wola pan Janusz dostał nowe mieszkanie – pokój z aneksem kuchennym i łazienką, z nowym wyposażeniem. „Z balkonu widzę boisko i mam do szkoły tylko kilka minut piechotą”, podkreśla kpt. Walędzik.

Teraz, kiedy 8c odchodzi ze szkoły, rada pedagogiczna wybierze kolejną klasę, która przejmie jej obowiązki. „Smutno nam, że nie będziemy się z dziadkiem spotykać codziennie, opiekujemy się nim przecież od piątej klasy, ale na pewno będziemy go odwiedzać”, zapewnia Weronika Lonska z 8c.

UCZNIOWIE JAK RODZINA

Jak opowiada dyrektor, 15 lat temu pan Janusz był jednym z kilkunastu kombatantów, którzy odwiedzali szkołę, mówili o wojnie i powstaniu. Teraz został tylko on. „Zapraszamy go na lekcje historii, jeździ też z prelekcjami do innych szkół. Dzieci z chęcią słuchają jego opowieści”, mówi Paweł Prusik.

„Warto słuchać tych wspomnień, tym bardziej że za 10–15 lat nie będzie już możliwości porozmawiania z osobami, które wtedy żyły”, uważa Weronika. Jak dodają jej koleżanki, trudno nie interesować się historią, kiedy opowiada o niej ktoś, kto to wszystko przeżył. „To dużo ciekawsze niż samo czytanie podręczników. Jak się go słucha, to czuje się tamte emocje i opowieść chwyta za serce”, uzupełnia Paulina Eminge z 8c.

Pan Janusz opowiada też uczniom o patronie szkoły, który był jego kolegą. „Mówi, że był odważny, dbał o swoich żołnierzy, walczył za kraj, mimo że był w naszym wieku”, wylicza Ksenia. „To był fajny kolega, dzielny, wspinały żołnierz, opanowany, szybki w działaniu, ale też wymagający”, dodaje „Czarny”. Jak zaznacza dyrektor

Prusik, dzięki panu Januszowi kpr. Biernacki jest dla uczniów realną postacią. To nastolatek taki jak oni, który w trudnych czasach walczył i zginął za Polskę.

Jednak dzieci z podstawówki na Miedzianej rozmawiają z dziadkiem nie tylko o wojnie. W szkole pan Janusz może przyjść na każdą lekcję, najczęściej jednak spędza czas w sali tradycji. Na przerwach odwiedzają go dzieci. Przychodzą, żeby porozmawiać. „Opowiadamy mu o tym, co się wydarzyło w szkole, jakie mamy plany, zmartwienia, można się pożalić, przytulić, poprawić sobie humor”, wyliczają uczniowie.

Dzieci go uwielbiają, a on lubi młodzież. „Nie krytykuje nas, ale stara się zrozumieć. Nigdy nie narzeka, że jesteśmy głośno”, podkreślają młodzi ludzie. „Nie miałem takiego pogodnego dzieciństwa, cieszę się, że oni je mają i że są radośni i energiczni”, mówi pan Janusz. Uczniowie opowiadają, że kombatant interesuje się nowościami. Nauczyli go obsługiwać smartfon, kamerę, robi wiele fotografii i kręci filmy podczas uroczystości. „Zawsze najpierw troszczy się o innych, pyta, co u nas. Mimo trudnych przeżyć w życiu jest pogodny, nie poddaje się, nie narzeka. Każdy chciałby mieć takiego dziadka”, podkreśla Paulina. „Dla mnie ta szkoła to prawdziwy dom, a uczniowie to rodzina”, dodaje kombatant.

Szkoła Podstawowa nr 26 im. Mirosława Biernackiego w Warszawie za pielęgnowanie tradycji powstańczych, kultywowanie pamięci o patronie i opiekę nad kombatantem, powstańcem i byłym uczniem w październiku 2018 roku została laureatem nagrody „Wawa Bohaterom”. Nagroda ustanowiona przez TVP3 Warszawa przyznawana jest za działania na rzecz kombatantów, a szczególnie powstańców warszawskich. „To była niezwykle miła chwila i docenienie naszych działań, ale dla nas najcenniejsze jest, że mamy pana Janusza u siebie i możemy z nim spędzać czas”, podkreślają uczniowie i dyrektor Prusik. ■



Wybrany przez MON jako preferowany dostawca symulatorów taktycznych współczesnego pola walki dla Wojska Polskiego zaprasza na stoisko F-11

XXVII Międzynarodowy Salon Przemysłu Obronnego MSPO
3-6 IX 2019, Targi Kielce
Stoisko F-11



CUBIC™

JESTEŚMY IM WINNI PAMIĘĆ

Od 16 lat wcielają się w rolę podkomendnych kpt. Smrokowskiego i jako żołnierze 1 Samodzielnej Kompanii Commando opowiadają o szlaku bitewnym pierwszego pododdziału polskich komandosów.

MAGDALENA KOWALSKA -
SENDEK



Kiedy zaczynaliśmy, to ludzie, patrząc na nasze specyficzne umundurowanie, nie mogli rozpoznać, którą jednostkę rekonstruujemy. Niektórzy wskazywali na brytyjskie hełmy i mówili, że pewnie naśladujemy jednostki japońskie, inni zwracali uwagę na battle dressy [rodzaj brytyjskiego munduru] i sugerowali, że jesteśmy cichociemnymi”, opowiada Przemysław Kapturski, założyciel Grupy Rekonstrukcji Historycznej 1 Samodzielnej Kompanii Commando. „Kiedy z kolei mówiliśmy, że prezentujemy mundury polskich komandosów, to ludzie ze zrozumieniem kiwali głowami: »Aha, czyli komandosi od Sosabowskiego«. Tłumaczyłem wówczas, że jesteśmy komandosami od Smrokowskiego”, uzupełnia. Żołnierze 1 SKC byli pierwszymi Polakami, którzy w czasie II wojny światowej walczyli na Półwyspie Apenińskim.

Grupę Rekonstrukcji Historycznej 1 Samodzielnej Kompanii Commando w 2003 roku stworzyli koledzy z harcerstwa. „Była połowa lat dziewięćdziesiątych, a ja prowadziłem wówczas drużynę o profilu wojskowym. Już wtedy, po lekturze książki o komandosach z czasów II wojny światowej, zdecydowałem z kolegami, że nasza drużyna będzie kultywować tradycje żołnierzy z kompanii commando”, wspomina Przemysław Kapturski. Harcerska drużyna nie przetrwała jednak próby czasu. Jej członkowie dorośli, poženili się, kilku wyjechało za granicę w poszukiwaniu pracy, inni po służbie zasadniczej nie chcieli już wracać do harcerstwa.

PRZYGODA Z REKONSTRUKCJĄ

Przełomem dla dalszej działalności harcerzy okazały się poznańskie Dni Ułana w 2003 roku. „Spotkaliśmy tam



DO ZADAŃ SPECJALNYCH

1 Samodzielną Kompanię Commando powstała w 1942 roku, jej dowódcą był kpt. Władysław Smrokowski. Pododdział został sformowany, a następnie szkoleny w Anglii, Walii i Szkocji. Tworzyli go najlepsi żołnierze ochotnicy przeznaczeni do najtrudniejszych zadań bojowych.

Komandosi z 1 SKC uczestniczyli m.in. w walkach o Monte Cassino, Ankonę, a po przekształceniu w 2 Batalion Komandosów Zmotoryzowanych również o Bolonię. Dziś są uznawani za prekursorów współczesnych polskich wojsk specjalnych. Tradycję 1 Samodzielnej Kompanii Commando na początku lat dziewięćdziesiątych przejęła 62 Kompania Specjalna, a po jej rozwiązaniu 1 Pułk Specjalny Komandosów – obecnie Jednostka Wojskowa Komandosów. ■

GRUPA REKONSTRUKCJI HISTORYCZNEJ 1 SKC

Rekonstruktorzy w Capracotta, miejscu, z którego w grudniu 1943 roku polska kompania komandosów kpt. Włodzimierza Smrokowskiego wykonała pierwszy patrol bojowy nad rzeką Sangro.

rekonstruktorów 1 Samodzielnej Brygady Spadochronowej gen. Sosabowskiego. Spodobał nam się ich profil działalności, podpytywaliśmy, od czego zacząć przygodę z rekonstrukcją”, wspomina Kapturski. Krótco później zapadła decyzja o stworzeniu GRH 1 Samodzielnej Kompanii Commando. Grupa powstała przy swarzędzkim klubie żołnierzy rezerwy Ligii Obrony Kraju. „Zintegrowaliśmy harcerzy wywodzących się z drużyn cichociemnych, spadochroniarzy i komandosów. Byliśmy jedną z pierwszych tego rodzaju grup w Polsce. Tworząc ją, postanowiliśmy rozwijać wiedzę zdobytą w czasach harcerstwa i survivalu”, opowiada Artur Greser. Taka idea połączyła początkowo kilkanaście osób, ale z biegiem lat to się zmieniało. „Skład stopniał, ale wyposażenie wojskowe znacznie się zwiększyło. Dziś dysponujemy niemal wszystkim, czym posługiwali się żołnierze

z kompanii commando. Niestety, mamy więcej sprzętu niż ludzi, którzy mogliby go pokazać”, uzupełnia prezes grupy.

Obecnie komandosów Smrokowskiego rekonstruuje kilka osób. Każdy reprezentuje inną profesję i żaden z nich nie ma wykształcenia historycznego. Na przykład prezes grupy Przemysław Kapturski służy w policji, Artur Greser jest pracownikiem wodociągów, w GRH jest także pracownik ośrodka badawczego i emerytowany górnik.

Zaczynali skromnie – od trzech battle dressów. Stopniowo kolekcja się powiększała, a dziś nikt w Polsce nie może konkurować z ich zbiorami. Gdzie poszukiwali swoich skarbów? Niektóre rzeczy kupowali za granicą, wiele znaleźli na giełdach kolekcjonerskich. Mundury zamawiali np. w Indiach, Stanach Zjednoczonych, Czechach i w Polsce. „Dzięki internetowi świat stał się mniejszy, a zakupy okazały się dużo łatwiejsze. ➔

Mogliśmy pozwolić sobie na poszukiwanie oryginalnych przedmiotów używanych przez komandosów”, opowiada Przemysław Kapturski. Dziś mają już całe ich oporządzenie oraz wierne repliki broni. W kolekcji rekonstruktorów są specjalne buty, tzw. cicholazy na gumowym spodzie (SV boots), kamizelki ratunkowe, czyli maewestki, a także jeden z najcenniejszych okazów – oryginalny sztylet komandosa. „Niektóre eksponaty trzymamy w gablotach, bo są zbyt cenne, żeby używać ich w czasie inscenizacji, ale za to mamy bardzo dobrej jakości repliki”, podkreśla Kapturski. Rekonstruktorzy nie chcą mówić o pieniądzach, ale przyznają, że nie jest to tanie hobby. „Na niektóre rzeczy czekaliśmy latami, np. sztylet kupiliśmy rok temu. Szukamy jeszcze oryginalnych naszywek. Były już aukcje na giełdach kolekcjonerskich, ale mieliśmy za mało pieniędzy”, przyznają.

Z SZACUNKU DO ICH DOKONAŃ

Do najcenniejszych swoich zdobyczy zaliczają sygnet komandosa. Jest to oryginalny pierścionek z numerem 83, ale nie udało się im ustalić nazwiska żołnierza, który go nosił. „Takie sygnety mieli komandos, którzy walczyli na froncie włoskim. Pierścionek zdobity symbolicznymi znakami: sztylet i godło operacji połączonych z napisem »Poland Commando«. Dzięki sygnetowi można było po latach stwierdzić, który z żołnierzy przeszedł cały szlak bitewny, a który dołączył do oddziału już później. Pewniakiem jest to, że pierścionek z numerem 1 miał dowódca kpt. Władysław Smrokowski”, opisuje prezes GRH. Szczególne znaczenie dla rekonstruktorów ma także replika sztandaru kompanii komandosów. W 2015 roku grupa przyłączyła się do projektu prowadzonego przez Jednostkę Wojskową Komandosów „Zjednoczeni zwyciężymy”. W ramach tej akcji popularyzowano wiedzę o 1 Samodzielnej Kompanii Commando, przygotowano także kalendarz, który ozdobiły fotografie komandosów współczesnych i tych z 1 SKC. „Przy tej okazji udało nam się odszukać w magazynach Muzeum Wojska Polskiego oryginalny sztandar 1 SKC i sprowadzić go do Lublińca. Dziś sztandar prezentowany jest w sali tradycji Jednostki Wojskowej Komandosów, a my wykonaliśmy replikę, by można ją było prezentować podczas różnych uroczystości. To dla nas wielki powód do dumy”, podkreśla Kapturski.

Artur Greser przyznaje, że dla niego szczególne znaczenie mają oryginalne drobiazgi, np. zdjęcia z podpisami czy książka „Zielony talizman”, która jest zbiorem opowiadań autorstwa żołnierzy 1 SKC. „Mam dwie takie książki z oryginalnymi notatkami żołnierzy na marginesach, Przemek zgromadził aż sześć egzemplarzy. To niezwykła pamiątka”, przyznaje.



Komandosów Smrokowskiego rekonstruuje kilka osób, m.in. widoczni na zdjęciu: Przemysław Kapturski – policjant, Artur Greser – inżynier inżynierii środowiska, Leszek Rękal – żołnierz ZSW 62 Kompanii Specjalnej i emerytowany górnik, Tomasz Skrzypiński – technik laboratoryjny.



1 SKC
GRH

Dodaje, że bardzo lubi spotkania z weteranami oraz Włochami, którzy pamiętają polskich żołnierzy.

„Kiedyś to była dla nas zabawa, ale z czasem zmieniła się w pasję. Zaczęliśmy poszukiwać wiadomości, czytać książki, wspomnienia żołnierzy. Jeździliśmy po Włoszech i szukaliśmy świadków wydarzeń z lat czterdziestych. Dlaczego? Robimy to dla bohaterów II wojny światowej, o których mało kto wie. Myślę, że jesteśmy im winni pamięć. Robimy to z szacunku dla ich dokonań”, dodaje.

Uznanie dla żołnierzy Smrokowskiego i wierne odtwarzanie wydarzeń historycznych sprawiły, że pomiędzy GRH ze Swarzędza i Jednostką Wojskową Komandosów zrodziła się przyjaźń. Szczególna relacja łączy rekonstruktorów i zespół bojowy B z JWK. To właśnie ten pododdział jest spadkobiercą tradycji 1 SKC. „To pozytywnie zakręceny ludzie, pasjonaci historii. Podoba mi się ich zapał, imponuje ogromny zasób wiadomości. Już od kilku lat wspierają nas wiedzą o losach 1 SKC. Tak było np. podczas dwóch podróży historycznych do Włoch. Pokazali nam szlak bitewny kompanii commando i opowiedzieli mnóstwo ciekawostek”, mówi Arek, dowódca zespołu B z JWK. Specjaliści, którzy na ramieniu noszą odznakę pierwszych polskich komandosów, w tym roku postanowili uczcić pamięć swoich poprzedników. Razem z GRH Commando zorganizowali we Włoszech uroczystość upamiętniającą dokonania 1 SKC. Za zgodą polskiego ministra kultury oraz władz Pescopennataro na budynku ratusza umieścili tablicę pamiątkową, na której wyryto napis: „Pamięci polskich żołnierzy 1 Samodzielnej Kompanii Commando, którzy w grudniu 1943 roku stoczyli w Pescopennataro zwycięski bój za wolność naszą i waszą”. W tej niewielkiej, górskiej miejscowości kompania wygrała walkę z Niemcami. Mimo trwających całą noc starć 250 niemieckim strzelcom górskim nie udało się pokonać 80 komandosów. Miasteczko, choć zrujnowane, zostało obrońcom. „Gdy ktoś mówi o Polakach we Włoszech, to zwykle odwołuje się do gen. Władysława Andersa i 2 Korpusu walczącego o Monte Cassino. A o walkach w małym Pescopennataro, gdzieś wysoko w górach, wiedzą tylko historycy i ci, którzy poznali szlak 1 SKC”, mówi Przemysław Kapturski.

Początkowo celem GRH było prowadzenie szkolenia wzorowanego na tym, w którym uczestniczą jednostki specjalne wojska i policji. Rekonstruktorzy bywali na zlotach historycznych w Polsce i za granicą, brali udział w inscenizacjach wydarzeń z epoki. Dziś skupiają się na działalności edukacyjnej, prowadzą pogadanki w szkołach, pomagają w pracach naukowych, konsultują książki i filmy. W planach mają stworzenie mobilnego muzeum commando. ■

Strażnicy partyzanckich szlaków

Choć dzielą ich setki kilometrów, łączy tragiczna historia. Stowarzyszenie Rodzin Żołnierzy Polskiego Państwa Podziemnego „Osuchy 1944” chce w miejscu jednej z największych potyczek partyzanckich II wojny światowej wybudować centrum partyzanta.

PIOTR RASZEWSKI

Była noc z 24 na 25 czerwca 1944 roku. Pierścień, którym armia niemiecka otoczyła gęste tereny leśne, zacieśniał się coraz bardziej. Niemcy byli zde-terminowani, bo potrzebowali wyczyścić tyły dla cofającego się frontu. Partyzanci, dla których las stał się na wiele miesięcy domem, ale też bazą wypadową do wielu udanych akcji dywersyjnych, znaleźli się w potrzasku. Sytuacja w Puszczy Solskiej z godziny na godzinę stawała się coraz bardziej dramatyczna, a liczebna przewaga jednostek niemieckich nie napawała optymizmem. Zwłaszcza że Niemcy do tej pory raczej unikali walk w głębi lasu, a w tym wypadku cofać się nie zamierzali. Desperacja spowodowała, że poszczególne grupy partyzanckie próbowały przebić niemiecki kordon na własną rękę. Z okrażenia wyszli nieliczni. Reszta zginęła. Ilu? Precyzyjnych danych nie ma. Wiadomo, że kilkuset.

SPOD WIELU SZTANDARÓW

Bitwa pod Osuchami uznawana jest – jeśli wyłączyć tę na Porytowym Wzgórzu – za największe partyzanckie starcie II wojny światowej. A może nawet nie ma powodów do wyłączenia, bo tam gros partyzantów stanowiły oddziały sowieckie i Armii Ludowej, tu – partyzantka Armii Krajowej i Batalionów Chłopskich. Od lat o upamiętnienie tych wydarzeń dbają ich rodziny. W rocznicę bitwy przyjeżdżają na Zamojszczyznę z całej Polski, a nawet z zagranicy. W pewnym momencie postanowiły, że chcą dla swoich bliskich, którzy właśnie tu ginęli za ojczyznę, zrobić coś wię-

cej. „Przyjazd na obchody rocznicowe to niemal obowiązek. Dlatego od lat wielu z nas znało się przynajmniej z widzenia. Niekoniecznie z imienia i nazwiska. Nawet nasi rodzice często nie byli w stanie się rozpoznać, bo od tamtych wydarzeń minęło kilka dekad”, mówi Waldemar Błaszczak, prezes Stowarzyszenia Rodzin Żołnierzy Polskiego Państwa Podziemnego „Osuchy 1944”. „W tym roku obchodziliśmy 75. rocznicę bitwy. Wraz z dziećmi przejechałam w sumie 1500 km, by być na obchodach i poczuć tę historię. Myślę, że wszystkie rodziny podchodzą to tego tak samo – odwiedzenie tego miejsca traktują po prostu jako obowiązek”, dodaje mieszkająca na co dzień w Gdyni Agnieszka Pawłowska-Kubik, historyk, członek stowarzyszenia.

To właśnie podczas jednego z rocznicowych spotkań padła propozycja, by utworzyć stowarzyszenie. Początkowo chodziło o skupienie rodzin, które połączyła historia sprzed kilkudziesięciu lat. „Po śmierci jednego z partyzantów, księdza Stanisława Małysiaka „Sępa”, jego rodzina zasugerowała, byśmy spróbowali się zorganizować, żeby móc się spotykać i mieć możliwość nawiązania kontaktu. To była pierwotna idea, wokół której zebraliśmy grono osób”, wspomina Anna Stańczyk-Przyłuska, jedna z założycieli stowarzyszenia, obecnie jego skarbnik. Z kolei Waldemar Błaszczak dodaje: „Chodziło głównie o to, by te rodziny się poznały. Przez lata jeździliśmy na uroczystości. Ja na przykład 900 km z Kołobrzegu. Cały czas jestem związany z tamtym terenem. Podobnie jak ludzie z Łodzi, Krakowa czy innych



Stowarzyszenie Rodzin Żołnierzy Polskiego Państwa Podziemnego „Osuchy 1944” chce, by w Osuchach powstało muzeum, które stanie się swoistym pomnikiem żołnierzy walczących w Puszczy Solskiej, ale przede wszystkim będzie podtrzymywać pamięć o działaniach Polskiego Państwa Podziemnego.



miejsce w kraju. Choć mieszkamy daleko, od początku mówiliśmy, że jesteśmy rodziną. Rodziną partyzancką”, mówi prezes stowarzyszenia.

Stowarzyszenie „Osuchy 1944” ukonstytuowało się dwa lata temu. Wtedy też zaczęła się dyskusja, jak zadbać o partyzancką pamięć. Bez podziału na lepszych i gorszych – bo Puszcza Solska połączyła leśnych żołnierzy spod wielu sztandarów. „Opowieść o Puszczy Solskiej to nie jest tylko opowieść o Armii Krajowej czy Batalionach Chłopskich. To jest przede wszystkim opowieść o ludziach, którzy starali się przeżyć w lesie i stworzyć z tego miejsca punkt wypadowy, by walczyć o wolność”, tłumaczy Kamil Kopera, wiceprezes stowarzyszenia, z zawodu historyk. I dodaje: „W Osuchach skupia się wiele wspólnych cech dla wszystkich starć i bitew partyzanckich, które toczono w czasie II wojny światowej na ziemiach polskich. Jest to więc symbol – na podstawie tej jednej bitwy można opowiedzieć o życiu w lesie i funkcjonowaniu oddziałów partyzanckich na terenie całego kraju”.

W REALU I SIECI

Dlatego stowarzyszenie podjęło decyzję, że będzie czynić starania, by w Osuchach powstało centrum partyzanta, muzeum, które stanie się swoistym pomnikiem żołnierzy walczących w Puszczy Solskiej, ale przede wszystkim będzie podtrzymywać pamięć o działaniach Polskiego Państwa Podziemnego. „Nie chcemy tworzyć lokalnego, małego muzeum, bo takie są w Biłgoraju, Bondyrzu czy Stalowej Woli. Zależy nam, by była to placówka, która będzie przyciągała turystów i pasjonatów historii z całej Polski, a nawet Europy, by właśnie tu można było usłyszeć kompleksową opowieść o partyzantach z czasów II wojny światowej. Uważamy, że Zamojszczyźnie należy się muzeum, które opowiadałoby tę ich historię”, tłumaczy Waldemar Błaszczak.

Muzeum miałyby powstać nieopodal partyzanckiego cmentarza, na skraju lasu. Rada gminy Łukowa już zdecydowała o przekazaniu terenu na potrzeby centrum partyzanta, a stowarzyszenie podjęło konkretne kroki, by swój pomysł zrealizować. Jego członkowie spotkali się m.in. z przedstawicielami pracowni architektonicznych i otrzymali dwa projekty. Jedna koncepcja przewiduje, że muzeum powstanie na powierzchni, a jego konstrukcja będzie szklano-metalowa. „Przez szklane ściany byłoby widać las. Zachowany zostałby jednocześnie budynek izby pamięci, która powstała tu w latach osiemdziesiątych, ale w żaden sposób nie spełnia współczesnych oczekiwań”, tłumaczy Anna Stańczyk-Przyłuska. Druga koncepcja jest zupełnie inna – zakłada budynek niemal w całości zagłębiony w ziemię. „Wchodziłoby się do niego jak do ziemianki czy bunkra, a wszystkie pomieszczenia ekspozycyjne byłyby poniżej powierzchni ziemi”, wyjaśnia skarbniczka stowarzyszenia. Bliskość Puszczy Solskiej powoduje, że muzeum mogłoby mieć też swoją



JEST TO PRZED WSZYSTKIM OPO- WIEŚĆ O LUDZIACH,

KTÓRZY STARALI SIĘ PRZEŻYĆ W LESIE I STWORZYĆ Z TEGO MIEJSCA PUNKT WY- PADOWY, BY WALCZYĆ O WOLNOŚĆ

część zewnętrzną. Pomysłodawcy chcieliby stworzyć tu tzw. ścieżki edukacyjne prowadzące po istotnych miejscach. „Przecież są tu już zrekonstruowana ziemianka Konrada Bartoszewskiego „Wira” czy partyzancki szpital polowy, zbudowany z drewna wykradzionego Niemcom. Część muzeum znalazłaby się zatem w lesie”, przekonuje Agnieszka Pawłowska-Kubik.

Co zatem byłoby w środku? „W żadnym polskim muzeum nie ma odpowiedniej ekspozycji na temat Osuch, a sporo rodzin zgłaszało, że dysponuje materiałami – zdjęciami, listami, mundurami – które mogłyby przekazać, więc z unikalnymi eksponatami nie byłoby problemu”, zapewnia Agnieszka Pawłowska-Kubik, zastrzegając jednocześnie: „Trzeba przy tym pamiętać, że w dzisiejszych



Z okrażenia wyszli nieliczni. Reszta zginęła. Ilu? Precyzyjnych danych nie ma. Wiadomo, że kilkuset. Na zdjęciu polscy i sowieccy partyzanci w Puszczy Solskiej (Kościółek k. Suśca, kwiecień 1944 rok)



Ziemianka Konrada Bartoszewskiego i Szpital Leśny 665 odtworzone przez Grupę Rekonstrukcji Historycznej „Wir”

muzeach eksponat jest jedynie punktem wyjścia do narracji. Nie zawsze jest on najważniejszy. My również chcielibyśmy w dużej mierze postawić na opowieść multimedialną”. Wtórkuje jej Kamil Kopera: „Musimy sobie odpowiedzieć na pytanie, czy chcemy opowiedzieć pewną historię, czy pokazać kolejne eksponaty. Chciałbym takiego muzeum, które wciągałoby odbiorcę w pewną narrację o tym miejscu, pokazywało, jak ci ludzie funkcjonowali w lesie i opowiadało historię o życiu oraz walce o przetrwanie w dramatycznych dniach czerwca”.

Zanim jednak powstanie muzeum, członkowie stowarzyszenia chcą stworzyć witrynę internetową, by wszyscy chętni mogli uzyskać źródłową wiedzę o partyzanckich działaniach w Puszczy Solskiej. „Cały czas gromadzimy wszelkie informacje, dokumenty, pamiątki i pracujemy nad stroną internetową, na której moglibyśmy zaprezentować wszystkie nasze zbiory. Docelowo chodzi o połączenie muzeum z tymi zasobami, które na co dzień będą dostępne dla naukowców, studentów i każdego, kto będzie chciał z nich skorzystać”, tłumaczy Kamil Kopera. A Anna Stańczyk-Przyłuska dodaje: „Zdajemy sobie sprawę z tego, że budowa muzeum to ogromne przedsięwzięcie, wymagające olbrzymich nakładów. Dlatego wpadliśmy na pomysł, by wszystko, czym dysponujemy, na razie znalazło się w muzeum wirtualnym. Tym bardziej że za pośrednictwem takiej strony moglibyśmy tra-

fić do młodego odbiorcy, który w przyszłości odwiedzi naszą placówkę na Zamojszczyźnie.

POTRZEBNE PIENIĄDZE

Kiedy zatem i w jakim kształcie powstanie centrum partyzantów w Osuchach? „To zależy od pieniędzy”, odpowiada krótko Waldemar Błaszczak i dodaje: „Podczas ostatnich obchodów bitwy pod Osuchami padło sporo obietnic, poczynając od zapewnień władz samorządowych, na wojewódzkich instytucjach skończywszy. Swoją myśl prezentowaliśmy też w Ministerstwie Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Liczymy zatem, że uda się zdobyć niezbędną kwotę”.

Niezależnie od tego stowarzyszenie cały czas samo zbiera pieniądze na budowę muzeum. „Docierają do nas sygnały od żyjących jeszcze partyzantów, że odkładają z emerytury pieniądze, by wpłacić je na nasze konto. Są to ludzie żyjący skromnie, więc takie deklaracje chwytają nas za serce i jeszcze bardziej motywują do zrealizowania tego celu”, przyznaje Anna Stańczyk-Przyłuska, a prezes Waldemar Błaszczak zauważa, że być może to ostatnia szansa, by taka placówka w ogóle powstała: „Ludzi, którzy tu walczyli, w zasadzie już nie ma. My jesteśmy tym następnym pokoleniem, najbliższymi rodzinami. Czas mija jednak nieubłaganie. Kiedyś śp. Piotr Bartoszewski, syn „Wira”, powiedział: »Jeżeli my nie zbudujemy tego muzeum, to już nikt tego nie zrobi«. Niewykluczone, że miał rację”.

Kiedy coś robił, to na maksa

**Rekord może być uznany tylko wtedy,
gdy nurek o własnych siłach wynurzy się
na powierzchnię. Sebastian nie wypłynął.
Dla mnie i tak jest rekordzistą.**

MAŁGORZATA SCHWARZGRUBER

Nie taka wiadomość miała nadejść z nad włoskiego jeziora Garda. Chor. Sebastian Marczewski, technik kompanii logistycznej 3 Batalionu Inżynieryjnego w Nisku, zamierzał pobić kolejny rekord w nurkowaniu. Coś jednak poszło nie tak. Zginął żołnierz, weteran poszkodowany, nurek, serdeczny, pełen optymizmu i pasji człowiek. Uparty, zdeterminowany w dążeniu do celu, a przy tym pracowity i konsekwentny. Tak mówią ci, którzy go znali.

„Wojsko od zawsze było moją pasją. Robiłem wszystko, aby zostać żołnierzem. Gdy ukończyłem szkołę chorążych we Wrocławiu, byłem dumny, że moje marzenie się spełniło!”, wypowiedział się kilka lat temu na łamach „Polski Zbrojnej”. Uważał, że żołnierz powinien się sprawdzić w boju, dlatego w 2009 roku zgłosił się na VI zmianę PKW Afganistan. Chciał zostać dowódcą grupy szturmowej, by trafić na pierwszą linię frontu. Podczas jednego z patroli wybuch ajdika pogruchotał mu kręgosłup. Wiele miesięcy rehabilitacji przywróciło Sebastianowi Marczewskiemu sprawność, ale ból pozostał.

W 2018 roku znalazł się w grupie 25 zawodników – weteranów poszkodowanych, którzy przygotowywali się do startu w igrzyskach Invictus Games. Był w drużynie rezerwowej. Do Sydney nie pojechał, ale na zgrupowaniach poprzedzających start ćwiczył z innymi zawodnikami. Wybrał pływanie. W wodzie czuł się jak ryba. „Chłopak ma talent”, kiwał głową trener, obserwując Sebastiana w basenie. „To dla mnie najlepsza rehabilitacja”, podkreślał on sam.

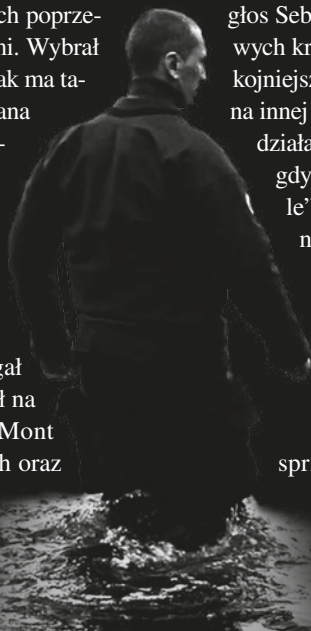
Niewielu żołnierzy po powrocie z misji potrafiło znaleźć pasję i oddać się jej bez reszty. Sebastian ze złamanym w dwóch miejscach kręgosłupem postanowił kontynuować przygodę z nurkowaniem. „Kiedy coś robię, to na maksa”, mawiał. Wcześniej biegał kilkadziesiąt kilometrów tygodniowo, chodził na siłownię, uprawiał alpinizm – wszedł na Mont Blanc, zdobył Kilimandżaro, Elbrus, Gerlach oraz

Mount Kenya. Po wypadku musiał zrezygnować z ćwiczeń i górskich wypraw, ale pozostało nurkowanie. Obrażenia odniesione na misji nie przeszkodziły mu w ustanawianiu rekordów. W 2016 roku przepłynął po dnie wzdłuż jeziora Hańcza. Nurkował przez 467 minut na głębokości 104 m. „Nurkowanie głębokowodne to moje hobby, a Hańcza przyciąga mnie niczym magnes, choć nurkowałem w wielu miejscach na świecie”, mówił wówczas. W 2017 roku zanurzył się na głębokość 241 m we włoskim jeziorze Garda, ustanawiając rekord świata w nurkowaniu głębinowym wśród funkcjonariuszy służb mundurowych.

Zawsze podkreślał wsparcie osób, które pomagały mu w biciu rekordów. Sam też pomagał innym i o nich pamiętał. Swoją popularność mądrze wykorzystywał, np. wspierając charytatywną zbiórkę, aby mały Patryk, który urodził się bez ręki, dostał protezę. W wywiadach mówił o kolegach z misji, którym dedykował swoje rekordy.

Spotykaliśmy się przy różnych okazjach. Zawsze gdy rozmowa schodziła na tematy związane z nurkowaniem, w oku Sebastiana pojawiał się błysk, który sprawiał, że zarażał słuchacza swoją pasją. Sięgam do nagrania jednej z naszych rozmów. Chwilę się waham, zanim naciskam przycisk „play”. Słyszę głos Sebastiana. Mówi o podwodnym świecie, o księżycowych krajobrazach, o tym, że na powierzchnię wraca spokojniejszy. „Gdy zamyka się nad tobą tafla wody, lądujesz na innej planecie, skupiasz się na tym, co jest tu i teraz. To działa jak restart w komputerze. Podobnie jest w górach: gdy jesteś na szczycie, nie myślisz o tym, co jest na dole”, opowiadał. Jeszcze długą chwilę po skończeniu nagrania dźwięczą mi w uszach jego słowa.

Marzył, aby zejść poniżej 335–340 m. To miał być absolutny rekord. Wiedział, że to wielkie wyzwanie dla organizmu i musi się dobrze przygotować. Nie bał się wyzwań. Był świadomy ryzyka, ale potrafił je ocenić. Wiem, że nie szarżował. Wspierał go sztab ludzi oraz specjalistyczny sprzęt. „Mam rodzinę, żonę i wspaniałego syna”,



ZAWSZE POD-
KREŚLAŁ WSPARCIE
OSÓB, KTÓRE POMAGAŁY
MU W BICIU REKORDÓW.
SAM TEŻ POMAGAŁ
INNYM I O NICH
PAMIĘTAŁ.

MARZYŁ, ABY ZEJŚĆ PONIŻEJ 335-340 M. TO MIAŁ BYĆ ABSO- LUTNY REKORD

ARCH. SEBASTIANA MARCZEWSKIEGO

mówił i podkreślał, że najważniejsze jest bezpieczeństwo. Wielokrotnie pisaliśmy o jego sportowych osiągnięciach. Mówił mi, że chciał trafić na okładkę „Polski Zbrojnej”. Może uda się, gdy padnie kolejny rekord świata, żartowałam z Sebastianem. I taki rekord padł. Sebastian spełnił swoje marzenie: zszedł na głębokość ponad 333 m. Dwa lata przygotowywał się do tego wyczynu. Nurkował w jeziorze Hańcza, a poza sezonem trenował w Miejskim Ośrodku Sportu i Rekreacji w Stalowej Woli.

Gdy planował wyjazd do Włoch nad Gardę, mówił, że nie czuje presji, aby za wszelką cenę pobić rekord, bo najważniejszy jest bezpieczny powrót z głębin. Na pytania dziennikarzy, czy się boi, odpowiadał, że tak, ale strach, którzy mu towarzyszy, działa mobilizująco, a samotność pod wodą uspokaja.

6 lipca nic nie zapowiadało tragedii. Było tuż po 6.00 rano, gdy Sebastian zanurzył się w wodach jeziora Garda. To miała

być ostatnia prosta. Czy był to też ten dzień, w którym miał paść rekord? Prawdopodobnie zaplanowaną głębokość 333 m osiągnął w ciągu kilkunastu minut. Wiedział, że najważniejsze jest wynurzenie, powolne wspinanie się centymetr po centymetrze na powierzchnię, minuta po minucie, godzina po godzinie, aby nie doszło do dekompresji.

Tam, w głębinie, zdany był tylko na siebie. W takiej otchłani nie działa łączność radiowa. Na kilku przystankach powrotnych czekali na niego nurkowie pomocniczy, ale się nie pojawił. Co się stało?! Jak tłumaczyli członkowie ekipy Sebastiana, podczas wynurzania się, po przekroczeniu głębokości 200 m, jedna z butli (miał ich sześć na brzuchu i trzy na plecach) zaplątała się o linę. Sebastian, mimo że miał dwa noże, nie zdołał jej odciąć, aby płynąć dalej. Łódź ratownicza za pomocą sonaru odnalazła go na głębokości 170 m. Zasłabł? Skończył mu się gaz?

Szczegóły tragedii pozostaną w głębinach Gardy. ■

TAJEMNICA ARCHIWUM WYWIADU

Marian Chodacki nie tylko ukrył przed komunistami dokumenty wywiadowczej ekspozytury, lecz także ocalił życie wielu osób.

DOMINIK SMYRGAŁA

Archiwum Samodzielnej Ekspozytury Wywiadowczej „Estezet” Oddziału II Sztabu Naczelnego Wodza ma wartość bezcenną jako największy zwarty zbiór dokumentów dotyczących polskiego wywiadu. Obejmuje spektrum spraw dokumentujących funkcjonowanie organizacji wywiadowczej i jej nietuzinkowych pracowników. Zachowały się m.in. instrukcje i raporty, ewidencja agentów i placówek, znacząca część korespondencji, książki szyfrowe, kartoteki osobowe osób rozpracowywanych, materiały dotyczące prac polskiego wywiadu i współpracy z wywiadami alianckimi. Ma on szczególną wartość, ponieważ zaginął wszelki ślad po przekazanej przez płk. Stanisława Ganę, szefa Oddziału II Sztabu Naczelnego Wodza, brytyjskiej Secret Intelligence Service (SIS), większej części dokumentacji tego oddziału. Wiadomo, że sam Oddział II wybiórczo zniszczył zbiory, których ujawnienie mogłoby zagrozić oficerom i współpracownikom polskiego wywiadu na świecie. Istnieje przeświadczenie, że gdzieś w Londynie skrytkę z innym wycinkiem archiwum zorganizował ppłk Leon Bortnowski, zastępca Gany, ale gdzie – nie wiadomo. Gdyby nie przezorność i zdolność przewidywania Mariana Chodackiego „Maracza”, podobny los spotkałby też archiwum „Estezet”. Historia jego ukrycia i odnalezienia mogłaby posłużyć za kanwę scenariusza filmowego.

ŚMIERTELNE NIEBEZPIECZEŃSTWO

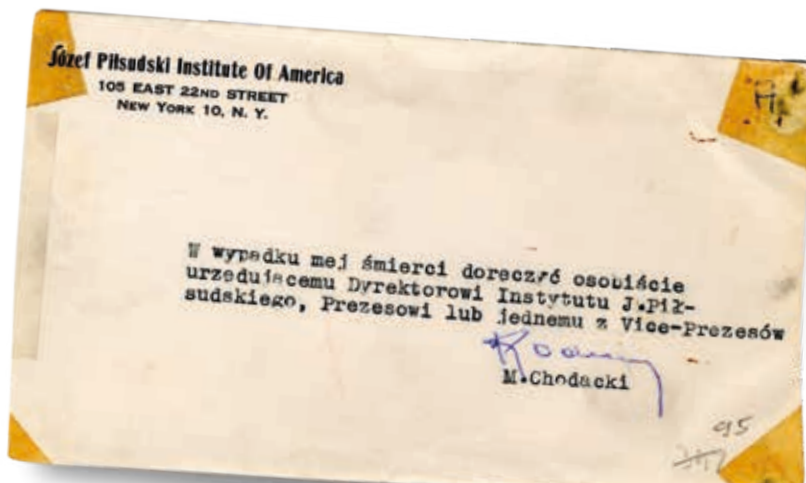
Wiosną 1945 roku Chodacki miał pełną świadomość tego, jaki los czeka Polskę. Tak jak to napisał w jednej ze swoich analiz, Rzeczpospolita miała wpaść w ręce Sowietów, co sprowadzało się do zmiany jednego okupanta na drugiego. Zara-

zem obserwował błyskawicznie rozwijającą się w USA karierę Oskara Langego, co do agenturalnej działalności którego Samodzielna Ekspozytura Wywiadowcza „Estezet”, kierowana przez Chodackiego, nie miała cienia wątpliwości. Lange w 1944 roku był w Moskwie na zaproszenie komunistycznego Związku Patriotów Polskich i spotkał się z samym Stalinem. W USA działał na rzecz porozumienia polsko-sowieckiego, a z racji amerykańskiego obywatelstwa należał do zespołu negocjatorów przyszłego losu Polski.

Dla „Maracza” było też jasne, że wobec porozumień jałtańskich i wcześniejszego zerwania przez Sowietów stosunków dyplomatycznych z legalnym polskim rządem w Londynie, dni jego uznania międzynarodowego były już policzone. Nie miał też wątpliwości, że pierwszą rzeczą, której zacznie poszukiwać nowa komunistyczna władza, będą dokumenty polskiego wywiadu. Kiedy jednak w lipcu 1945 roku rząd Tomasza Arciszewskiego poinformowano o utracie uznania przez aliantów zachodnich na rzecz Tymczasowego



Chodacki zostawił w Instytucie Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku, którego był dyrektorem wykonawczym, swoisty testament. Przyznał w nim, że w marcu 1945 roku ukrył archiwum „Estezet” w obawie, że mogłoby wpaść w ręce komunistów. Dokument zawierał także wskazówki mające pomóc w jego odnalezieniu.



Rządu Jedności Narodowej, a Oskar Lange został ambasadorem w Waszyngtonie, komuniści nie znaleźli w Nowym Jorku, gdzie funkcjonowała „Estezet”, ani jednego dokumentu Oddziału II. Nie dostali też informacji o jego pracownikach. Nie znaczyło to jednak, że „Maracz” był bezpieczny. Zbyt wiele o nim wiadano z czasów, kiedy był legionistą, bohaterem wojny polsko-bolszewickiej czy wreszcie ostatnim komisarzem generalnym Rzeczypospolitej Polskiej w Wolnym Mieście Gdańsku. W lipcu 1947 roku w polskiej prasie ukazał się fałszywy artykuł o tym, że został śmiertelnie pobity w Nowym Jorku. Chodacki traktował go jako ostrzeżenie i element wymierzonej w niego kampanii dezinformacyjnej.

TESTAMENT CHODACKIEGO

16 grudnia 1949 roku Chodacki zostawił w Instytucie Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku, którego był wtedy dyrektorem wykonawczym, swoisty testament. Przyznał w nim, że w marcu 1945 roku ukrył archiwum „Estezet” (a także kilka innych zbiorów) w obawie, że mogłoby wpaść w ręce komunistów. Dokument zawierał także wskazówki mające pomóc w jego odnalezieniu. Aby tego dokonać, trzeba było spełnić trzy warunki. Po pierwsze, znać miejsce, w którym zostało ukryte. Jego nazwa była umieszczona w dwóch kopertach, które otrzymały dwie różne osoby. Po drugie, przedstawić poświadczenie odbioru, załączone do testamentu. Był to wycięty fragment z gazety, gdzie z jednej strony znajdowały się reklamy pralek, z drugiej zaś – firmy przeprowadzkowej. Trzecim warunkiem była znajomość hasła, które znajdowało się w dwóch różnych kopertach, przekazanych zaufanym osobom. W wypadku śmierci Chodackiego miały przesłać je dyrektorowi, prezesowi lub wiceprezesowi Instytutu Piłsudskiego.

Dziesięć lat później, za wiedzą samego Chodackiego, archiwum zostało dyskretnie odebrane z miejsca ukrycia, którym był klasztor Sióstr Nazaretanek w Torresdale w Pensylwanii. Dokonał tego płk Adam Koc na polecenie prezesa Instytutu Henryka Koraba-Janiewicza i dyrektora generalnego Wincetego Kowalskiego. Dokumenty złożono w tajemnicy i bez żadnych oznakowań w Instytucie Piłsudskiego. Po śmierci Chodackiego w 1975 roku właściciele pozostałych kopert przesłali je do ówczesnego prezesa Instytutu, Michała Budnego. Ten, zgodnie z instrukcją, zaczął korespondować z nazaretankami, ale żadna z nich nie wiedziała nic o tej sprawie. Dopiero na początku 1976 roku gen. Kowalski dał znać Budnemu, że archiwum znajduje się już w Instytucie. Przez niemal dwie dekady przeleżało niezauważone, ale później nie od razu ujawniono je przed badaczami. Ciągłe mogło stanowić obiekt zainteresowania komunistycznych służb. Wciąż żyli ludzie, którzy trzy dekady wcześniej prowadzili działania wywiadowcze przeciw komunistom. Pierwsi badacze zobaczyli fragmenty archiwum dopiero w późnych latach osiemdziesiątych, a szerszy dostęp możliwy jest od momentu digitalizacji dokumentów w początkach XXI wieku. Taka była cena profesjonalizmu „Maracza”, który dzięki temu uratował wiele osób. ■

Więcej o Marianie Chodackim w książce Dominika Smyrgała „Dwa kroki przed przyszłością”, Wojskowy Instytut Wydawniczy 2019.

wiww

**WOJSKOWY INSTYTUT
WYDAWNICZY**

POLECAMY

Dominik Smyrgała

**„Dwa kroki przed przyszłością.
Marian Chodacki jako wzór
współczesnego analityka
wywiadu”**



**KSIĄŻKĘ KUPISZ
W SKLEPIE INTERNETOWYM**

sklep.polska-zbrojna.pl



D A R M O W A P R Z E S Y Ł K A



ANDRZEJ FAŁFARA

Dwa powstania

Gdy kilka miesięcy temu płonąła katedra Notre Dame, pomyślałem nie bez złośliwości, że druga wojna światowa okazała się zbyt małym nieszczęściem dla losów słynnej świątyni. Trzeba było 75 lat później niedopałka papierosa (czy też zwarcia instalacji elektrycznej), by ją zniszczyć. Na szczęście tylko częściowo.

Gdyby katedra Notre Dame stała w sierpniu 1944 roku w Warszawie, zniknęłaby bez wątpienia z powierzchni ziemi. Ta myśl nie jest aż tak abstrakcyjna, jak mogłoby się w pierwszej chwili wydawać, gdyż w Paryżu, podobnie jak w Warszawie, wybuchło 75 lat temu powstanie. Rozpoczęło się później (19 sierpnia) i trwało znacznie krócej, bo zaledwie tydzień. Cele obu zrywów były podobne: wyzwolenie stolic spod niemieckiej okupacji.

Na decyzje o podjęciu walki zarówno w Warszawie, jak i w Paryżu wpłynęła niewątpliwie bliskość sił alianckich. Tylko że owa bliskość w przypadku Paryża miała bardzo praktyczne znaczenie, gdyż Amerykanie, a konkretnie 4 Dywizja Piechoty wchodząca w skład 3 Armii gen. George'a Pattona, w istotny sposób wspomogli powstańców. W przypadku zaś Warszawy Sowieci przyglądali się z prawego brzegu Wisły, jak miasto płonie, a jego mieszkańcy są mordowani.

To pierwsza różnica między powstaniami w Warszawie i Paryżu. Druga, kto wie czy nie istotniejsza, wiąże się z osobą niemieckiego komendanta twierdzy Paryż, Dietricha von Choltitza. Ten generał Wehrmachtu, zgodnie z rozkazem Hitlera, miał utrzymać miasto za wszelką cenę. W planach było wysadzenie wszystkich mostów na Sekwanie oraz zniszczenie ważniejszych budowli. Katedra Notre Dame zapewne znajdowała się na tej liście.

Ale von Choltitz odmówił wykonania rozkazów wodza. Hitler dzwonił do niego i pytał: „Czy Paryż już płonie?” (Francuzi nakręcili film w gwiazdorskiej obsadzie pod takim tytułem). Odpowiedzi przeczące sprawiły, że niemiecki komendant skazany został zaocznie na karę śmierci.

A Warszawa płonąła. Tu jednak decyzje podejmował m.in. Erich von dem Bach-Zelewski, obergruppenführer SS, zbrodniarz wojenny, który rozkazy płynące z Berlina wypełniał bardzo skrupulatnie. W Paryżu zginęło około 1000 powstańców, w Warszawie blisko 10 tys. Ofiar śmiertelnych wśród ludności cywilnej było w stolicy Francji 127, u nas 150–200 tys. To kolejne, najbardziej tragiczne, różnice między dwoma powstaniami.

Podczas paryskiego powstania nie ucierpiała ani jedna dachówka kościoła Notre Dame. Ten nieszczęsny niedopałek (albo zwarcie instalacji) sprzed czterech miesięcy to najprawdziwsza ironia losu. ■

Zderzenia z paragrafem

Nasi eksperci rozwiązują Wasze problemy z interpretacją przepisów prawnych.

Zachęcamy do zadawania pytań: niezbednik@zbrojni.pl

CO Z REKONWERSJĄ?

Myślę o odejściu do cywila w 2020 roku. Będę miał wtedy ponad 15 lat stażu. Wiem, że dwa lata przed planowanym odejściem, za zgodą dowódcy jednostki można skorzystać z rekonwersji. Czy w jej ramach można częściowo sfinansować studia jednolite magisterskie, na które uczęszczam od dwóch lat (skończyłem czwarty semestr)? W ośrodku aktywizacji zawodowej nie udzielono mi jednoznacznej odpowiedzi, czy jest to możliwe.

→ **Rekonwersja to ogół przedsięwzięć podejmowanych wobec żołnierzy zawodowych i byłych żołnierzy zawodowych w celu przygotowania ich do podjęcia zatrudnienia na cywilnym rynku pracy.**

Ustawa z 11 września 2003 roku o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych przewiduje możliwość korzystania przez żołnierzy zwolnionych z zawodowej służby wojskowej z pomocy w zakresie doradztwa zawodowego, przekwalifikowania i pośrednictwa pracy. Zgodnie z art. 120 ust. 1 ustawy były żołnierz zawodowy (z wyjątkiem zwolnionego ze służby wojskowej z powodu, o którym mowa w art. 111 pkt 1, 12–15) może korzystać z tego typu pomocy w ciągu dwóch lat od dnia zwolnienia z zawodowej służby wojskowej. Wyjątek od tej zasady przewiduje art. 120 ust. 3, zgodnie z którym pomocą w zakresie przekwalifikowania zawodowego może być objęty, za zgodą dowódcy jednostki wojskowej, również żołnierz pełniący zawodową służbę wojskową, na dwa lata przed zwolnieniem z tej służby, o ile pełnił ją co najmniej cztery lata. Ponadto należy dodać, że wsparcie finansowe jest udzielane do wysokości limitu ustalanej co-

rocznie, a jego wysokość jest uzależniona od liczby lat pełnionej służby.

Okoliczność, że uprawniony rozpoczął przekwalifikowanie zawodowe przed dwuletnim terminem, o którym mowa w art. 20 ust. 3 pkt 2 wymienionej ustawy, nie przesądza o całkowitej niemożności uzyskania refundacji. Nie przysługuje ona w zakresie kosztów studiów za czas wcześniejszy niż dwa lata przed zwolnieniem z zawodowej służby wojskowej. Jeżeli wnioskodawca studia magisterskie rozpoczął jeszcze przed zwolnieniem z zawodowej służby wojskowej, ale uzyskał wymaganą zgodę dowódcy jednostki wojskowej, może otrzymać refundację kosztów poniesionych na dwa lata przed zwolnieniem z zawodowej służby wojskowej (na podstawie art. 20 ust. 3 pkt 2 wymienionej ustawy) oraz kosztów poniesionych w ciągu dwóch lat od dnia zwolnienia z zawodowej służby wojskowej (na podstawie art. 20 ust. 1 wspomnianej ustawy).

Gdyby w okresie odbywania studiów magisterskich wnioskodawca korzystał zarówno ze statusu żołnierza zawodowego, jak i byłego żołnierza zawodowego, przy czym – będąc żołnierzem zawodowym – nie miał zgody dowódcy jednostki wojskowej na studiowanie w czasie pełnienia służby, refundacją mogłyby być objęte jedynie te koszty kształcenia, które zainteresowany poniósł w okresie dwóch lat od dnia zwolnienia z zawodowej służby wojskowej (tożsame stanowisko w kwestii studiów podyplomowych wyraził Wojewódzki Sąd Administracyjny z siedzibą w Warszawie w wyroku z 22 lutego 2012 roku, sygn. II SA/Wa 2825/11).

DOROTA GUDALEWICZ

Kancelaria Radców Prawnych s.c.

K. Przymęcka & J. P. Przymęcki

Postawy prawne:
art. 20 ust. 1 oraz
ust. 3 pkt 2 ustawy
o służbie wojskowej
żołnierzy zawodowych
z dnia 11 września
2003 roku (tekst
jednolity DzU z 2019,
poz. 330).

CZY TO NADGODZINY?

Chciałabym poruszyć sprawę sankcjonowania nadgodzin i dni wolnych w związku z wykonywaniem obowiązków służbowych w godzinach ponadnormatywnych i podczas dni wolnych od pracy. Często jeździmy na pokazy, mające na celu promocję wojska, na rozkaz wyjazdu. Ostatnio, w niedzielę spędziliśmy na pokazach przeszło dziesięć godzin. Dowódca nie uznał tego za nadgodziny. W świetle przepisów (kodeks pracy, art. 151, i rozporządzenie MON w sprawie czasu służby żołnierzy zawodowych z 26 czerwca 2018 roku, § 6 odnośnik 8) należy nam się dzień wolny za wykonywaną pracę. Czy jest jakaś podstawa prawna, która w inny sposób reguluje wykonywanie obowiązków w czasie wolnym?

➔ **Stosunek służbowy żołnierzy zawodowych ma charakter administracyjnoprawny i różni się od stosunku pracy o charakterze cywilnoprawnym**, dlatego też zastosowanie w niniejszej materii ma art. 60 ust. 1 ustawy z 11 września 2003 roku o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych oraz § 4 ust. 1, § 4 ust. 4, § 6, § 8 i § 12 rozporządzenia ministra obrony narodowej z 26 czerwca 2008 roku w sprawie czasu służby żołnierzy zawodowych. Ustawodawca nie przewiduje możliwości stosowania przepisów kodeksu pracy.

Przepisy ustawy pragmatycznej stanowią, że wymiar czasu służby żołnierzy zawodowych jest określony ich zadaniami służbowymi, które powinny być ustalane przez przełożonych w sposób pozwalający na ich wykonywanie w ramach 40 godzin służby w tygodniu, w czteromiesięcznym okresie rozliczeniowym. W zamian za czas służby przekraczający 40 godzin w tygodniu żołnierzowi zawodowemu przysługuje czas wolny od służby w takim samym wymiarze.

Przepisy ustawy pragmatycznej stanowią, że wymiar czasu służby żołnierzy zawodowych jest określony ich zadaniami służbowymi, które powinny być ustalane przez przełożonych w sposób pozwalający na ich wykonywanie w ramach 40 godzin służby w tygodniu, w czteromiesięcznym okresie rozliczeniowym. W zamian za czas służby przekraczający 40 godzin w tygodniu żołnierzowi zawodowemu przysługuje czas wolny od służby w takim samym wymiarze.

Powyższe przepisy zostały skonkretyzowane w rozporządzeniu MON w sprawie czasu służby żołnierzy zawodowych. § 4 ust. 1 tego rozporządzenia stanowi, że przełożeni ustalają zadania służbowe żołnierzy w sposób pozwalający na ich wykonywanie w pięciodniowym tygodniu służby, z wyłączeniem dni ustawowo wolnych od pracy, od poniedziałku do piątku, w godzinach

od 7.30 do 15.30. Z kolei ust. 4 tego paragrafu przewiduje możliwość ustalenia przez dowódcę jednostki wojskowej, za zgodą bezpośredniego przełożonego, innych godzin służby. Ponadto w uzasadnionych okolicznościach przepisy dopuszczają nałożenie na żołnierza zadań służbowych w czasie przekraczającym przyjęty w § 4, jednakże nie może on przekroczyć przeciętnie 48 godzin w tygodniu w czteromiesięcznym okresie rozliczeniowym (§ 6).

Zakładając, że zadania służbowe żołnierzy zostały przez przełożonych określone na podstawie § 4 ust. 1 rozporządzenia, a więc od poniedziałku do piątku, to wykonywanie pracy na pokazach w celu promocji wojska w niedzielę, w wymiarze ponad dziesięć godzin, będzie zaliczane do wykonywania zadań służbowych z przekroczeniem czasu służby wojskowej. W takiej sytuacji żołnierzowi przysługuje prawo do otrzymania czasu wolnego w tym samym wymiarze. Udzielenie takiego czasu wolnego powinno nastąpić w najbliższym tygodniu, nie później jednak niż w ciągu czteromiesięcznego okresu rozliczeniowego (§ 8).

Gdyby jednak dowódca jednostki wojskowej określił inny czas służby wojskowej, opierając się na § 4 ust. 4, i uwzględniłby w nim niedziele, a czas ten mieściłby się w ramach 40 godzin służby w tygodniu, wówczas nie ma podstaw do uznania tego za nadgodziny.

Ponadto, ustalenie innych godzin służby musi wynikać z uzasadnionych przyczyn, a niewątpliwie pokazy wojskowe w celu promocji samego wojska można do uzasadnionych przyczyn zaliczyć. Należy również podkreślić, że wykonywanie przez żołnierzy zawodowych zadań ponad normę, a więc przekraczające ich czas pracy, potwierdza prowadzona w formie pisemnej przez dowódcę jednostki lub upoważnioną do tego osobą ewidencja czasu służby. W takiej ewidencji odnotowuje się w szczególności czas wykonywania przez żołnierzy zadań wykraczający poza czas służby oraz rozliczenie wykorzystania czasu wolnego. Daje to podstawę do ubiegania się o dzień wolny w zamian za wykonywanie pracy w nadgodzinach. Na marginesie należy również zaznaczyć, że jak podkreślił wojewódzki sąd administracyjny

Podstawa prawna:
§ 4 ust. 1, § 4 ust. 4,
§ 6, § 8 oraz § 12
rozporządzenia
ministra obrony
narodowej
z 26 czerwca 2008
roku w sprawie czasu
służby żołnierzy
zawodowych (tekst
jednolity DzU 2019,
poz. 1044); art. 60
ust. 1 ustawy
o służbie wojskowej
żołnierzy zawodowych
z 11 września 2003
roku (tekst jednolity
DzU 2019, poz. 330
ze zm.)

Porady zamieszczane na łamach „Polski Zbrojnej” mają charakter informacyjno-doradczy i nie stanowią wiążącej interpretacji i wykładni prawa.

postanowieniem z 10 lutego 2012 roku (sygn. akt. II SA/Wa 1846/11), stosunek służbowy żołnierzy zawodowych charakteryzuje się znaczną dyspozycyjnością, przez co należy rozumieć obowiązek żołnierza poddania się poleceniom przełożonego wydawanym w ramach wewnętrznej służby. Taki właśnie charakter ma ustalenie żołnierzowi obowiązującego go rozkładu czasu służby w danym okresie rozliczeniowym.

Aktami prawnymi, które regulują wykonywanie obowiązków w czasie wolnym od pracy żołnierzy zawodowych, są ustawa z 2003 roku i rozporządzenie ministra obrony narodowej z 26 czerwca

2008 roku. Jednakże sankcjonowanie nadgodzin i dni wolnych w związku z wykonywaniem obowiązków służbowych będzie zależało od tego, czy przełożony ustalił czas służby wojskowej na podstawie § 4 ust. 1 czy § 4 ust. 4 oraz czy wykonywane zadania przekraczające rzekomy czas pracy zostały ujęte w prowadzonej przez dowódcę jednostki lub upoważnioną przez niego osobę ewidencji czasu służby zgodnie z § 12 wspomnianego rozporządzenia MON. ■

ANNA DRZYCIMSKA

Kancelaria Radców Prawnych s.c.

K. Przemycka & J. P. Przemycki

OPINIOWANIE

Podczas wyjazdu prywatnego złamałem nogę i przez trzy miesiące przebywałem na zwolnieniu lekarskim. Dowiedziałem się, że zgodnie z przepisami opiniowaniu podlegają też żołnierze przebywający na dłuższych zwolnieniach lekarskich. Czy faktycznie będą opiniowani przez przełożonego?

→ **Tak.** Zgodnie z § 2 pkt 1 rozporządzenia ministra obrony narodowej w sprawie opiniowania służbowego żołnierzy zawodowych z 26 maja 2014 roku opiniowaniem służbowym obejmuje się żołnierza zawodowego, który do 15 sierpnia danego roku przez co najmniej sześć miesięcy wykonywał obowiązki na stanowisku służbowym, o którym mowa w art. 26 ust. 5 pkt 1 ustawy z 11 września 2003 roku o służbie wojskowej żołnierzy zawodowych. Tym samym przebywanie na zwolnieniu lekarskim przez trzy miesiące nie zwalnia organu od przeprowadzenia procedury opiniowania. Jedynie zaistnienie teoretycznej sytuacji, w której żołnierz zawodowy nie wykony-

wałby swoich obowiązków służbowych przez sześć miesięcy w terminie od 1 stycznia danego roku kalendarzowego do 15 sierpnia danego roku powodowałoby, że przełożony byłby zwolniony od wszczęcia procedury opiniowania służbowego. Podobna sytuacja miałaby miejsce w przypadku żołnierza zawodowego pełniącego służbę w rezerwie kadrowej, którego do 15 sierpnia danego roku na co najmniej sześć miesięcy nie skierowano do wykonywania zadań służbowych. ■

ROBERT KŁOSIŃSKI

Kancelaria Rady Prawnego Egida

Podstawy prawne: ustawa z 11 września 2003 roku (DzU 2010, nr 90, poz. 593 z późn. zm.) – art. 26 ust. 1; rozporządzenie ministra obrony narodowej w sprawie opiniowania służbowego żołnierzy zawodowych z 26 maja 2014 roku (DzU 2014, poz. 764) – § 2 pkt 1 i 2).

Orzecznictwo: wyrok Naczelnego Sądu Administracyjnego w Warszawie z 13 lutego 2019 roku, sygn. akt. I OSK 1351/17 – prawomocny, także: <http://orzeczenia.nsa.gov.pl>

SPRAWY ŻOŁNIERZY

Powstała Szkoła Doktorska

Wojskowa Akademia Techniczna otworzyła szkołę dla doktorantów. To pierwsza tego rodzaju placówka w wyższym szkolnictwie wojskowym w Polsce.

Obowiązująca od 1 października 2018 roku ustawa „Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce” wprowadziła zasadę, że kształcenie doktorantów będzie mogło się odbywać wyłącznie w szkołach doktorskich. Wcześniej uprawnienia do doktoryzowania były przypisane konkretnym wydziałom, a kandydaci przygotowywali się do uzyskania stopnia doktora na studiach doktoranckich – III stopnia.

Taką szkołę, jako pierwszą z uczelni nadzorowanych przez MON, uruchomiła Wojskowa Akademia Techniczna w Warszawie. Nowo powstała placówka będzie prowadziła kształcenie w sied-

miu dyscyplinach naukowych: automatyce, elektronice i elektrotechnice, informatyce technicznej i telekomunikacji, inżynierii lądowej i transporcie, inżynierii materiałowej, inżynierii mechanicznej, naukach o bezpieczeństwie oraz naukach chemicznych.

Pierwsi kandydaci rozpoczną kształcenie w Szkole Doktorskiej WAT już 1 października. Potrwa ono osiem semestrów i będzie się odbywało według indywidualnego planu badawczego przygotowanego przez doktoranta i promotora oraz w formie zajęć dydaktycznych. W ramach tych ostatnich doktoranci będą musieli zaliczyć mo-

duł podstawowy, obowiązkowy dla wszystkich dyscyplin naukowych, moduły fakultatywne – związane z konkretnymi dyscyplinami, oraz praktyki zawodowe w wymiarze do 180 godzin. Nowością będzie też śródk okresowa ocena realizacji indywidualnego planu badawczego doktoranta (po drugim roku kształcenia), sporządzana przez trzyosobową komisję z udziałem osoby spoza uczelni. Negatywna ocena skutkować będzie skreśleniem z listy doktorantów. Zgodnie z przepisami ustawy wszyscy doktoranci Szkoły Doktorskiej nieposiadający stopnia doktora otrzymają stypendium. PG ■

Zmiany w emeryturach

Żołnierze zawodowi, którzy rozpoczęli służbę po 31 grudnia 2012 roku, nie będą musieli czekać z przejściem na emeryturę do 55. roku życia.

Przepisy dotyczące uprawnień emerytalnych dzielą żołnierzy na dwie grupy. Pierwsza to ci, którzy wstąpili do armii przed 1 stycznia 2013 roku i których obowiązują stare zasady – mogą oni przejść na emeryturę już po 15 latach służby wojskowej. Drugą grupę stanowią osoby, które zostały żołnierzami po raz pierwszy po 31 grudnia 2012 roku.

Według obowiązujących od 1 stycznia 2013 roku znowelizowanych przepisów ustawy o zaopatrzeniu eme-

rytalnym żołnierzy zawodowych oraz ich rodzin świadczenie to będzie im przysługiwało dopiero po spełnieniu łącznie dwóch warunków: ukończeniu 55 lat i co najmniej 25-letniego stażu służby. Analogiczne regulacje obowiązują też np. w służbach podległych Ministerstwu Spraw Wewnętrznych i Administracji.

Wprowadzone kilka lat temu zasady mają się zmienić. Chodzi o rezygnację z wymogu ukończenia 55 lat przy przechodzeniu na eme-

ryturę i pozostawienie jako jedynego warunku otrzymania świadczenia 25-letniego stażu służby. Już w ubiegłym roku MSWiA oraz związki zawodowe służb podległych temu resortowi podpisały odpowiednie porozumienie. Został przygotowany projekt zmian w przepisach, sygnowany przez MSWiA. Nie objął on jednak żołnierzy.

Przedstawiciele Konwentu Dziekanów Korpusu Oficerów Zawodowych rozpoczęli zatem starania, by podobne rozwiązania wprowadzić wobec żołnierzy, którzy zostali powołani po raz pierwszy do wojska po 31 grudnia 2012 roku. Ostatecznie kierownictwo MON-u przychyliło się do propozycji zmian i włączyło do prowadzonych przez MSWiA prac legislacyjnych.

2 lipca Rada Ministrów przyjęła projekt nowelizacji ustawy o zaopatrzeniu emerytalnym funkcjonariuszy Policji, Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, Agencji Wywiadu, Służby Kontrwywiadu Wojskowego, Służby Wywiadu Wojskowego, Centralnego Biura Antykorupcyjnego, Straży Granicznej, Służby Ochrony Państwa, Państwowej Straży Pożarnej, Służby Celno-Skarbowej i Służby Więziennej oraz ich rodzin oraz niektórych innych ustaw. Wśród tych ostatnich jest ustawa o zaopatrzeniu emerytalnym żołnierzy zawodowych oraz ich rodzin. Nowelizacja przewiduje zniesienie wymogu ukończenia 55 lat życia jako jednego z warunków nabycia praw emerytalnych przez żołnierzy zawodowych. PG ■

SPOKÓJ NIEŚMIERTELNIKA

**Żołnierzom i ludziom związanym z wojskiem
udostępniamy łamy „Polski Zbrojnej”, aby zachować
pamięć o tych, którzy odeszli.**

Szczere kondolencje i wyrazy współczucia

płk. Sławomirowi Świątkowi

z powodu śmierci

Siostry

składają dyrekcja oraz żołnierze i pracownicy
Departamentu Wojskowych Spraw Zagranicznych MON.

Panu st. chor. szt. Adamowi Wrońskiemu

wyrazy szczerzego żalu i głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Ojca

składają dowódca, żołnierze i pracownicy
Dowództwa Garnizonu Warszawa.

„Można odejść na zawsze, by stale być blisko”.

Ogromnym żalem i smutkiem
nappełniła nas wiadomość o nagłej śmierci
naszego Kolegi

kpt. Marka Chosianny.

Mamie i Siostrze

wyrazy głębokiego współczucia i szczerzego żalu
składa szef Delegatury Wojskowej Ochrony
Przeciwpożarowej we Wrocławiu.

Wyrazy głębokiego współczucia i słowa wsparcia
w trudnych chwilach po śmierci

Taty

Panu płk. Tomaszowi Dajdzie

oraz Rodzinie i Bliskim

składają komendant główny, żołnierze i pracownicy
Żandarmerii Wojskowej.

Szefowi Sztabu 22 Ośrodka Dowodzenia
i Naprowadzania

Panu ppłk. Jarosławowi Rodakowi,

w związku ze śmiercią

Matki Stanisławy,

wyrazy szczerzego współczucia i głębokiego żalu
składają: dowódca, dowództwo, kadra i pracownicy
resortu obrony narodowej 22 Ośrodka Dowodzenia
i Naprowadzania w Bydgoszczy.

**Panu płk. mgr. farm. Piotrowi Napierajowi
oraz Rodzinie i Bliskim**

wyrazy głębokiego współczucia i żalu z powodu śmierci

Matki

składają dyrektor, kierownictwo oraz żołnierze
i pracownicy

Departamentu Wojskowej Służby Zdrowia MON.

Z głębokim żalem przyjąłem wiadomość o śmierci
Śp. mjr. w st. spocz. Jerzego Przedpeńskiego,
który zmarł po długiej chorobie w dniu 19 czerwca
2019 roku w Płocku w wieku 58 lat,
absolwenta LO im. St. Małachowskiego w Płocku
i Wyższej Szkoły Wojsk Kwatermistrzowskich
w Poznaniu.

**Mamie, Żonie Wiesławie, Córkom Joannie i Małgorzacie
oraz Siostrze Zmarłego**

przekazuję wyrazy szczerzego i serdecznego współczucia.

por. Wojciech Józwiak

Płock/Białystok/Godąp

Nekrologi przyjmujemy tylko w formie elektronicznej. Treść kondolencji należy przysyłać pod adresem: polska-zbrojna@zbrojni.pl
z nagłówkiem wiadomości: „Nekrologi”. Prosimy o telefoniczne potwierdzenie zamieszczenia kondolencji: 261 845 213,
261 845 230, 261 840 227

**Małżonce płk. Czesława Kąckiego
oraz Rodzinie i Bliskim**

wyrazy głębokiego żalu i szczerego współczucia
z powodu śmierci

Męża

składają oficerowie Attachatu Obrony
przy Ambasadzie RP w Kijowie
oraz Przedstawicielstwa NATO w Kijowie.

„Ci, których kochamy, nie umierają nigdy,
bo miłość to nieśmiertelność”.

**Panu płk. Jackowi Wieczorkowi
oraz Jego Najbliższym**

szczerze kondolencje i wyrazy współczucia
z powodu śmierci

Mamy

składają żołnierze i pracownicy RON
18 Wojskowego Oddziału Gospodarczego
w Wejherowie.

„Śmierć nie jest końcem,
ale początkiem życia wiecznego...”.

Z nieukrywanym smutkiem i żalem przyjęliśmy
wiadomość

o Twojej śmierci, nasz Komendancie...
Śmierci zbyt wczesnej i niepotrzebnej...

Mamie i Siostrze

naszego Kolegi

kpt. Marka Chosiannego

wyrazy głębokiego współczucia, szczerego żalu
oraz słowa otuchy w tych trudnych chwilach
składają żołnierze oraz pracownicy RON
Ośrodka Szkolenia Piechoty Górskiej
w Dusznikach-Zdroju.

Panu ppłk. dr. Piotrowi Balonowi
wyrazy głębokiego współczucia
i słowa wsparcia w trudnych chwilach
z powodu śmierci

Teścia

składają dowódca, żołnierze i pracownicy
12 Brygady Zmechanizowanej.

Wyrazy współczucia, szczerze kondolencje
i słowa wsparcia w trudnych chwilach
z powodu śmierci

Matki

Panu płk. Jackowi Wieczorkowi

składają komendant, żołnierze oraz pracownicy
6 Wojskowego Oddziału Gospodarczego w Ustce.

Z wielkim smutkiem przyjęliśmy wiadomość o śmierci
st. szer. Romana Marka Burego.

Wyrazy głębokiego żalu,
szczerego współczucia i wsparcia

Małżonce Joannie, najbliższej Rodzinie i Przyjaciołom

składają żołnierze oraz pracownicy RON
Dowództwa Wojsk Obrony Terytorialnej.

Wyrazy głębokiego żalu i szczerego współczucia
mjr. Tomaszowi Wierzbickiemu
z powodu śmierci

Matki

składają komendant, żołnierze i pracownicy RON
Centrum Szkolenia Logistyki.

Panu Ryszardowi Podleśnemu

wyrazy szczerego współczucia i głębokiego żalu
z powodu śmierci

Mamy

składają żołnierze i pracownicy Zarządu
Wojsk Rakietowych i Artylerii
Inspektoratu Wojsk Lądowych
Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych.

Pani Małgorzacie Tatarek

wyrazy szczerego współczucia
z powodu śmierci

Mamy

składają komendant, kadra i pracownicy
Centrum Szkolenia Marynarki Wojennej.

Głębokim smutkiem napełniła nas wiadomość
o tragicznej śmierci

Pana płk. Tomasza Żebrowskiego,
szefa Oddziału Programowania Ćwiczeń
Inspektoratu Szkolenia.

Żonie i Najbliższym

słowa otuchy i wyrazy szczerego żalu
oraz głębokiego współczucia
składają inspektor, żołnierze i pracownicy
Inspektoratu Szkolenia
Dowództwa Generalnego RSZ.

Z wielkim smutkiem przyjęliśmy wiadomość o śmierci
Komendanta Ośrodka Szkolenia Piechoty Górskiej
„Jodła” w Dusznikach-Zdroju

Pana kpt. Marka Chosianny.

Rodzinie, Bliskim

składamy najszczerze wyrazy współczucia.
Kadra i pracownicy Centrum Szkolenia
Marynarki Wojennej

Panu Jerzemu Rezlerowi

wyrazy żalu i głębokiego współczucia
z powodu śmierci

Matki

składają dyrektor i pracownicy
Zakładu Inwestycji Organizacji Traktatu
Północnoatlantyckiego.

Rodzinie i Najbliższym

tragicznie zmarłego

płk. Tomasza Żebrowskiego

wyrazy szczerego współczucia i słowa otuchy
w trudnych chwilach

składają żołnierze oraz pracownicy RON
Oddziału Programowania Ćwiczeń
Zarządu Koordynacji Szkolenia

Inspektoratu Szkolenia Dowództwa Generalnego
Rodzajów Sił Zbrojnych.



Pamiętamy

st. chor. Łukasz Sroczyński

3 sierpnia 2013 roku
PKW Afganistan

st. kpr. Dariusz Tyłenda

6 sierpnia 2010 roku
PKW Afganistan

sierż. Wiktor Lenczewski

8 sierpnia 1992 roku
UNDOF Syria

kpt. Daniel Ambroziński

10 sierpnia 2009 roku
PKW Afganistan

st. kpr. Marek Dziak

14 sierpnia 1994 roku
UNPROFOR b. Jugosławia

plut. Jerzy Abram

14 sierpnia 2000 roku
KFOR Kosowo

por. Łukasz Kurowski

14 sierpnia 2007 roku
PKW Afganistan

sierż. Szymon Sitarczuk

18 sierpnia 2011 roku
PKW Afganistan

kpr. Sylwester Kutrzyk

19 sierpnia 2004 roku
PKW Irak

kpr. Grzegorz Rusinek

19 sierpnia 2004 roku
PKW Irak

plut. Waldemar Sujdak

20 sierpnia 2008 roku
PKW Afganistan

kpr. Paweł Szwed

20 sierpnia 2008 roku
PKW Afganistan

kpr. Paweł Brodzikowski

20 sierpnia 2008 roku
PKW Afganistan

kpr. Krystian Andrzejczak

21 sierpnia 2004 roku
PKW Irak

st. chor. sztab. Mirosław Łucki

24 sierpnia 2013 roku
PKW Afganistan

Z głębokim smutkiem i żalem
przyjeliśmy wiadomość o śmierci
naszego Kolegi
ppłk. rez. Wiesława Bilickiego.
Żonie i Najbliższym
w tych trudnych chwilach wyrazy głębokiego
współczucia
składają dyrektor, żołnierze i pracownicy
Wojskowego Biura Zarządzania Częstotliwościami.

Dyrektorowi Biura – Przewodniczącemu
Konwentu Dziekanów
Panu kmdr. Wiesławowi Banaszewskiemu
wyrazy serdecznego współczucia i żalu
z powodu śmierci
Teściowej
oraz ciepłe słowa wsparcia
dla **Rodziny i Najbliższych**
składają żołnierze i pracownicy
Biura Konwentu Dziekanów oraz Konwent Dziekanów
Korpusu Oficerów Zawodowych.

„Umarłych wieczność dotąd trwa,
dokąd pamięcią się im płaci”.
Wisława Szymborska

Ze smutkiem i głębokim żalem przyjęliśmy wiadomość
o nagłej śmierci naszego kolegi
płk. Czesława Kąckiego
pełniącego służbę w Dowództwie Operacyjnym
Sił Zbrojnych w latach 2008–2013.
Wyrazy głębokiego żalu i współczucia
Rodziny i Najbliższym
składa dowódca operacyjny rodzajów sił zbrojnych
gen. dyw. Tomasz Piotrowski
wraz z żołnierzami i pracownikami
Dowództwa Operacyjnego Rodzajów Sił Zbrojnych
im. Generała Bronisława Kwiatkowskiego.

Panu ppłk. Andrzejowi Cholewie
wyrazy szczerego współczucia i głębokiego żalu
z powodu śmierci
Ojca
składają żołnierze i pracownicy
resortu obrony narodowej
17 Wojskowego Oddziału Gospodarczego
w Koszalinie.

Z niewysłowionym smutkiem i olbrzymim żalem
przyjeliśmy wiadomość o śmierci
płk. prof. Jerzego Majkowskiego
ps. „Czarny”.

Odszedł wyjątkowy człowiek, odważny i przepojony
patriotyzmem. Człowiek, dla którego Ojczyzna była
zawsze najważniejsza. Nasz wielki mentor i bohater,
wzór do naśladowania, ale również przyjaciel,
na którego zawsze mogliśmy liczyć.

Wyrazy głębokiego żalu, szczerego współczucia
i wsparcia

Małżonce Barbarze, najbliższej Rodzinie i Przyjaciołom
składają dowództwo, kadra i pracownicy
wojsk obrony terytorialnej.

Siły w przetrwaniu ciężkich chwil smutku
i żałoby po utracie
Męża i Ojca
Rodziny Pana płk. rez. Czesława Kąckiego
składa płk Tomasz Kowalik – dyrektor Departamentu
Wojskowych Spraw Zagranicznych
wraz z całą kadrą zawodową i pracownikami wojska.
Płk Czesław Kącki
pozostanie w naszych sercach i pamięci
jako dzielny oficer, wspaniały człowiek i przyjaciel.

Pani Marzenie Grell
szczerze kondolencje i wyrazy głębokiego współczucia
z powodu śmierci
Taty
składają koledzy i koleżanki
z Zarządu Wojsk Aeromobility i Zmotoryzowanych
Dowództwa Generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych.

Panu st. chor. sztab. Krzysztofowi Gregorczykowi
oraz **st. chor. sztab. Zbigniewowi Gregorczykowi**
wyrazy głębokiego współczucia i słowa wsparcia
w trudnych chwilach po śmierci
Mamy
składa dowódca 12 Bazy Bezzałogowych Statków
Powietrznych
płk dypl. pil. Łukasz Andrzejewski-Popow
wraz z żołnierzami i pracownikami
resortu obrony narodowej.

Patronat Honorowy Prezydenta
Rzeczypospolitej Polskiej
Andrzeja Dudy

 **Targi Kielce**
exhibition & congress centre




Member

MSPO

XXVII Międzynarodowy Salon Przemysłu Obronnego

WYSTAWA NARODOWA USA



3-6.09.2019, Kielce

Partner strategiczny



www.msपो.pl

ŚWIĘTO WOJSKA POLSKIEGO

#ŚWIĘTOWP



MARIUSZ BŁASZCZAK
MINISTER OBRONY NARODOWEJ

ZAPRASZA NA DEFILADĘ

WIERNI POLSCE

Z OKAZJI
ŚWIĘTA WOJSKA POLSKIEGO, ROCZNICY BITWY WARSZAWSKIEJ
I STULECIA POWSTAŃ ŚLĄSKICH

15 SIERPNIA 2019
GODZ. 14.00 ALEJA ROŹDZIĘŃSKIEGO / OKOLICE SPODKA
W KATOWICACH

WIELKI PIKNIK WOJSKOWY
STREFA KULTURY / OKOLICE NOSPR

